

Keith Ablow

Architekt

S&C

EXLIBRIS

Rozdział 1

10 sierpnia 2005,
godz. 15.20

Na płaskim panelu monitora w przedniej ścianie pokoju świeciła mapa Stanów Zjednoczonych.

– Pamiętacie zapewne, że pierwsze dwa ciała znaleziono w Darien i Greenwich – powiedział analityk FBI Bob White, mniej więcej czterdziestoletni były uliczny glina.

Nad Connecticut zabłyśły dwie gwiazdki.

– Sierpień i październik 2003. Obydwa ciała ukryte głęboko w lesie. Z powodu dziwnego stanu zwłok sprawa znalazła się w nagłówkach wszystkich gazet, ale po kilku miesiącach ucichła.

– Odchrząknął, ale nie poprawiło to jego chropawego głosu. – Aż do zeszłego roku. Trzecie ciało. Dwunastoletni chłopiec w Big Timber w Montanie.

Kolejna gwiazdka.

– Przekroczył linię stanu, więc nas wezwali. A teraz dwa w ciągu ostatnich sześciu miesięcy: Southampton w stanie Nowy Jork...

Czwarta gwiazdka.

– Ironwood w Michigan. Piąta.

– Prasa siedzi nam na karku.

Czterdziestodwuletni psychiatra sądowy Frank Clevenger spojrzał na Kena Hiramatsu, głównego patologa.

– Opowiedz mi o ciałach.

Hiramatsu dał znak do pokoju kontrolnego, żeby wyświetlono następną serię obrazów.

Obraz wypełnił się czymś, co wyglądało jak zdjęcie z Anatomii Greya.

– Jego umiejętność wykonywania sekcji zwłok jest więcej niż ponadprzeciętna – powiedział Hiramatsu tonem podobnym do podziwu. – U każdej ofiary został mistrzowsko odsłonięty inny narząd, naczynie czy staw. U Darien było to serce dwudziestosiedmioletniej kobiety.

Clevenger mógł zobaczyć, że mostek i żebra ofiary usunięto, zaś mięśnie i powięź zostały odciągnięte srebrnymi gwoździemi tak, że serce, uwolnione nawet z włóknistego worka osierdziowego, który normalnie przylega do niego niczym rękawiczka, było doskonale widoczne.

– Wchodzi głęboko – powiedział Hiramatsu, raz jeszcze dając znak operatorom w pokoju kontrolnym. – Chce zobaczyć wszystko.

Obraz na ekranie zmienił się w zbliżenie otworu wyciętego w ścianie lewej komory,

odsłaniającego zastawkę dwudzielną i aortalną. Kadr zmienił się raz jeszcze, aby pokazać drugi otwór, w ścianie prawej komory, ukazujący okno wychodzące na zastawkę trójdzielną, znajdującą się w prawej komorze.

– Rozumiecie, o co chodzi – powiedział Hiramatsu. Zakręcił palcem w powietrzu. Slajdy zaczęły się zmieniać.

Clevenger patrzył na kolejne obrazy precyzyjnej makabry.

Wycięty kawałek ściany brzucha w celu odsłonięcia nerki kilkunastoletniego chłopca, u którego za pomocą naciągniętych nitki zamocowanych na srebrnych gwoździach wyeksponowano tętnicę nerkową oraz moczowód. Odsłonięte prawe biodro kobiety w średnim wieku – prezentacja szyjki i głowy kości udowej z odpreparowanymi mięśniami pośladkowym średnim, czworogłowym uda i biodrowo-lędźwiowym. Żyły i tętnica szyjna pięknej, trzydziestokilkuletniej kobiety. Kręgosłup mężczyzny leżącego twarzą w dół na sterce liści.

– Kręgosłup pochodzi właśnie z Michigan – powiedział Hiramatsu. – To jego największe osiągnięcie.

Clevenger zerknął nań z ukosa.

– W sensie przywiązania do szczegółów – powiedział szybko Hiramatsu. – Każdy pojedynczy nerw, każda tętnica została doskonale odpreparowana. Ani jedna z nich nie została rozerwana. Nawet najmniejszego zadrapania.

– Jakież oznaki wykorzystania seksualnego? – zapytał Clevenger.

– Żadnych – odpowiedział Hiramatsu.

– Przyczyna śmierci? – zapytał Clevenger.

– Otrucie – odparł Hiramatsu. – W każdym ciele znaleźliśmy ślady chloroformu i sukcyńlocholiny.

Chloroform to środek uspokajająco-usypiający. Sukcyńlocholina to silny środek zwiotczający mięśnie. Wystarczyły tylko trzy miligramy, aby zatrzymać każdy mięsień w ciele, włączając serce.

– Myśleliśmy, że to chirurg – powiedziała Dorothy Campbell, starsza, elegancka kobieta obsługująca system komputerowy PROFILER. – Ostrze odpowiada charakterystyce skalpela.

– Ktoś mógłby pomyśleć, że będzie miał tego dosyć na bloku operacyjnym – powiedział Clevenger.

– Może to jakiś napaleniak zwolniony za narkotyki albo błąd w sztuce – zasugerował White.

– Chce pokazać wszystkim, jaki jest zdolny.

– Całkiem możliwe – zgodził się Clevenger.

– Wiemy na pewno – powiedział White – że ma dojścia.

Wszystkie ofiary były majątne, nawet ten dzieciak.

– Nie może spotykać tych ludzi przypadkiem – powiedziała Campbell. – Oni go znają i ufają

mu.

– Czy znali się nawzajem? – zapytał Clevenger.

– Mąż jednej z ofiar i ojciec innej należeli do Narodowej Rady ds. Paliw. Do niczego nas to nie doprowadziło.

– Inne ślady? – zapytał Clevenger, patrząc wzdłuż stołu.

Kilka sekund minęło w ciszy, zanim White ponownie odchrząknął.

– Gdybyśmy posuwali się do przodu, nie byłoby cię tutaj. – Mrugnął.

Rozdział 2

Doktor Whitney McCormick, dyrektor Instytutu Nauk Behawioralnych FBI, poinstruowała swoją sekretarkę, żeby pozwoliła Clevengerowi poczekać w jej gabinecie. Usiadł na krześle z oparciem naprzeciwko jej wielkiego mahoniowego biurka i spojrzął na swoje zdjęcie na kredensie; stało obok innych fotografii przedstawiających Whitney z jej ojcem, byłym kongresmanem, matką i siostrą, jej czarnym labradorem i jej chatkę w Nantucket. Skoncentrował się na Whitney. Na zdjęciu była ledwie nastolatka, z dziewczęcym uśmiechem i włosami sięgającymi do pasa. Ale nawet na tym zdjęciu dostrzegał w jej oczach rzadkie połączenie mądrości i wrażliwości, które tak silnie go pociągało.

Nie było tajemnicą, że Clevenger i McCormick sypiali ze sobą od czasu do czasu, choć nikt w Agencji nie potrafił zgadnąć, czy aktualnie są razem czy nie. On sam też nie zawsze był pewien.

Wiedział, że nie mogą wytrzymać miesiąca bez zobaczenia się, przynajmniej po to, żeby spędzić kilka godzin w łóżku. Wiedział też, że nie mogą prowadzić normalnego domu, nieustannie krążąc tam i z powrotem pomiędzy jego mieszkaniem w Chelsea na przedmieściach Bostonu i jej apartamentem w Waszyngtonie. I znał niektóre powody takiego stanu rzeczy.

Byli wyjątkowo dobrze dobrani pod względem intelektualnym – oboje byli jednakowo zafascynowani ludzką psychiką i jej patologiami; z równym uporem podchodzili do rozwiązywania problemów i pracowali nad nimi aż do skutku. Pasowali też do siebie nadzwyczajnie pod względem seksualnym. Jak klucz do zamka. Clevenger lubił dominować w sypialni, Whitney zaś lubiła mu się poddawać.

Mogli rozmawiać godzinami, kochać się godzinami i mieli świadomość, jaka to rzadka rzecz na tym świecie. Ale wiedza o tym nie przeważała nad elementami, które ciągle ich rozdzielały – tym razem na trochę ponad trzy tygodnie.

– Dostałeś to, czego chciałeś? – zapytała Whitney McCormick, wchodząc do pomieszczenia.

Odwrócił się i patrzył na nią, kiedy siadała za biurkiem. Miała teraz trzydzieści siedem lat i włosy do ramion; ubrana była w czarne jedwabne spodnie i czarny blezer z prostą czarną koszulką na ramiączkach pod spodem. Zauważył, że zdjęła brylantowy naszyjnik w kształcie półksiężycy, który dał jej na urodziny dwa lata temu.

– Jestem na bieżąco – odpowiedział. – Oberwałeś za sprowadzenie mnie na pokład?

– Sprowadziłabym na pokład bin Ladena, gdyby dzięki temu udało się schwycić tego faceta. To umieszczało go w rzadkim towarzystwie.

– Posłuchaj, przepraszam – powiedział, nachylając się do przodu – powinniśmy

porozmawiać o...

– O sprawie. Porozmawiajmy o sprawie. Ponownie odchylił się na krzesło.

– Najwyraźniej mamy do czynienia z kimś doskonale zorganizowanym i systematycznym.

Wie dokładnie, kogo chce zabić i w jaki sposób.

– To więcej niż zorganizowanie – stwierdził Clevenger. – To obsesja. Może zaburzenie obsesyjno-kompulsywne w najczystszej postaci – Zaczynał zatracać się w brązowych oczach McCormick. – To trudne – powiedział.

– Dasz sobie radę. – Odczekała kilka sekund. – Zaburzenie...

Zmusił się do skupienia.

– Nie wiem, jak w twoim wypadku, ale moje trupy w akademii medycznej nie przypominały żadnego ze zdjęć, które przed chwilą oglądałem. Zawsze się śpieszyłem, żeby rozpreparować tak, jak kazali w podręczniku. Robił się bałagan. Ale nie w przypadku tego faceta. On się nie śpieszy.

Jest perfekcjonistą.

– To by się zgadzało ze sposobem, w jaki pozbywa się ciała: płytkie groby, ręce złożone na piersiach, zwłoki owinięte w folię.

– Mumie. Czyste, chronione przed żywiołami – powiedział Clevenger. – On nie czuje złości czy wrogości do tych ludzi.

Nie stosuje przemocy. Najpierw usypia ich za pomocą chloroformu. Chce, żeby byli martwi, ale nie żeby cierpieli.

– Jak miło z jego strony. – Whitney uśmiechnęła się pierwszy raz, odkąd weszła do pokoju. – I preparuje tylko jeden obszar ciała. Czysto i schludnie.

– On uwielbia ludzką anatomię na takiej zasadzie, jak niektórzy dobre wino. Delektuje się każdą kroplą. Nie pozwala sobie na upicie się.

– Koneser. – Przekrzywiła głowę i mrugnęła do niego.

– Proszę?

– Nie pijesz, prawda?

– Ostatnio nie – odpowiedział.

Dalej patrzyła na niego uważnie, jakby stawiała diagnozę.

– Jeżeli chcesz się bawić w lekarza, rozbiórę się dla ciebie.

– „Ostatnio” w sensie godzin czy lat?

– Myślałem, że mamy się ograniczyć do sprawy. Wpatrywała się w niego.

Odwrócił wzrok, po czym znów na nią spojrział.

– Tęsknię za tobą.

Jej oczy stały się zimne jak lód.

– Coś ci powiem: jeżeli pijesz i twierdzisz, że to moja wina, możesz teraz wyjść. Naprawdę przydałaby nam się pomoc, ale...

– Nie schlebiaj sobie – odgryzł się. – Od dwóch lat jestem trzeźwy. Nie tęsknię za tobą aż tak bardzo, żeby to spieprzyć.

Nie wyglądała na przekonaną.

– Dla mnie to wcale nie jest łatwiejsze niż dla ciebie. Ale tym razem będę się trzymała tego, co powiedziałam: tego, czego ja potrzebuję, ty nie możesz mi dać. Jeżeli mnie kochasz, uszanujesz to.

– Kocham – powiedział Clevenger. Umilkł, po czym zaczerpnął powietrza. – I uszanuję.

– Dziękuję. – Na chwilę zamilkła. – Czego będziesz potrzebował na początek?

– Wszystkiego. Wszystkich dowodów z miejsc zbrodni od 2003 roku: każdego włókna i kropli płynu, każdego zdjęcia.

Muszę też mieć wszystkie policyjne raporty i sprawozdania agentów terenowych, włączając w to wewnętrzne notatki. Potrzebny mi też będzie bezpośredni dostęp do ciał, jeżeli nie zostały pogrzebane. A nawet jeżeli zostały.

– Nie ma sprawy. Możesz zacząć od przejrzenia akt przed wyjściem. Zamów kopie, czego zechcesz.

– I zabieramy na pokład Northa Andersona.

North Anderson, były policjant z Baltimore i pierwszy czarny szef policji Nantucket, był partnerem Clevengera w bostońskim oddziale Medycyny Sądowej i jednym z jego I niewielu przyjaciół.

– W porządku – powiedziała McCormick. Clevengerowi wydało się, że chce coś jeszcze dodać.

– O co chodzi?

– To nie może opuścić tego pokoju. W Agencji wie dwoje i ludzi: ja i dyrektor.

– Nie mam tajemnic przed Northern.

– Próbujemy utrzymać to...

– Nigdy – powiedział Clevenger. – Wiesz o tym. Zawahała się.

– North i nikt więcej – zgodziła się w końcu. – Dasz mi słowo.

Skinął głową. Przez chwile panowała cisza.

– Wysłał prezydentowi notatkę – powiedziała.

– Prezydentowi? – Znów się pochylił w jej stronę. – Stanów Zjednoczonych?

– Została otwarta przez urzędnika Białego Domu pięć dni po znalezieniu pierwszego ciała.

– Skąd wiedzą, że była od niego? – zapytał Clevenger.

– Załączono prawo jazdy ofiary. Niezbyt subtelne.

– Jak brzmiała treść?

– Wydaje mi się, że prezydent ma jego poparcie. – Otworzyła szufladę z boku biurka, wyjęła kartkę i podała ją Clevengerowi.

Była to fotokopia karty; słowa były wypisane na środku, nad nimi widniał prosty krzyż:
Miej wiarę. Jeden kraj bądź jedna rodzina naraz. Nasza praca służy jednemu Bogu.

Rozdział 3

West Crosse nacisnął dzwonek przy drzwiach do domu przy Beach Drive 11204 w Miami, po czym odwrócił się w kierunku horyzontu, osłaniając oczy przed słońcem i zerkając na grubą niebieską linię Oceanu Atlantyckiego, zarysowaną jedynie bryzgami piany na dalekich mieliznach. Ogarnęło go obrzydzenie. Wszystko było nie tak i czuł to samym rdzeniem swojego jestestwa. Daszek nad drzwiami był płytą białego betonu, zbyt krótką, aby chronić przed promieniami słońca, ale wystarczająco masywną, żeby napełnić go abstrakcyjnym strachem przed zgnieceniem na śmierć. Marmur pod jego stopami był zbyt wypolerowany, tak jakby sugerował, że samą swoją obecnością, faktem, że ma swoje życie i że jego buty są używane, zaś ich skórzane podeszwy znoszone, mógł skalać posesję. Ścieżka, która ciągnęła się trzydzieści jardów w stronę ulicy, była prosta i wąska, obsadzona z obu stron niskim, kwadratowym żywopłotem, który zniechęcał do wałęsania się, rozglądania, pogawędek bądź myślenia. Przyjdź i wyjdź, jeśli musisz. Ale nie ociągaj się.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytała przez interkom kobieta o hiszpańskim akcencie.

Obrócił się i stanął naprzeciwko ogromnych szklanych drzwi, wystarczająco obszernych dla rycerza na koniu i zbyt wysokich, aby przywitać kogokolwiek innego. – West Crosse do państwa Rawlings. – Podniósł zrolowany arkusz kalki kreślarskiej.

– Chwileczkę.

Pół minuty później drzwi się otworzyły i powitała go uśmiechnięta kobieta w wieku około dwudziestu dwóch lat, o długich, platynowoblond włosach, ubrana w krótką białą spódniczkę i pasiasty biały T-shirt.

– Są w bibliotece.

– Biblioteka – powiedział Crosse. To brzmiało obiecująco.

Może będzie tam cień orzecha albo sosny, który nakarmi jego duszę.

– Jestem Maritza, asystentka pana Rawlingsa. – Dziewczyna wyciągnęła do niego rękę.

Crosse ujął jej dłoń, zwracając uwagę na długie różowe paznokcie i brylantową bransoletkę, z której zwisał znak pokoju szczerze wysadzany brylantami. Spojrzał w jej dużo mniej błyszczące oczy. A potem zerknął w dół i dostrzegł, że jej szyja zaczyna się czerwienić.

Wiedział, że wywiera wrażenie na kobietach. Miał trzydzieści osiem lat, metr osiemdziesiąt trzy wzrostu i postawną sylwetkę, oliwkową skórę, kruczoczarne włosy, szare oczy, pełne usta. W gruncie rzeczy jego rysy byłyby zbyt perfekcyjne, co uczyniłoby go nieprzystępnym, gdyby nie długa, poszarpana blizna, która zaczynała się nad lewą kością policzkową i biegła przez pół twarzy aż do kącika warg. Efektem była kombinacja doskonałości i lekkości ducha, siły i

wrażliwości, której trudno się było oprzeć. Kobiety chciały się nim opiekować i jednocześnie oddawać mu się w opiekę. Właśnie z myślą o kobietach opracował swoją bliznę. Mając dwadzieścia lat i stojąc w sypialni przed sięgającym podłogi lustrem w pozłaczanych ramach, zdał sobie sprawę, że Bóg obdarował go zbyt hojnie, i ciął się prostą brzytwą, odwracając szybko głowę, aby stworzyć poszarpaną linię rany.

Jego determinacja, by stworzyć siebie od nowa, była tak wielka, tak pewien był swojej wizji tego, co musiał zrobić, że nie poczuł żadnego bólu.

– Chętnie pana zaprowadzę – zaproponowała Maritza takim głosem, jakby dziwiła się własnym uczuciom. Powoli puściła jego rękę.

– Pani pierwsza – powiedział Crosse.

Poszedł za nią przez nisko sklepiony hol, w którym dominowała ściana szkła, po czym długim, ciasnym korytarzem, który doprowadził ich do zalanego słońcem, kwadratowego pokoju bez wyrazu, o ścianach z surowego betonu. Spojrzał w górę na trzy masywne, cylindryczne okna w dachu, sterczące na wysokość sześciu stóp w górę niczym kominy.

– Pan Crosse do pana – zaanonsowała go Maritza, po czym odwróciła się i ruszyła z powrotem w kierunku holu.

Ken Rawlings i jego żona Heather, oboje mocno po czterdziestce, ubrani w markowe dżinsy i pasujące do nich białe nylonowe swetry od Prądy, wstali ze swoich miejsc przy szklanym stole konferencyjnym znajdującym się na środku pokoju. Mężczyzna miał metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, był masywnie zbudowany i miał srebrne włosy, których barwę podkreślała silna opalenizna. Ona była farbowaną blondynką o pełnych kształtach, ze dwa centymetry wyższą od niego.

Pieniądze należały do niej i pochodziły z kopalni diamentów Abicus, którą odziedziczyła po swoim ojcu. Ken Rawlings był bankierem inwestycyjnym grupie Morgana Stanley, który wprowadził ją na giełdę. Właśnie zakupili pięć tysięcy akrów w Montanie i prowadzili rozmowy wstępne z architektami, żeby zaprojektować główną rezydencję i trzy domy dla gości, w sumie ponad tysiąc osiemset metrów kwadratowych. Same honoraria projektantów miały wynieść około miliona dolarów.

– Proszę, niech pan usiądzie – zaproponował Ken Rawlings.

Crosse rozejrzał się po pokoju. Żadnego orzecha ani też sosny. Wbudowane półki obramowane politurowaną sklejką wypełniało kilka tysięcy książek, o prawie takiej samej wysokości, z takimi samymi idealnie pasującymi do siebie grzbietami. Przed nimi znajdowało się sześć krzeseł z czarnej skóry i stalowych rurek, które zaprojektował legendarny architekt Mies van der Rohe. Minęło dziesięć, piętnaście sekund.

– Panie Crosse? – zapytał Ken Rawlings. Kolejne kilka sekund.

– Przepraszam. – Crosse, starał się skoncentrować wzrok na nim. – Przyswajałem sobie

otoczenie.

– Z chęcią poznamy pana przemysłenia – odezwała się Heather Rawlings.

Spojrzał na nią.

– Czasami potrafię być zbyt szczery.

– Tak też słyszeliśmy – powiedział Ken Rawlings. – Miech pan mówi.

– A więc dobrze – zaczął Crosse. – To martwa przestrzeń.

Każdy centymetr tego pomieszczenia jest martwy.

Twarz Heather Rawlings stała się biała jak kreda. Jej mąż starał się ukryć irytację.

– W istocie, to rzecz nietypowa – powiedział. – Ale zgaduję, że można tak powiedzieć o całym stylu międzynarodowym.

Nasz architekt studiował z samym Gropiusem. Pozostał wierny jego formie.

Crosse parsknął. Oceniał „międzynarodowy styl” jako oksymoron. Kierunek temu prądowi nadawali niemieccy i francuscy architekci, wliczając w to Waltera Gropiusa, Miesa van der Rohea oraz Le Corbusiera, którzy w pierwszej połowie dwudziestego wieku deklarowali, że "im mniej, tym lepiej" i "forma powinna służyć funkcji". Wiedzeni socjalistyczną, antyburżuazyjną wizją świata, nie widzieli powodów dla tworzenia wygód, żadnych zbytków w postaci sklepionych dachów, ozdobnych zworników, kolumn, gzymsów, wykuszowych okien ościeżnic, roślin ani draperii. Nie było nawet potrzeby zastosowania koloru. Jak ujął to Le Gorbuisier: "Dom jest maszyną do życia".

– Coś pana bawi... – powiedział zimno Ken Rawlings.

– Tragicznie bawi – odrzekł Crosse. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Wiedział, że Rawlings jest byłym żołnierzem piechoty morskiej, więc pytanie, które zamierzał zadać, mogło go kosztować pracę, po którą tutaj przybył, jak również milionowe honorarium. Ale to nie miało dla niego żadnego znaczenia. Liczyła się tylko prawda. – Czego się tak boicie?

– Proszę?

– Mogę usiąść?

Rawlings nie odpowiedział, ale jego żona skinęła w kierunku niklowanego krzesła stojącego naprzeciwko nich.

– Proszę – powiedziała. Sama usiadła i spojrzała w górę na męża, który z ociąganiem uczynił to samo.

Crosse usiadł. Krzesło wydawało się twarde i zimne. Położył swój zwinięty rysunek na stole i przyłożył dłoń do szklanego blatu. Potem spojrzał Kenowi Rawlingsowi prosto w oczy.

– Żyjecie, czy raczej próbujecie żyć, w domu, który należy do kogoś innego. Bo wydaje się, że tak jest bezpieczniej. Ale wcale tak nie jest.

– Nie nadążam za panem – oznajmił Rawlings.

– To dom Waltera Gropiusa. – Crosse spojrzał na Heather Rawlings. – Nie ma nic wspólnego

z panem ani z pana żoną.

– Poczuł, że zaczyna w nim krążyć pasja, potrzeba wyzwolenia ludzi z grobu ich strachu, który powstrzymywał ich przed wyrażeniem tego, co w nich było najprawdziwsze, przed poczuciem, że naprawdę żyją. – Gropius z dumą mówił swoim studentom w Niemczech, żeby „zaczynali od zera”.

Nalegał, żeby odrzucili wszelkie udogodnienia, wszystkie niuanse, które przypominały o przeszłości. Nic nie było wartościowe, dopóki nie było całkowicie nowe, czyste.

Pierwotny stan. A dlaczego? Niemcy zostały zniszczone, zaś naród niemiecki upokorzony. Chciał, żeby przeszłość umarła. To była jego prawda.

– Znam historię – rzucił Rawlings bezbarwnie.

– Ale nie o historię tu chodzi – powiedział cicho Crosse. To, gdzie i jak pan żyje, powinno dotyczyć pańskiej historii. I pańskiej żony.

Heather Rawlings uśmiechnęła się lekko i była to pierwsza emocja, jaką okazała.

– Obawiam się, że to oznaczałoby życie w całkiem pokaźnym chaosie.

To ożywiło Crosse'a jeszcze bardziej. Spojrzał na nią.

– Nie trzeba się tego bać. Chaos jest najlepszy na początek. – Zacisnął ręce na stole. – Zapytajcie siebie: „Co chcemy robić w swoim domu? Kogo pragniemy w nim widzieć?” Czy chodzi o wspólne spacerunki po ogrodach, aby móc jeszcze lepiej się poznać? Czy może o prywatny czas na poczytanie na tarasie, na którym będzie miejsce tylko na jeden fotel? Czy będziecie się czuli swobodniej w otwartej przestrzeni ogromnego domu, czy też kryjąc się za kamiennymi murami? Czy może musi to być jedno i drugie – duży hol dla gości z półokrągłym podjazdem, całkowicie oddzielony od głównego domu ukrytego głęboko w lesie? Być może jedno z was ma ukryte pragnienie zostać malarzem, ale nie ma pracowni, by móc rozpocząć pracę, przebudzić się. Życie. – Z trudem się powstrzymywał. – Może fantazjowaliście o kochaniu się w ukrytym ogrodzie. Może na dachu pod... ?

– Spróbujmy wrócić do sedna sprawy – powiedział Ken Rawlings. Skrzyżował ramiona. – Jestem pewien, że dostał pan zdjęcia naszej działki w Montanie. Przyniósł pan szkice? Crosse zauważył, że kark Heather Rawlings nabrał barwy krwistej czerwieni.

– Tylko jeden.

Rawlings skinął głową w jego stronę. Crosse podniósł rysunek i powoli zdjął elastyczną opaskę.

– Zawsze odrabiam swoje zadanie – powiedział.

– Pana referencje były niepodważalne – stwierdził ponuro Ken Rawlings.

– Po prostu nadzwyczajne – dodała Heather Rawlings. – Komplementom Binghamów i Fisherów nie było końca. Crosse wiedział, że był to jedyny powód, dla którego Ken Rawlings jeszcze go nie wyrzucił. Jego klienci nie tylko doceniali to, co dla nich zrobił, oni go uwielbiali.

Na zawsze zmienił ich życie.

Wstał i rozwinął szkic na stole, nie spuszczać wzroku z twarzy Kena Rawlingsa. Zobaczył niedowierzanie, a potem gniew zabarwiony smutkiem.

– Co, do diabła? – wyszeptał Rawlings.

Był to szkic stajni, bardziej majestatycznych, ale w oczywisty sposób zainspirowanych stajniami na farmie dziadków Rawlingsa w Pensylwanii, gdzie Ken jeździł jako chłopiec. Konstrukcja belki i stropu, zaokrąglone wsporniki narożne, stolarskie łączenia, szeroki spadzisty dach, przód i tył obite deskami i drewnem, z łukowatymi oknami na wysokości strychu na obu końcach. Tuż pod Unią dachu zaś, na środku fasady, Crosse narysował okrągłą wstawkę z nakładających się trójkątów z fasetowego szkła – kalejdoskop chwytający promienie słońca lub księżyca.

– 18 października. 1971 rok. Popalał pan w tajemnicy w stajniach. Zapaliła się słoma. Zginęły trzy konie. Wiadomość trafiła do „West Chester Gazette”. Lokalna biblioteka przechowuje mikrofilmy od 1932 roku.

– Był pan w West Chester? – zapytał Rawlings, wpatrując się w szkic.

– Powiedziałem, że zawsze odrabiam swoje zadanie.

– Nie miałam pojęcia, że jeździłeś konno – powiedziała Heather Rawlings, patrząc na swojego męża.

Nie spojrzał na nią i nie powiedział ani słowa.

– Więcej niż „jeździł”. Był mistrzem hrabstwa w skokach i miał szanse na udział w mistrzostwach kraju – powiedział Crosse. Zamilkł na chwilę. – Znalazłem tuziny artykułów o konkurencjach, które wygrał pan przed pożarem, i żadnego późniejszego. Podał się pan.

Ken Rawlings dotknął brzegu szkicu. Smutek już zaćmił jego gniew.

– Może to była próba przeprosin.

– To był wypadek. Kochał pan te konie. Kochał pan sport.

– Dorosłem. Czasami zostawia się za sobą rzeczy, które się kocha, nawet te, które są częścią nas – powiedział Rawlings.

W końcu spojrzał na Crossa.

– To błąd – stwierdził Crosse. – Postępowanie niezgodne z planem. A przynajmniej nie z moim.

Rozdział 4

Clevenger złapał samolot z Waszyngtonu i wylądował w Bostonie o 20.40. Przelotnie pomyślał o tym, by wpaść do biura, aby przygotować sobie wszystko na następny dzień, ale wiedział, że byłoby to po prostu unikanie bliżej nieokreślonych kłopotów, w jakie wpakował się jego syn Billy tego dnia. Ruszył więc prosto do swojego mieszkania w Chelsea.

Nie zobaczył na ulicy samochodu Billy'ego i ulżyło mu, kiedy okazało się, że w mieszkaniu jest pusto. Ale myślenie o synu w ten sposób martwiło go. Wszedł do kuchni i sięgnął wysoko do szafki po zalakowaną butelkę wódki Absolut, która stała tam już od dwóch lat – symbol jego postanowienia pozostania w trzeźwości. Ale teraz, po kilku szklaneczkach merlota, które wypił w ciągu kilku ostatnich dni, symbolizowała wyłącznie jego hipokryzję.

Billy niemal nieustannie był w tarapatkach od czasu, kiedy sam został ojcem w wieku dziewiętnastu lat. Zaczął opuszczać zajęcia w szkole średniej w Chelsea, a potem w ogóle przestał się pojawiać. Brian Coughlin, inspektor oświaty w Chelsea, który przypadkiem był przyjacielem Clevengera, dał Billy'emu dużo luzu. Pomijając wszystko inne, Billy nigdy nie był dobry w troszczeniu się o samego siebie. A nagle miał pomóc zająć się noworodkiem. Jak mógł skupiać się na całkach, kiedy koncentrował się na równaniu tego formatu? Clevenger zaadoptował Billy'ego Bishopa, kiedy ten miał szesnaście lat, po oczyszczeniu go z zarzutów zamordowania swojej siostry w Nantucket. Sprawa skończyła się skazaniem brutalnego ojca Billy'ego na dwadzieścia lat oraz orzeczeniem, że jego równie destruktywna matka jest niezdolna do opieki nad młodzikiem. Kiedy Clevenger wpadł na pomysł adopcji, wszyscy przewidywali katastrofę. Billy miał już doświadczenia z nadużywaniem narkotyków i stosowaniem przemocy, co wyjaśniało, dlaczego był podejrzany o zamordowanie swojej siostry. A Clevenger właśnie odstawił alkohol. Ale nie mógł zostawić chłopaka samego, najprawdopodobniej dlatego, że byłoby to tak, jakby zostawił coś, co było w nim samym. Na początku odnosili sukcesy. Billy odstawił narkotyki. Przestał brać udział w bójkach. Zaczął rozmawiać z Clevengerem na temat swojego bolesnego dzieciństwa, zamiast starać się je zapisać, zaćpać albo opowiadać o nim komuś na tyle głupiemu, kto nie dostrzegał jego drapieżnego błysku w oku i próbował się na niego zamachnąć. Zaczął myśleć o sobie, co jest jedynym sposobem na to, by zacząć myśleć o innych.

Ale wszystkie korzyści wzięły w łeb 11 września 2004 roku, kiedy Jake Bishop miał tylko dwadzieścia dni. Właśnie wtedy trzech członkowie gangu o nazwie Royals postanowili, że przewaga liczebna pozwala im na zignorowanie tego błysku w oczach Billy'ego, jego szerokich ramion i błyskawicznego refleksu, a nawet faktu, że ma złote rękawice klubu bokserskiego w Somerville. Wyszli z założenia, że wszystko to nie ma większego znaczenia niż fakt, że

porządnie ich zdenerwował, odbijając Casey Simms ich aresztowanemu przywódcy, Mariowi Probasco.

Problem Billy'ego polegał na tym, że tylko jednemu z trzech Royalsów udało się zadać cios, zanim cała trójka wylądowała na chodniku. I wszyscy krwawili.

Być może nawet ta piorunująca reakcja nie przeważałaby nad dobrą wolą kuratora Coughlina w stosunku do Billy'ego, ale ten się nie zatrzymał. Trzeba było go powstrzymać. Odciągać musiało go ośmiu uczniów i dwóch nauczycieli. – Przekonałem policję, żeby wniosła oskarżenie – powiedział Clevengerowi Coughlin. – Wiedzą, co to za gang. Ale prawda jest taka, że z łatwością mógł kogoś zabić. To ty jesteś psychiatrą, ale myślę, że on chciał nam coś powiedzieć, opuszczając zajęcia. Nie daje sobie rady. Clevenger patrzył, jak banderola drze się, kiedy otworzył butelkę absoluta. Nalał trochę do szklanki, a potem stał i patrzył na nią. Czuł, że zasłużył na drinka, co sprawiło, że potrzęsął głową. Alkohol prawie go zabił. Odczucie, że na niego zasłużył, było jak uprawnienie do spożywania cykuty. Ale może właśnie o to chodziło. Może próbował zabić tę część siebie, która odczuwała cały ten ból – część, która wiedziała, że Whitney McCormick miała rację, pragnąc własnego dziecka, jak również, że Billy Bishop nie był nawet w połowie odpowiednim materiałem na ojca – i zastanawiał się, czy on sam jest choć odrobinę lepszym.

Odrzucił głowę do tyłu i wlał w siebie truciznę, po czym odstawił butelkę z powrotem do szafki.

Podszedł do starego stolika bibliotecznego, którego używał jako biurka, i spojrzął przez rząd weneckich okien na metalowy zielony kręgosłup mostu Tobin, który łukiem opadał w kierunku Bostonu. Pod spodem tankowiec LNG pod eskortą straży przybrzeżnej poruszał się powoli w kierunku jednej ze stacji paliw, którymi usiane było wybrzeże Chelsea.

Zdecydował się zamieszkać po tej stronie mostu, mimo iż stać go było na Back Bay lub Beacon Hill. Uwielbiał Chelsea, mieszaninę ceglanych domów, zaadaptowanych fabryk, sklepów oraz trzypiętrowych budynków, w których zatrzymywały się kolejne fale imigrantów – Irlandczyków mówiących po gaelicku, rosyjskich Żydów uciekających przed antysemityzmem, Włochów, Polaków, Portorykańczyków, Wietnamczyków, Kambodżan, Salwadorczyków, Gwatemalczyków i Serbów, a wszystko to na powierzchni pięciu kilometrów kwadratowych. Wszędzie czuło się niepokromioną energię ich walki o przetrwanie. Ulice nią przesiąkły i dwa razy, w 1908 i w 1973 roku, miasto nieomalże całkowicie spłonęło. Clevengerowi wydawało się ono miejscem, które na zawsze będzie mu przypominało, że łodzie muszą zmagać się z bólem przez większą część czasu. Ale niekiedy – tak jak dzisiaj wieczoru – nie mógł znieść własnego życia. Ciepło płynące z żołądka dotarło do głowy Clevengera. Usiadł i podniósł artykuł z „USA Today” z 5 sierpnia, który wydrukował dzień wcześniej, zatytułowany *Szalony morderca sięga po kolejną ofiarę*. Przeczytał go raz jeszcze:

Pacific Heights, Kalifornia Specjalnie dla „USA Today” Do czterech rodzin w naszym kraju, które przeżyły tragedię, dołączyła kolejna. Wczoraj policja znalazła ciało znanego właściciela firmy deweloperskiej Jeffreya Groupmanna, lat 46. Zwłoki zostały znalezione w Ironwood, w stanie Michigan, niedaleko kompleksu hotelowo-biurowego, w którym jego firma prowadziła prace. Pan Groupmann, twórca Cloud Marina i Big Sky Mail w San Francisco w późnych latach dziewięćdziesiątych XX wieku, był także filantropem, którego stratę boleśnie odczują bywalcy teatrów i sal koncertowych na Zachodnim Wybrzeżu oraz w jego rodzinnym stanie Illinois. Pozostawił żonę Shaunę, syna Lorena oraz córkę Lexi.

Szef policji w Ironwood Richard Owens nie skomentował przyczyny śmierci, ale wydał oświadczenie potwierdzające, że pan Groupmann został zamordowany oraz że jego obrażenia mogą wskazywać, że przeprowadzono sekcję zwłok. Potwierdził też, że policja stanu Michigan oraz FBI pracują z lokalnymi detektywami i traktują pana Groupmanna jako piątą ofiarę dziwnego mordercy, któremu przypisuje się zabójstwa w Connecticut, Montanie oraz Nowym Jorku.

Odłożył wydruk i zadzwonił do American Airlines, aby zarezerwować lot do San Francisco na następny ranek. Kiedy czekał na połączenie, odwrócił się do swojego komputera, żeby poszukać artykułów na temat Groupmanna. Google znalazło 11 234 strony. Przejrzał je. Większość pochodziła z „San Francisco Chronicle”, „Los Angeles Times” albo „Chicago Tribune”, jak również lokalnych gazet, z nagłówkami donoszącymi o umowach deweloperskich i datkach na cele dobroczynne Groupmanna. Ale kilkaset stron dalej znalazł artykuł w „GQ” z lipca 2004 roku, zatytułowany *Jeffrey Groupmann z Kalifornii: Projekt Bankructwa*. Otworzył go.

Pochodzący z San Francisco przedsiębiorca Jeffrey Groupmann zawsze wierzył, że dobry interes i dobry projekt idą ramię w ramię. Jest w końcu nieprzewidywalnym, ubranym w dżinsy i T-shirt mecenasem sztuki, który dał San Francisco jego Cloud Marinę, zapierający dech w piersi fantastyczny teren mieszkalny składający się z nabrzeży i pięćdziesięciu dużych domów na łąkach. Klienci ciągle czekają w kolejce do dwudziestu szklanych wind, aby uniosły ich na wysokość 250 stóp do jego Big Sky Mail, wbudowanego w zbocze Mount Rafael. Ale bezkompromisowa pasja Groupmanna do piękna w biznesie, jego znak firmowy, który wyniósł go do statusu gwiazdy, może być też jego piętą achillesową. Wszystko zaczęło się od spotkania Groupmanna z architektem Daidem Johnsonem w Starbucks. Zamówienie: dwie kawy latte z karmelem, dwa ciastka z jagodami. Temat: jedyny w swoim rodzaju drapacz chmur. Rękawica rzucona Frankowi Gehry'emu i Danielowi Libeskindowi, obecnym królom dekonstrukcjonizmu. Szacowane koszty: 2,5 miliona dolarów. Kto wie, do jakiej doszliby kwoty, gdyby pili espresso?

Fotografia ukazywała tytanowy model drapacza chmur, poskręcany prostokąt rozcięty na połowy, z których każda była wygięta w inną stronę, przez co u szczytu wyglądał niczym

rozdwojona różdżka. Okna były asymetryczne, o różnych rozmiarach i kształtach, cały budynek wyglądał tak, jakby runął na ziemię, częściowo stopiony od wejścia w atmosferę ziemską, częściowo rozłupany od uderzenia. Na linii w końcu zgłosił się przedstawiciel American Airlines.

– Mogę wiedzieć, kiedy i dokąd się pan udaje? – zapytał.

– Jutro rano, z Bostonu do San Francisco, z nieokreśloną datą powrotu. – Usłyszał, jak żelazne drzwi do mieszkania otwierają się, i obrócił się na krzesło.

Wszedł Billy. Miał na sobie workowate dzinsy rozdarte na obu kolanach i biały, ciasny, pocięty bezrękawnik. Jego długie, ciemnoblond włosy były zaplecione w dredy i wyglądały, jakby należały do egzotycznej rasy psa, który już dawno powinien zobaczyć szampon. Biceps młodzieńca pokrywał tatuaż krzyża trawionego płomieniami. To wszystko nie przyćmiewało jednak wrażenia, jakie wywierały jego jasnoniebieskie oczy, ostre rysy twarzy bądź też doskonale wyrzeźbione ciało czy też zaraźliwy uśmiech. I to była duża część problemu Billy'ego: wyglądał za dobrze, żeby mieć tyle zmartwień. Przyjaciele, a zwłaszcza przyjaciółki, szli za jego przykładem, zamiast uciec w przeciwną stronę albo zaprowadzić go w lepsze miejsce. Clevenger zakrył słuchawkę. – Cześć, stary.

Billy ledwie skinął głową, po czym zniknął w swoim pokoju. Niedobrze. Clevenger obrócił się jeszcze raz i dokończył rezerwacji, po czym odłożył słuchawkę.

Chcąc dać Billyemu trochę czasu, skupił się na artykule w „Esquiereze”. Tekst opowiadał o nieudanej próbie zbudowania przez Groupmanna wieżowca, który miał mieścić sklepy, sto luksusowych apartamentów oraz centrum sztuk pięknych. Pierwotnie miał stanąć w centrum San Francisco. Niestety, koszty wymknęły się spod kontroli. Architekt, David Johnson, stale żądał prawa do zmiany swojego projektu. Z powodzeniem wywierał rozmaite naciski na wpływowych ludzi, żeby przenieść lokalizację budynku na nadbrzeże, skąd rozciągały się niczym niezastłonięte widoki na ocean. Potem zmienił zamiar dokładnej orientacji wieży w stosunku do brzegu i kazał wyrwać wsporniki fundamentów, po czym ponownie je zainstalować. Ciągłe nie był zadowolony, nawet kiedy szkielet budynku był w połowie zbudowany. Chciał znowu wyrwać fundamenty. Kiedy Groupmann odmówił, Johnson poskarżył się burmistrzowi i prasie, że jest zmuszany do kompromisu w stosunku do swojej wizji artystycznej, co jest pogwałceniem jego kontraktu. Groupmann złożył pozew w sądzie. Architekt złożył kontrpozew. Inwestorzy pozwali ich obu. W końcu budowlę wyburzono, ziemię zaś sprzedano ze znaczną stratą. Groupmann zwrócił resztę pieniędzy inwestorom, ale niewiele tego było.

Clevenger wstał i ruszył w kierunku pokoju Billy'ego, ale w tym momencie drzwi się otworzyły i chłopak wyszedł, kierując się w stronę kuchni. Clevenger poszedł za nim, wyciągnął krzeselko barowe spod stojącego na środku stołu i usiadł.

Billy otworzył lodówkę.

– Jak ci minął dzień? – zapytał Clevenger.

– Spieprzony. – Billy nawet się nie odwrócił. Wyjął bochenek chleba i kawałek indyka, po czym dalej zaczął buszować w lodówce.

– Spieprzony w jaki sposób? Billy wzruszył ramionami.

– U Jakea wszystko w porządku? Znowu wzruszenie ramionami.

– Byłeś u niego?

Billy wyciągnął słoik z majonezem i główkę sałaty i w końcu się odwrócił, ale dalej nie patrzył na Clevengera.

– Casey ciągle ujadła przez telefon, więc... Clevenger poczuł, że jego puls przyspieszył.

– Billy, oni mieszkają w Newburyport. To czterdzieści minut drogi stąd. Nie widziałeś go od czterech dni.

Chłopak zaczął przygotowywać kanapkę.

– Ma jedenaście miesięcy. Nie obchodzi go, czy go zobaczę czy nie.

– To nieprawda.

Billy spojrział w górę, pewnie dlatego, że szukał okazji, by dać ujście wściekłości, i w końcu ją znalazł.

– Wedle którego podręcznika?

Clevenger usłyszał go głośno i wyraźnie: nie miał własnych dzieci. Ale to nie było całe przesłanie, które do niego dotarło. Wyczuł też zapach alkoholu w oddechu Billy'ego. Zobaczył że ma zaczerwienione oczy. I właśnie w tym momencie pożałował, że napił się tego merlota, a co gorsza wódki, ponieważ nie mógł powiedzieć tego, co chciałby teraz powiedzieć – że Jake Bishop potrzebuje ojca jak cholera, że w wieku jedenastu miesięcy być może nie podoba się Billy'emu za bardzo, ale jest już wystarczająco silny, żeby wprawić ojca w przerażenie i gorzała tego nie zmieni.

– Piłeś przed szukaniem pracy czy po? – zapytał go.

– Zajmę się tym jutro z samego rana – powiedział Billy z pełnymi ustami.

Clevenger skinął głową.

– Jutro.

Billy nie pracował od sześciu miesięcy, od czasu, kiedy Peter Fitzgerald, właściciel stoczni mieszczącej się na drugim końcu ulicy, przestał ignorować fakt, iż Billy spędza więcej czasu na rozmowach o Red Socksach z facetami pływającymi na holownikach niż przy budowie nowego doku.

Część z tych facetów zaczęła przychodzić w wolne dni, co mogło oznaczać, że lubią towarzystwo Billy'ego, ale bardziej prawdopodobne było, że polubili trawkę, którą zawsze miał przy sobie.

– Nie będę do końca życia płacił na utrzymanie twojego dzieciaka – powiedział

Clevenger, nienawidząc faktu, mówi jak typowy przybrany ojciec. – Nie powinieneś – stwierdził Billy, odwracając się z powrotem do lodówki. – To nie twoja krew. – Jeżeli masz coś do powiedzenia na temat swojej adopcji, powiedz to.

Billy wyciągnął piwo. Z tego, co Clevenger wiedział, jedynym alkoholem w domu była symboliczna butelka wódki, którą właśnie otworzył. Przyrzekli to sobie z Billym.

– Przyniosłeś piwo do domu? – Brachu – roześmiał się chłopak – ono było tam dwa dni. Musiałeś je widzieć. – Nie, nie widziałem. – Clevenger poczuł łomotanie pulsu w skroniach. – Wyrzuć je.

– Wyluzuj – rzucił Billy. – To tylko piwo. Nigdzie nie jadę.

Pomaga mi zasnąć. – Otworzył puszkę.

Clevenger zerwał się ze swojego krzeselka, zanim Billy zdołał przytknąć puszkę do ust. Popchnął go na blat.

– Powiedziałem, wyrzuć je.

W oczach Billy'ego błysnęła wściekłość. Potem znikła albo przygasała.

– Pachniesz wódką – powiedział. – I przypieprzasz się do mnie? – Mrugnął, a potem zbliżył puszkę do ust i pociągnął łyk.

Psychiatra w Clevengerze mógłby wytknąć innemu ojcu, że syn pił na jego oczach, kiedy łatwo mógłby to ukryć, że szukał z nim zwady, kiedy łatwo byłoby jej uniknąć, więc pewnie było to wołanie o pomoc. Ale tym razem Clevenger był tym ojcem. Był częścią tej opowieści, a nie słuchał jej. Jego wykształcenie mogło mu zaofiarować jedynie swego rodzaju rozdwojenie jaźni, więc potrafił zauważyć błąd, który popełnił, kiedy wytrącił puszkę piwa z ręki Billyego, złapał go za koszulkę, pociągnął w stronę drzwi wejściowych i przycisnął do nich. Potrafił też się powstrzymać, zanim je otworzył i wyrzucił go na zewnątrz. Spojrzał na swoje zaciśnięte ręce. Przypominały mu pięści jego ojca podczas łań, które dostawał, które wydawały się nigdy nie kończyć i być może nigdy się nie skończyły. Puścił.

– Posłuchaj, musimy...

– My głównie musimy – powiedział Billy. Odwrócił się, otworzył drzwi i wyszedł.

Rozdział 5

10 sierpnia 2005,
godz. 23. 10

Do godziny 21. 00 West Crosse dostał wiadomość od dwóch z trzech osób, które poznał przy Beach Drive 11204. Ken Rawlings zadzwonił, żeby mu powiedzieć, że on i jego żona chcą, żeby zaprojektował ich dom w Montanie. Mieli nadzieję, że będzie mógł zacząć natychmiast. Asystentka Rawlingsa Maritza zadzwoniła, żeby się dowiedzieć, czy nie jest zbyt zmęczony, żeby spotkać się na drinka w hotelu Delano w South Beach, gdzie umieścił go Rawlings.

Nigdy nie był aż tak zmęczony, żeby nie obsłużyć klienta. Spotkał się z Maritzą w hotelowej restauracji Blue Door, pobielonym koszmarze art deco z czteroipółmetrowymi okrągłymi gipsowymi kolumnami podpierającymi płaski sufit, przezroczystymi zasłonami na ścianach ze szkła, białymi nakryciami stołowymi, białymi krzesłami oraz białym kandelabrem, w którym tkwiły białe świece. Czuł się jak plastikowa figurka na weselnym torcie egocentryka i miał ogromną ochotę jedną z tych białych świec podpalić białe klosze białych stojących lamp, po prostu po to, żeby nadać temu miejscu odrobinę kolorytu, ciepła i życia. Zamiast tego skupił uwagę na dziewczynie – na jej pełnych ustach, smagłej skórze, platynowoblond włosach, długich paznokciach. W ciągu kilku sekund wyobraził ją sobie jako bardziej naturalną blondynkę z prostymi włosami, które lepiej podkreślałyby barwę jej orzechowych oczu i owal twarzy. Skrócił jej paznokcie, startł różowy lakier i zamiast niego umieścił bardziej subtelny francuski manicure. Zdjął jej dopasowany, głęboko wycięty T-shirt i okrył ją luźniejszą, mniej wydekoltowaną koszulką na ramiączkach w kolorze róży. Zmienił jej opinające biodra dzinsy na proste czarne spodnie. Zmienił nawet barwę napiętego głosu, którym starała się wytłumaczyć, dlaczego do niego zadzwoniła, i sprawił, że zaczęła mówić ciszej i wolniej.

– W tak zawoalowany sposób dałam ci do zrozumienia, że dokładnie nie wiem, dlaczego zadzwoniłam – podsumowała.

– Oczywiście, że wiesz – powiedział Crosse. Pochylił się w jej kierunku. – Czy to byłoby łatwiejsze, gdybym to ja powiedział?

– Być może.

– Zadzwoniłaś do mnie, bo wiesz, że możesz być kimś więcej ze mną niż beze mnie. – Zobaczył, że znieruchomiała, myśląc jego szczerłość z arogancją. – Czuję w stosunku ciebie dokładnie to samo. Możesz coś dodać do mojego życia. Jestem tego pewien. W innym wypadku nigdy nie przyjąłbym twojego zaproszenia.

To umieściło ich na równej stopie. Odprężyla się.

– Nie wiemy tylko, co ostatecznie mamy sobie dać. Może to być coś równie prostego, jak twoja opowieść o tym, jak dorastałaś na Kubie i co wtedy kochałaś, a czego nienawidziłaś. O tym, jak zmienia się tam światło w ciągu dnia. O roślinach i kwiatkach, które idealnie nadają się do ogrodu. O najpiękniejszej plaży, ulicy i łuku, jaki pamiętasz. O kawałku ziemi, na którym chciałaś mieć dom jako mała dziewczynka. O tym, jak wyglądałby ten dom, jak by w nim pachniało, jak byś się w nim czuła – zamilkł. – A może zdołasz nauczyć mnie czegoś więcej o tym, co sprawia, iż czujesz, że żyjesz, o swojej pasji.

Jej szyja zaczęła się czerwienić, tak samo jak w domu Rawlingsów.

– A czego ty mnie nauczysz? – zapytała.

– Na przykład tego, że jesteś bardziej pociągająca, niż myślisz. Martwisz się, że ktoś może nie dostrzec twojego piękna. Dlatego masz za długie paznokcie. – Wziął ją za rękę i przesunął kciukiem po jej smukłych palcach. – Farbujesz swoje włosy na jaskrawy odcień. Nosisz obcisłe ubrania. – Spojrzał jej w oczy. – A powinnaś być świadoma tego, że jesteś piękna ponad wszelką wątpliwość. – Zobaczył, że jej oczy zaczynają lśnić. – Kiedy zaczniesz postrzegać to tak jak ja, to samo stwierdzi każdy mężczyzna, którego spotkasz.

Spojrzała w dół i zaczęła się bawić sztuczkami.

– Skąd mam wiedzieć, że nie mówisz tego każdej kobiecie, z którą się spotkasz? – Znów spojrzała na niego.

– Ponieważ prawda jest wszystkim, co mam. Nie zamieniłbym jej na nic innego. Z pewnością nie na seks. – Spojrzał jej głębiej w oczy. – Nawet na miłość.

Uwierzyła mu. Dlaczego nie? Mówił tak, jakby każdą cząstką swego jestestwa wierzył we wszystko, co powiedział. Uwierzyła mu nawet bardziej, kiedy położył ją na swoim białym łóżku w białym pokoju z widokiem na spienione fale Miami Beach. Nikt nie mógłby udawać czułości, z jaką przeczesał palcami jej włosy, kiedy całował jej usta. Nikt nie mógłby wymyślić pełnego pożądania, ale i nieśpiesznego sposobu, w jaki pieścił jej kark, piersi i brzuch. Żaden oszust nie zauważyłby momentu, kiedy podniosła lekko biodra, zapraszając go pomiędzy swoje uda. Żaden kłamca nie potrafiłby poprowadzić ich tańca dokładnie tam, gdzie miała nadzieję dotrzeć, i wyczuć momentu, kiedy natura już miała przejąć kontrolę, a potem nagle przerwać, pozostawiając ją drżącą na tej aksamitnej granicy, gdzie jej ciało i dusza zlewały się w jedno. Ktoś, kto nie miłuje prawdy – jej prawdy – nie mógłby zwrócić jej całej kontroli – której tak bardzo się obawiała, a jednocześnie pożądała – po prostu przewracając się na plecy i krzyżując nadgarstki nad głową. Minutę później leżeli obok siebie zmęczeni.

– Skąd masz tę bliznę? – zapytała, złożywszy głowę na jego piersi.

– Zaciąłem się podczas golenia.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Powiedzmy, że była w to zamieszana brzytwa, i tak to zostawmy.

Pocałowała jego pierś i znów położyła na niej głowę.

– Nie chcę cię okłamywać – powiedziała. Słuchał jej oddechu.

– Ken nie może się o nas dowiedzieć – rzekła. Ken, a nie pan Rawlings.

– Dlaczego? – zapytał.

– Jest zazdrosny.

Przez chwilę panowała cisza. Wzięła głęboki oddech, po czym powoli go wypuściła.

– Nie zawsze łączyły nas stosunki... zawodowe.

– Doceniam, że mi to mówisz. Kochasz go? – spytał po chwili milczenia.

– Nie jestem do końca pewna, czym jest miłość. Kochała go.

– Jest dobrym człowiekiem?

Wzruszyła ramionami.

– Martwisz się o moje uczucia – powiedział. – Niepotrzebnie.

– Tak. – W jej głowie brzmiało wahanie. – Jest dobrym człowiekiem.

– I szczodrym?

– Mmm. Hmm.

– Silnym? Skinęła głową.

– Więc dlaczego tu jesteś?

– Nie wiem – powiedziała cicho. To była szczerza odpowiedź.

– Dlatego że jest ze swoją żoną?

– Być może.

Bardzo szczerza odpowiedź.

– Spotykałaś się z nim w tym hotelu.

– Nie...

Dotknął jej bransoletki z brylantową pacyfką.

– Dał ci to – powiedział.

– Nie będę jej nosić, jeżeli ci to przeszkadza.

– Nie przeszkadza. Spojrzała w górę z niepokojem.

– To wspaniały prezent.

– Ciii. – Położyła głowę z powrotem na jego piersi. Wziął jej rękę w swoją.

– To prawda. Twoja i jego. Potrzebowaliście się. To nie ma nic wspólnego z tobą i ze mną.

Bransoletka mówi coś wspaniałego.

– Że robi zakupy u Barneysa? Obydwoje się roześmiali.

– Nie tylko to – wyjaśnił. – Mówi, że bogactwo jego żony, jej diamenty, nie mogą zrobić tego, co ty dla niego robisz.

Dajesz mu wewnętrzny spokój.

Dotknęła palcem jego ust.

– Nie chcę już o nim rozmawiać – powiedziała. – Teraz jestem z tobą.

Wiedział, że to kłamstwo i będzie musiała zrobić coś, żeby to ukryć. Wsunęła się pod kołdrę i całując jego pierś i podbrzusze, przesunęła się niżej.

Rozdział 6

11 sierpnia 2005,
godz. 14.05
czasu urzędowego pacyfiku

Clevenger załatwił, żeby pracownicy Whitney McCormick zaaranżowali dla niego spotkanie z wdową po Groupmannie, Shauną, w jej rodzinnej posiadłości w Pacific Heights. Wylądował na międzynarodowym lotnisku San Francisco i złapał taksówkę.

Już w drodze spróbował zadzwonić na komórkę Billy'ego. Bez odpowiedzi. Żadna niespodzianka. Billy nie wrócił do domu zeszłej nocy, co oznaczało, że albo zatrzymał się u jakiegoś znajomego, albo zszedł się z jakąś dziewczyną, albo spał na jednym z holowników cumujących w porcie Fitzgeralda. Chyba że wziął dziewczynę ze sobą do portu.

Zaaranżować takie spotkanie było mu o wiele łatwiej, niż wsiąść do pociągu do Newburyport, żeby zobaczyć syna. Clevenger budził się tej nocy trzy razy i szedł do pokoju Billy'ego, by stwierdzić, że jest pusty. Pomyślał, żeby samemu udać się do portu. Ale chyba nic dobrego by z tego nie wynikło. Zazwyczaj Billy potrzebował kilku dni, żeby ostygnąć, jeżeli coś się między nimi zagotowało. A tym razem Clevenger musiał przyznać, że sam potrzebuje dnia albo dwóch, żeby odstawić gorzałę i pozbyć się wszelkiej nadziei, że uda mu się szybko naprawić swoje problemy z Whitney McCormick. Bo nadzieje nie pokrywały się z rzeczywistością i jego nastrój wciąż się pogarszał.

Wiedział, że powinien był polecieć późniejszym lotem i dotrzymać terminu spotkania ze swoim psychiatrą Tedem Pearsonem. Kiedy o 4.10 nad ranem zostawił mu wiadomość, że odwołuje ich spotkanie na siódmą, wiedział, że to unik, co na dłuższą metę oznaczało unik wobec samego siebie. Ale myślenie o tym sprawiło tylko, że poczuł się gorzej, więc napił się wódki) żeby pozbyć się tego uczucia. Tak to właśnie działa – do momentu, kiedy przestaje działać.

Jeszcze raz zadzwonił na komórkę Billy'ego. Znowu poczta głosowa. Przerwał połączenie i zadzwonił do swojego partnera Northa Andersona.

– Żeglujesz spokojnie? – zapytał Anderson.

– Zgodnie z rozkładem.

Dobrze było usłyszeć głos Andersona. Byli partnerami od siedmiu lat, wystarczająco długo, żeby razem odwiedzić setki miejsc zbrodni i kostnic, przesłuchać tuziny tuzinów morderców, gwałcicieli, rodziców, którzy stracili dziecko, sióstr, braci, dzieci, a potem obserwować, jak obaj na przekór temu wszystkiemu starają się prowadzić w miarę normalne życie. Wydawało się, że

Andersonowi zawsze wychodziło to lepiej. Wyrwał w małżeństwie przez dwadzieścia jeden lat i udało mu się uchronić od kłopotów dwoje swoich dzieci. A nie było to łatwe dla kogoś, kto ciągle utykał z powodu kuli, którą dostał podczas napadu na bank w Baltimore i w czasie bezsennej nocy odtwarzał w myślach strzał oddany w rewanżu do zamaskowanego bandyty, który okazał się piętnastoletnim chłopcem. Kula Andersona ugodziła szczeniaka prosto w serce. W drodze na lotnisko Clevenger zatrzymał się w biurze i zostawił Andersonowi swoje notatki na temat spotkania w FBI, razem z wydrukami o Groupmannie i czterech innych ofiarach zabójcy.

– Znalazłeś teczkę, którą zostawiłem na twoim biurku? – zapytał.

– Już ją przejrzałem.

– Jest coś jeszcze. Powiem ci w cztery oczy. Ale co teraz myślisz?

– Myślę, że między ofiarami jest jakieś powiązanie, którego federalni jeszcze nie znaleźli.

Ten facet staje na głowie, żeby wziąć na celownik wysoko postawionych i potężnych. Po co?

Ich narządy wewnętrzne wyglądają tak samo jak każde inne. Musi mieć inny powód.

– Czytasz w moich myślach.

– To przerażająca myśl.

– Horror – dorzucił Clevenger. Była to abstrakcyjna uwaga, ale niosła ze sobą część bólu Clevengera.

Zapadła chwila brzemiennej w znaczenie ciszy, po czym usłyszał stwierdzenie:

– Nie byłeś przesadnie szczęśliwy, nagrywając wiadomość, że wyruszasz do San Francisco.

– Wszystko w porządku – powiedział Clevenger. Wiedział, że Anderson usłyszał, że tak nie jest. Spojrzał zmrużonymi oczami przez okno taksówki. – Billy i ja mieliśmy awanturę.

– O?

– Poszło o Jake'a.

– Och.

– I inne sprawy.

– Źle?

– Wczoraj w nocy spał poza domem. – Wyobraził sobie, jak przycisnął Billy'ego do drzwi, przypomniał sobie gniew, który w nim narastał. – Źle.

– Chcesz, żebym sprawdził, co u niego?

– Jeżeli mógłbyś.

– Załatwione. Kiedy wracasz?

– Jak nic mi nie wypadnie, wrócę wieczornym samolotem i będę w biurze z samego rana.

– Zadzwoń do ciebie później.

– Dzięki za...

– Nie ma sprawy. Trzeba robić, co się da, żebyś był trzeźwy, bracie, czyż nie?

Wiedział, pomyślał Clevenger. Zawsze wiedział.

– Dzień po dniu – odparł.

– Dzień po dniu. Rozłączyli się.

Kierowca skręcał w stronę Broadwayu, w Piątą Przecnicę Pacific Heights, jedno z najbardziej prestiżowych miejsc na świecie. Pomiedzy podobnymi do pałaców domami prześwitywał zapierający dech w piersi widok mostu Golden Gate nad zatoką San Francisco, której wody usiane były łódkami przepływającymi obok wyspy Alcatraz, Angel oraz wzgórz Marin.

Taksówka zwolniła i skręciła między kolumny z białego kamienia z oznaczeniem 2910, a potem ruszyła szerokim podjazdem. Rosnące po obu stronach dęby rzucały głęboki cień. Podjazd miał przynajmniej dziewięćdziesiąt metrów długości i kończył się podwójną pętlą przed jednym z najpiękniejszych domów, jakie Clevenger w życiu widział. Zapłacił za kurs, wysiadł i stał tam, patrząc na to miejsce. Był to pokryty gontem dom w stylu wiktoriańskim, z zaokrąglonymi rogami, ciemnozielonymi obramowaniami drzwi i okien z okiennicami, które zdawały się wznosić ku otaczającym dom wzgórzom. Dach usiany był wieżyczkami i wykuszami, z ceglanym kominem na każdym z końców. Dom musiał mieć z tysiąc albo i więcej metrów kwadratowych, a mimo to wyglądał przytulnie i zachęcająco z okalającymi go głębokimi gankami i zakrytym wejściem, do którego prowadziły.

Clevenger wspiął się po szerokich schodach prowadzących do frontowych drzwi i spojrzał przez szyby z fasetowego szkła. Mógł dostrzec wielki centralny pokój na tyłach domu; obszerne, obramowane okna pozwoliły jego wzrokowi sięgnąć dalej, ponad zielonym trawnikiem, który wydawał się wtaczać na niebo niczym szaroniebieski dywan w kierunku lśniącego mostu Golden Gate. Zadzwoił.

– Chwileczkę! – zawołał kobiecy głos.

Kilka sekund później drzwi otworzyła szczupła, bardzo ładna kobieta około trzydziestu pięciu lat, z prostymi ciemnoblonde włosami ściągniętymi w kucyk, ubrana w levisy i biały T-shirt z wycięciem w serek.

– Doktor Clevenger, jak sądzę.

Mówiła oficjalnym tonem, który sprawił, że wziął ją za osobistą asystentkę Groupmanna.

– Jestem trochę wcześniej – powiedział.

– Bez obaw. – Wyciągnęła rękę. Bez biżuterii. Zadbane, niemalowane paznokcie. – Jestem Shauna Groupmann.

– Bardzo mi przykro z powodu pani straty. – Ucisnął jej dłoń.

– Dziękuję. Ciągłe nie możemy uwierzyć w to, co się stało.

Być może, ale w jej głosie słyszał spokój, a nie niedowierzanie. I nie widział smutku w jej szmaragdowych oczach.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Poszedł za nią przez wielki pokój ze ścianami pokrytymi jodłową boazerią, podłogami z drewna klonowego z orzechową mozaiką, odsłoniętymi dźwigarami i krokwiami i tymi magicznymi oknami z widokiem na most. Była to nieskazitelnie piękna, ponadczasowa przestrzeń, która mogła powstać sześć miesięcy temu lub przed wiekami. Usłyszał głosy, a potem śmiech i spojrzął przez sklepione przejście do jadalni. Mężczyzna obrócony plecami do drzwi, nastoletnia dziewczynka i dziesięcio- bądź jedenastoletni chłopiec jedli obiad. Chłopiec spojrzął na młodszą i znów wybuchnął śmiechem. Dziewczynka parsknęła i potrząsnęła głową.

– Mój syn i moja córka – wyjaśniła pani Groupmann, patrząc na niego do tyłu. – Może porozmawiać pan z nimi później.

– Dziękuję – powiedział Clevenger – z chęcią to uczynię. Miał kilka powodów. Po pierwsze, wydawało się, że dzieci Groupmanna opłakują utratę swojego ojca w tym samym stopniu jak ich matka. Po drugie, wyglądały na żyte z mężczyzną znajdującym się w pokoju, wdowa po Groupmannie zaś nic o tym człowieku nie wspominała.

W swej karierze Clevenger widział już każdy niemal rodzaj reakcji na smutek i stratę: matkę, która upierała się, że jej dziecko zostało porwane przez kosmitów, zamiast pogodzić się z faktem, że zostało uduszone dla swojej kurtki marki New England Patriots. Świeżo upieczonego małżonka, który wolał wyrzucić z pamięci swoją narzeczoną, by nie pamiętać ich ostatniej wspólnie spędzonej godziny, kiedy on był związany, a ona na łasce trzech mężczyzn, którzy nie mieli litości. Kiedy brutalna rzeczywistość parzy niczym gorące węgle, ludzki umysł czasami czepia się pojedynczych strzępów wyimaginowanej rzeczywistości.

Pani Groupmann zabrała go do biblioteki o rozmiarach apartamentu, z trzema ścianami pokrytymi od podłogi do sufitu regałami z drewna orzechowego, do których dostęp umożliwiały trzy pary ruchomych schodów na szynach.

Można było wspiąć się na jedne z nich, wziąć wolumin z górnej półki, usiąść i przeczytać kilka stron. Na czwartej ścianie znajdował się kolejny kominek; ten był obramowany strzelistymi oknami w stylu gotyckim, które wychodziły na otoczone ogrodami patio z błękitnoszarego piaskowca. Pani domu wskazała mu parę obszernych skórzanych foteli przed kominkiem i usiadła na zielonej zamszowej kanapie naprzeciwko.

Clevenger usiadł. Patrząc na nią, zdał sobie sprawę, że jest bardziej niż ładna. Jej rysy twarzy były niemal perfekcyjne – duże oczy, mały nos, wysoko osadzone kości policzkowe, pełne usta, wyraziście zarysowana szczeka. Wybielone zęby. Wyglądała jak modelka w dzień wolny, tym bardziej piękna, że się nie starała.

– Rozumiem, że to może być trudne – powiedział. – Ale muszę wiedzieć jak najwięcej na temat pani męża.

– Myślę, że wszystko powiedziałam FBI. Tej nocy naprawdę nie wydarzyło się nic dziwnego. Powiedział, że zostaje do późna w swoim biurze w Ironwood, co było dość typowe.

Próbowałam zadzwonić do niego koło północy, ale nie oddzwonił, więc położyłam się spać. Kiedy obudziłam się tuż po ósmej, nadal nie mogłam się z nim skontaktować.

Zadzwoniłam do nadzorca na budowie, który powiedział, że Jeffrey nie przyszedł na spotkanie z nim o siódmej. Wtedy zadzwoniłam na policję.

Clevenger pochylił się do przodu.

– Detale mniej mnie interesują, bardziej chciałbym się dowiedzieć czegoś o pani mężu jako o człowieku. – Zrobił przerwę. – Jaki był?

– Jako człowiek? – Cień uśmiechu. – Był wspaniały.

– Wspaniały, w jakim sensie?

– Był... czarujący. Bardziej niż czarujący. Mógł sprzedać wszystko każdemu.

Nie jest to raczej materiał na nagrobek, pomyślał Clevenger.

– Urodzony sprzedawca – powiedział.

– Zdecydowanie.

– Bardziej niż na przykład wspaniały artysta. Albo wspaniały mąż bądź wspaniały ojciec.

– Artysta... – Zamyśliła się. – W sensie komercyjnym pewnie tak. Może ujmę to lepiej. Był absolutnym geniuszem, jeśli chodziło o przekonywanie ludzi, żeby poparli jego kreatywną wizję, aby przyłączyli się w niej do niego. Trochę jak te syreny z greckiej mitologii.

Syreny były pięknymi stworzeniami – po części kobietami, a po części ptakami, które żyły na wyspie i wabiły żeglarzy ku ich zgubie swoim nieodpartym śpiewem.

– Mówi pani, że oczarowywał ludzi, żeby przyłączali się do niego, podczas gdy w istocie nie powinni byli tego robić?

– Jestem pewna, że odrobił pan zadanie domowe – powiedziała pani Groupmann. – Jeffrey nieraz doprowadzał nas na skraj bankructwa. Zawsze sobie poradziliśmy, nawet przy projekcie Davida Johnsona.

– Drapacz chmur. Skinęła głową.

– Niektórzy ludzie nie mieli tyle szczęścia. – Spoważniała. Taki właśnie był problem z moim mężem: łatwo było za nim iść, ale trudniej przewidzieć, gdzie się wyląduje.

Po raz pierwszy głos wdowy zabrzmiał gorzko, tak jakby była jednym ze zbankrutowanych inwestorów jej męża. Być może nim była, w sensie emocjonalnym.

– Czy w stosunku do pani był równie przekonujący? – zapytał Clevenger.

Uśmiechnęła się szerzej, a uśmiech dłużej gościł na jej twarzy.

– Nikt z policji ani z agentów FBI nie zadawał tego typu pytań.

– Nie są psychiatrami.

– Przydałby mi się pan wiele lat temu. – Uśmiechnęła się do swoich myśli, po czym znów zrobiła się poważna. – Powiedzmy, że kupiłam od Jeffreya zestaw planów.

– Planów...

– Nie poddaje się pan. Nigdy.

– A powinienem?

Zaczerpnęła głęboko powietrze, po czym je wypuściła.

– Planów wspólnego życia, rodziny. Miał niewiarygodnie poetycki i sugestywny sposób opisywania, jak będziemy razem podróżować i wychowywać dzieci.

– Nie mogła mu się pani oprzeć.

– Jemu, jego planom... nieważne. – Złożyła dłonie na kolanach i spojrzała w dół.

– Nie stworzyliście tego, o czym mówił. Spojrzała w górę.

– Nawet nie w połowie.

– Dlaczego?

– Chryste. – Jej oczy wypełniły się łzami. – Co to ma wspólnego z morderstwem?

– Być może nic – powiedział Clevenger. – Ale rozmawiamy o tym. Więc może ma.

Łza zaczęła spływać jej po policzku. Otarła ją.

– A może po prostu lubi pan sprawiać ludziom ból. Wiedział, że sprawia jej ból. Dobry psychiatra musi umieć cię osaczyć, odciąć wszystkie proste drogi wyjścia, nawet jeżeli to boli. Ma boleć.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

– Naprawdę nie obchodzi mnie, czy pan się dowie – rzekła w końcu pani Groupmann. – Nie będzie mnie obchodziło, nawet jeżeli cały cholerny świat się dowie. – Jej warga zaczęła drżeć. – Mój mąż był gejem. – Opuściła wzrok i objęła się rękoma. – To definitywnie nie było częścią planu.

Clevenger poczekał, aż kobieta odzyska panowanie nad sobą.

– Kiedy się pani dowiedziała?

– Mniej więcej wtedy, kiedy przeprowadziliśmy się tutaj z Carmel. – Spojrzała na Clevengera. – Trochę ponad cztery lata temu.

– Jak?

– Usiadł ze mną jednej nocy i powiedział mi. Wykorzystał wszystkie schematy: że „żył w kłamstwie”, że nie chce już więcej udawać”, że to „nie ma nic wspólnego ze mną”.

– Czy miał... partnera? Skuliła się.

– Nie pytałam. A on nie powiedział. Ale wątpię, że przyznałby się do tego, iż jest gejem, gdyby tylko o tym fantazjował. Nie sądzę, żebyśmy przenieśli się do San Francisco przez przypadek.

– To był pomysł pani męża?

– Powiedział, że „zakochał się” w tej posiadłości. Nigdy nie chciałam wiedzieć, w czym tak naprawdę się zakochał.

– Czy myślała pani o tym, by od niego odejść? – zapytał Clevenger.

– Oczywiście.

– Ale...

– Dzieci były młodsze, w nowych szkołach, miały nowych przyjaciół. Nie chcieliśmy, żeby musiały przez to przechodzić, wie pan, rozwód, nagłówki w prasie i co tam jeszcze. A ja... – Potrząsnęła głową.

– Pani... ?

– Naprawdę by mi się pan wtedy przydał. Clevenger milczał.

Wzruszyła ramionami.

– Miałam już własne życie. Jeffowi i mnie nie układało się w tych sprawach już od kilku lat, zanim powiedział mi, o co chodzi. Ruszyłam dalej.

– Do następnego związku.

– Tak – powiedziała cieplejszym głosem, tak jakby myślała o swoim kochanku.

Clevenger dodał dwa do dwóch.

– Mężczyzna w kuchni z pani dziećmi.

– Tak. David. – W jej głosie brzmiało prawdziwe uczucie.

– A więc pani i pani mąż zdecydowaliście się żyć razem, ale oddzielnie – podsumował. – Pani miała Davida. On... kogokolwiek.

– Ładnie pan to ujął – powiedziała. – Żyliśmy w kłamstwie.

W jej tonie znów dało się wyczuć gorycz.

– To panią wykończyło – stwierdził Clevenger.

– Obydwoje nas wykończyło.

– W jaki sposób?

– Wybraliśmy nowych partnerów. Jeff przyjął całkiem nowy styl życia. Tradycyjnie próbowaliśmy zostać przyjaciółmi, ale trudno nimi być, kiedy człowiek czuje się opuszczony, oszukany czy cokolwiek. – Komu było trudniej?

– Myślę, że czuliśmy się tak samo. Żadne z nas sobie z tym nie radziło.

To się nie zgadzało. Mąż pani Groupmann deklarując swoją orientację seksualną, radykalnie zmienił strukturę rodziny. Dlaczego miałby potępiać swoją żonę za to, że dawała wyraz swojej?

– Jaki problem miał pani mąż z pani nowym związkiem? – zapytał.

– Myślał, że mogłam wybrać kogoś innego.

– Nie lubił Davida.

– Było o wiele gorzej – powiedziała.

Clevenger spojrział na nią pytająco, ponaglając ją, żeby powiedziała więcej.

– Kochał go. – Zrobiła przerwę. – David był ukochanym bratem Jeffreya. Byli bliźniakami.

Rozdział 7

Patrzenie na Davida Groupmanna wymagało odrobiny przyzwyczajenia. Clevenger widział zdjęcia jego identycznego bliźniaka – rozpreparowanego – przed opuszczeniem Quantico. Oto zaś patrzył na żywą, oddychającą kopię. Siedzieli na skórzanych fotelach w bibliotece. Shauna Groupmann poszła na spacer z dziećmi. Clevenger widział, jak spacerują ręka w rękę w ogrodach za patio.

– To było niezmiernie skomplikowane albo niezmiernie proste, zależy, jak się na to patrzyło – powiedział Groupmann Clevengerowi płynnym, głębokim głosem. Był szczupłym, wysokim mężczyzną, bardziej eleganckim niż męskim, z ciemną opalenizną i gęstymi brązowymi włosami zaczesanymi do tyłu. Jego oczy były o wiele ciemniejsze, prawie czarne. Miał na sobie jasnoniebieski sweter marki Lacoste, spodnie khaki i półbuty, – Z której strony pan na to patrzył? – zapytał go Clevenger, – Zanim Jeff ujawnił swoje skłonności, czułem do siebie niesmak – odparł. – Jeżeli ktoś by mi kiedyś zasugerował, że będę miał romans z żoną brata, powiedziałbym mu, że jest szalony. To mnie rozdarło. Nie mogłem spać. Straciłem siedem, potem dziewięć kilogramów. To znaczy, byliśmy ze sobą bardzo blisko, Cała ta sprawa z bliźniakami... mówienie jeden przez drugiego, kończenie zdań za drugą osobę. – Pokręcił głową. – Kochałem Jeffa. Mieliśmy tylko siebie, żadnych braci ani siostr. Czułem się jak najgorszy człowiek na świecie.

– A więc dlaczego? Groupmann opuścił wzrok.

– Już wtedy mieli poważne problemy. Jeff nie zajmował się dziećmi tak, jak oczekiwała Shauna. Praca była dla niego wszystkim, ale to dopiero początek. Nie było pasji. Zero.

Choć wiem, że to nie daje zielonego światła. – Spojrzał na Clevengera. – Nie mam prostej odpowiedzi. Jeżeli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że przez większą część mojego życia wiedziałem w głębi duszy to, do czego Jeff w końcu przyznał się przed samym sobą... i przed Shauną. Zauważałem pewne rzeczy nawet, kiedy byliśmy dziećmi. Oglądałem się za jakąś dziewczyną, on nie. Był popularny, grał w futbol w Andover i Yale, cała ta paczka, ale nie umawiał się zbyt często. Tych kilka dziewczyn, z którymi chodził, powiedziało mi, że lubiły go, bo nie nalegał. Może trochę całowania.

Może. I to było wszystko. – Parsknął. – W sumie w pewnym momencie przekonałem sam siebie, że był w porządku wobec mnie i Shauny, że w pewnym sensie chciał, żeby to się wydarzyło i żeby sam był wolny.

– Kiedy to było?

– To się zaczęło jakieś sześć lat temu. Mieszkałem kilka kilometrów od nich w Carmel. Czasami Jeff wyjeżdżał z kraju, żeby zdobyć kapitał czy co tam i wysyłał mnie, abym spojrzał na

kawałek ziemi albo budynek w Chicago, Filadelfii czy Bostonie i powiedział mu, co o nich myślę. Od czasu do czasu chciał też poznać opinię Shauny. Więc wynajmowałem odrzutowiec, lecieliśmy razem i mieszkaliśmy w tym samym hotelu. Chemia pomiędzy nami była... niezwykła. Nie wiem, jak mógł tego nie zauważyć.

– Pracował pan wtedy dla niego?

– Po prostu mu pomagałem. Jestem artystą. Wszystkiego, co wiem na temat nieruchomości, nauczyłem się od brata.

Pomoc była jednym z możliwych punktów widzenia.

– Jakiego rodzaju artystą jest pan?

– Gównianym, a co, nie widać? – Przewrócił oczami. – Jestem malarzem.

To jedno zdanie przekonało Clevengera, że David Groupmann nie jest bardziej pograżony w żalobie niż Shauna Groupmann – a przynajmniej nie w ogólnie przyjęty sposób.

– Czy udało się panu osiągnąć sukces?

– Myślę, że niektóre z moich obrazów były udane – powiedział. – To jedyny rodzaj sukcesu, na jakim mi zależy.

Co oznaczało, że nie zarobił dużo pieniędzy. Nic w tym złego.

Ale oznaczało to też, że to jego brat odniósł sukces finansowy. I był tym sławnym. Aż do teraz. Teraz David Groupmann miał wszystko – żonę swojego brata, pełen dostęp do luksusowego domu, być może nawet dostęp do jego fortuny. – Jak wyglądały pańskie relacje z bratem, kiedy już dowiedział się o panu i Shaunie? – zapytał Clevenger.

– Przedtem byliśmy nierozłączni, potem przeszliśmy do przyjaznych stosunków. – Zamilkł, po czym zacisnął usta i potarł oczy. – W sumie, to gówno prawda. Ledwo mógł mnie znieść. Nie mógł na mnie patrzeć.

Groupmann w końcu zaczął okazywać jakieś emocje. Clevenger chciał go przycisnąć, żeby zobaczyć, ile gniewu kotłuje się pod powierzchnią jego napiętych kontaktów z bratem.

– Zamienił pan swój bliski związek z Jeffem na miłość kobiety, która przypadkiem była jego żoną. Znoszenie pańskiej obecności przez brata można by uznać za heroizm z jego strony.

– Nie da się usprawiedliwić tego, co zrobiłem – przyznał szczerze Groupmann. – Żadną miarą. Może po prostu byliśmy zbyt podobni do siebie. Może to jest wytłumaczenie.

Tak jak powiedziałem, nie wiem.

– Niech pan powie coś więcej.

– Obydwaj ją kochaliśmy – odparł. – On kochał ją wystarczająco, żeby sprzeniewierzyć się swojej naturze, mieć z nią dzieci i zostać z nią prawie piętnaście lat. A ja kochałem ją do tego stopnia, że go zdradziłem. Koniec końców, ja jestem heteroseksualistą, on był gejem. Więc może w jakiś przerażający sposób to, co się zdarzyło, ma jakiś sens.

– A teraz, kiedy jest martwy... – naciskał Clevenger.

– Nigdy tego nie chciałem – odgryzł się Groupmann – Nigdy. – Odwrócił wzrok i potrząsnął głową. – Ale muszę wierzyć, że chciałby, żeby ktoś zajął się jego rodziną.

– Zamierzacie razem zamieszkać? – zapytał go Clevenger.

– Nie od razu.

– Nie ma sensu udawać. Shauna i ja jesteśmy dla siebie stworzeni. Ona i mój brat nie byli.

Więc kogo mamy winić?

Boga?

Rozdział 8

Loren i Lexi Groupmann uściskali swojego wuja Davida, kiedy ten wychodził z biblioteki, po czym usiedli na kanapie na wprost Clevengera. Loren nie chciał być przesłuchany bez obecności swojej starszej siostry, co wydawało się całkowicie normalne dla dziesięciolatka, zwłaszcza takiego, który właśnie stracił ojca.

– Mama mówiła, że jest pan psychiatrą – powiedziała Lexi.

Miała sposób bycia swojej matki, ale jej wygląd był w całości dziełem Groupmanna – gęste brązowe włosy, nieodgadnione oczy.

– To prawda – odrzekł Clevenger.

– Ale pracuje pan dla FBI.

– Pomagam im zrozumieć gwałtownych ludzi. Czasami pomagam im ich znaleźć.

– Tak jak tego... który skrzywdził tatę – powiedziała. – I innych.

– Tak.

Loren zaczął uderzać stopą o podłogę. Był szczupłym, bladym chłopcem; miał ciemnoblonde włosy swojej mamy, zielone oczy i ładne rysy twarzy.

– Tworzy pan psychologiczne portrety morderców – wyszeptał.

– Dobrze się czujesz? – Lexi położyła rękę na jego udzie.

Loren zerknął na Clevengera i wzruszył ramionami.

– Loren, masz mi coś do powiedzenia? – zapytał Clevenger.

Chłopiec spojrział na niego spod lekko zmrużonych powiek.

– Czy któreś z nas ma kłopoty?

– Nikt nie ma kłopotów, Loren. – Lexi uśmiechnęła się nerwowo. – Mama powiedziała, że musi się dowiedzieć o tacie, żeby...

Clevenger podniósł dłoń.

– Dlaczego tak myślisz, Loren? – zapytał. – Boisz się, że ktoś tutaj może mieć kłopoty?

– Po prostu widziałem różne rzeczy w telewizji – odpowiedział chłopiec.

– Ogląda stanowczo zbyt wiele programów o przestępstwach – stwierdziła jego siostra.

– Oni zawsze myślą, że to ktoś z rodziny – powiedział Loren.

– A potem w połowie przypadków odkrywają, że się mylili. Ale jest już za późno, bo dana osoba albo popełniła samobójstwo, albo wykonano na niej wyrok, albo została zabita przez prawdziwego mordercę, albo...

– To nie telewizja – stwierdziła jego siostra. Uśmiechnęła się krzywo do Clevengera. – Czasami jest takim dziwakiem. – Zwichrzyła Lorenowi włosy. – Jesteś dziwak.

Lexi przejawiała tę samą osobliwą izolację wobec tragedii, jaką Clevenger zaobserwował u jej matki i wuja. W rodzinie z pewnością nie brakowało nietypowego okazywania żalu.

– Boisz się tutaj kogoś? – zapytał Lorena Clevenger. Chłopiec znów zaczął wybijać rytm stopą.

Wzruszył ramionami.

– Chyba ciebie.

– On pracuje z policją – wyjaśniła Lexi. – Jest takim facetem, którego wzywają, żeby...

– Dlaczego się mnie boisz? – zapytał go Clevenger. Chłopiec spojrzał na niego, ale nic nie powiedział.

Clevenger milczał i czekał.

Oczy Lorena zaczęły zachodzić łzami.

– W porządku, kolego. – Clevenger powoli pochylił się do przodu. – Cokolwiek to jest, jest w porządku. Możesz mi wszystko powiedzieć.

– Nie chcę, żebyś coś zepsuł – powiedział Loren. – Po prostu chcę być szczęśliwy. Chcę, żeby teraz wszystko było dobrze.

To ci dopiero nietypowe okazywanie żalu.

Rozdział 9

West Crosse stał, patrząc przez szklaną ścianę biura W Kena Rawlingsa na trzydziestym piętrze w Abicus, firmie wydobywającej diamenty, którą jego żona odziedziczyła po swoim ojcu. Mógł stąd zobaczyć większą część Miami: betonowego, cementowego i szklanego zaprzeczenia wyobrazili, piękna i samego życia. Nic dziwnego, że ludzie przeprowadzali się tutaj, żeby umrzeć.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów – powiedział Ken Rawlings, podpisując czek na zaliczkę dla Crosse a. Wstał zza biurka, podszedł i wręczył mu go. – Wiem, że robimy świetną inwestycję. I cieszę się, że inwestuję w innego członka bractwa Czaszka i Kości.

Crosse wsunął czek do kieszeni koszuli. Nigdy nie wspominał o tym, że był jedną z piętnastu osób w grupie, które zostały powołane do stowarzyszenia na trzecim roku w Yale. Nie musiał. Wszyscy jego klienci w ciągu ostatnich siedmiu lat byli członkami tej tajnej społeczności, najbardziej wpływowej sieci polecającej – dwieście pięćdziesiąt najpotężniejszych rodzin na świecie, wliczając w to rodzinę prezydenta.

– Tak naprawdę inwestujesz w samego siebie – powiedział. – Każdy z nas ma wrodzoną umiejętność stworzenia ułamka wszechświata. Wiem, że masz możliwości. Teraz powstaje pytanie, czy masz odwagę.

– Odwagę?

– Żeby stworzyć coś autentycznego, coś wyzwalającego, co powie prawdę o tym, jaki jesteś.

– Tak jak wybudowanie stajni – powiedział Rawlings.

– Na przykład – odparł Crosse. Rawlings skinął głową.

– Cóż, teraz się zaangażowaliśmy. – Wyciągnął rękę. Crosse uściśnął ją. Kiedy cofał dłoń, wskazał na obrączkę ślubną Rawlingsa.

– Przy okazji, jak długo jesteś żonaty? – Podszedł do kredensu, na którym stało ponad tuzin fotografii przedstawiających Rawlingsów razem – żeglujących, wędrujących, jeżdżących na nartach, siedzących na formalnej kolacji, tańczących.

Rawlings zerknął na swoją obrączkę ślubną. Zmusił się do uśmiechu.

– W maju minie osiemnaście lat.

– Nie macie dzieci – powiedział Crosse, wzięwszy do ręki zdjęcie przedstawiające Rawlingsów w tańcu.

– To prawda.

– Dlaczego nie? – zapytał Crosse, ciągle patrząc na fotografię.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytał Rawlings, którego ton stał się nagle chłodny.

Crosse powoli odłożył zdjęcie. Wyjął czek Rawlingsa z kieszeni, położył go na jego biurko i ruszył do wyjścia.

– W imię Boga, co robisz? – zapytał Rawlings. W imię Boga.

To zatrzymało go w miejscu.

– Mam wystarczająco dużo pieniędzy. Nie będę kradł twoich.

– Nie rozumiem.

– Zapłaciłeś mi ćwierć miliona dolarów, żebym pomógł ci tworzyć coś nadzwyczajnego. Zanim rozpoczęłaby się budowa, zapłaciłbyś mi przynajmniej cztery razy tyle. Uważasz, że jestem tego wart, bo widziałeś budynki, które zaprojektowałem dla innych klientów. Poruszyły cię. Ale oto problem: ciągle myślisz, że dokonałem tego sam. Myślisz, że jestem artystą, jak Gropius, Mies czy Gehry.

Rawlings nie odpowiedział.

– Zapewniam cię, że się mylisz. – W głosie Crossa brzmiała mieszanina podniecenia, wiary i strachu. Przede wszystkim strachu, strachu przed niewytłumaczną, niewyobrażalną siłą tworzenia, która przeszywała jego umysł. – Nie widzisz?

Ty jesteś artystą. Ja jestem tylko pośrednikiem. Żebym był cokolwiek wart, i nie chodzi o milion dolarów; musisz przestać myśleć o mnie jako kimś kompletnie oddzielnym od ciebie, kimś, przed kim musisz się ukrywać. Bo koniec końców, ukrywasz się przed samym sobą. A to, co stworzysz, nie będzie miało duszy ani życia. Zbudujesz kolejny labirynt i się w nim zgubisz. – Przerwał. – Nie chcę brać w tym udziału. – Odwrócił się, przeszedł kilka kroków do drzwi i wyciągnął rękę w kierunku klamki.

– Poczekaj – powiedział Rawlings. Zatrzymał się i znowu odwrócił do niego. Rawlings przyjrzał mu się, po czym skinął głową.

– Jimmy Bingham powiedział mi, że jesteś... nieortodoksyjny, żeby ująć to delikatnie. Powiedział, że zadawałeś jemu i Andrei pytania, których nie zadawał im żaden dziennikarz.

Szczerze mówiąc, byli tym co najmniej zmieszani.

– Oczywiście, że tak. Ludzi uczy się od dzieciństwa udawać kogoś innego, niż są w istocie. Kiedy ktoś pyta cię o zrzucenie maski, czujesz, że jest to równie ryzykowne jak wywabienie ze skorupy każdego innego stworzenia. Rozumiem to. Po prostu nie pracuję z ludźmi, którzy nie podejmują tego ryzyka. Minęło kilka sekund.

– W porządku – powiedział w końcu Rawlings. Usiadł na skraju swojego biurka. – Pytaj, o co chcesz.

– Zapytałem.

Rawlings wskazał na kanapę stojącą pod jedną ze ścian. Crosse podszedł i usiadł. Rawlings zajął fotel stojący pod kątem do drugiego końca kanapy. Ciągle zachowywał dystans.

– Bardzo chciałbym mieć dzieci. Heather nie mogła ich mieć.

– Rozumiem.

– Myślę, że po prostu za długo czekaliśmy. Miała trzydzieści dziewięć lat, kiedy w końcu spróbowaliśmy. Przeszliśmy wszystkie możliwe etapy. Testy. Leki. In vitro. Nic nie poskutkowało.

– Ty przeszedłeś badania pozytywnie? – zapytał Crosse.

Rawlings wbił w niego wzrok.

– Musisz wiedzieć, czy jestem płodny, żeby być moim architektem?

– Muszę cię dobrze poznać.

Rawlings uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Może jednak nie pasujemy do siebie.

Crosse wiedział, że jego pytania nie były bardziej intymne od tych, które zadano Rawlingsowi podczas ceremonii inicjacji do stowarzyszenia Czaszka i Kości. Obydwaj mężczyźni otrzymali tę samą tajną wiadomość przewiązaną czarną wstążką i zapieczętowaną czarnym woskiem. Obydwaj zostali zabrani do Grobowca w kampusie uniwersytetu Yale, porośniętej winoroślą, sali bez okien, zbudowanej z brązowego kamienia. Sala mieściła się na Highstreet, a jej dach był jednocześnie lądowiskiem dla prywatnego helikoptera stowarzyszenia. Obydwaj byli nadzy prawie przez cały czas trwania rytuału, pokryci błotem i umieszczeni w trumnie. Obydwaj byli w pokoju 322, wewnętrznym sanktuarium Grobowca. I tam obydwaj wyznali wszystkie sekrety swojego młodego życia.

Nierzadko się zdarzało, że jeden członek bractwa przez całe życie zwierzał się swoim braciom ze stowarzyszenia, dzieląc się z nimi najskrytszymi myślami i uczuciami, zwłaszcza na temat swoich doświadczeń i fantazji seksualnych.

– Zdaje się, że tylko bractwo sięga tak daleko – powiedział Crosse.

Ich spojrzenia spotkały się. Minęło kilka sekund.

– To była wielka przyjemność spotkać cię – rzekł Crosse.

Wyciągnął rękę.

Rawlings jej nie przyjął.

– Moje badania wyszły normalnie – powiedział po chwili. – Nie, żeby to miało znaczenie, kto ma problem.

Oczywiście, że miało znaczenie, pomyślał Crosse. Rawlings wyraźnie to podkreślił, mówiąc, że jego żona „nie mogła” mieć dzieci, ale on przyjąłby je z wielką chęcią. I ciągle mógłby.

– Dlaczego zwlekaliście tak długo z próbą? – zapytał go Crosse.

– A dlaczego inni zwlekają? Cieszyliśmy się sobą. Uwielbiamy podróżować. Uciekały nam kolejne lata.

To nie zabrzmiało szczerze. Nie dla takiej pary jak Rawlingsowie. Rodziny z klasy średniej, wyższej, a nawet milionerzy mogli mieć wrażenie, że dzieci zajmowałyby im zbyt wiele czasu i

ograniczały możliwości. Ale ogromnie bogaci – ci, którzy mają dziesiątki, setki milionów dolarów albo i więcej – zazwyczaj nie myślą w tych kategoriach. Mogą nająć dodatkową służbę, żeby poradzić sobie z wyzwaniem rodzicielstwa. Nianie. Sprzątaczkę. Osobiści asystenci. Mogą być rodzicami z daleka, otrzymując napięty terminarz spotkań towarzyskich, być trzy albo cztery noce w tygodniu poza domem, dalej podróżować po świecie z dziećmi, nawet z niemowlakami.

– Czy twoja żona chciała mieć dzieci równie mocno jak ty? – zapytał Crosse.

– Nie, nie powiedziałbym, że był to dla niej priorytet.

– Masz wyjaśnienie dla takiego stanu rzeczy? Rawlings wyglądał, jakby ciągle nie był pewny, ile prawdy odkryć.

– Cokolwiek powiesz, zostanie między nami – obiecał Crosse. – Daję ci moje słowo.

– Jesteś jak ksiądz. Tak to wygląda?

– Więcej niż ksiądz. Jestem twoim bratem. Rawlings wziął głęboki oddech, po czym wypuścił go.

– Miała bardzo bolesne dzieciństwo – wyjaśnił. – Nie sądzę, żeby chciała przeżywać to jeszcze raz. I nie jestem pewien, czy wierzyła, że będzie wystarczająco dobrą matką, skoro sama jej nie miała.

– Więc adopcja też nie wchodziła w grę.

– To by jej nic nie ułatwiło. Pojawiłyby się te same problemy.

Teraz Crosse był usatysfakcjonowany opowieścią. Mógł w nią uwierzyć, gdyż była wewnętrznie spójna. Wyjaśniała fakty, zamiast je ukrywać. Spotkał innych bezdzietnych mężczyzn i kobiety, którzy pozostawali w takiej sytuacji z podobnych powodów. A w tej sprawie rzadko zdarzało się pełne porozumienie pomiędzy mężem i żoną. Prawie zawsze jedno z nich po cichu miało nadzieję na syna bądź córkę, w tajemnicy pragnęło stworzyć życie. Koniec końców, utrzymywanie tego w tajemnicy zabijało wszelką miłość pomiędzy nimi.

Dla Crosse a zrozumienie rodziny niewiele się różniło od zrozumienia budynku, który miał być ich domem. Był to wyraz prawdy albo kłamstwa. Albo wyzwalał energię tych, którzy znajdowali się w środku, albo ją dławił. Jego fundamenty były albo dobre, albo złe.

Zasada ta sprawdzała się bez wyjątku w wypadku każdego budynku i każdej rodziny. Był tego pewien i to dawało mu odwagę, determinację i cierpliwość, żeby zrobić wszystko, co należało, aby wykonać zadanie – kosmetyczne zmiany, gruntowną przebudowę albo rozpoczęcie nowej konstrukcji. Końcowy projekt mógł być kwestią miesiąca, roku albo pięcia lat.

– Doceniam twoją otwartość – powiedział Crosse Rawlingsowi.

– Czy to na razie wszystko? Crosse się uśmiechnął.

– Na razie.

– W porządku.

Wstali. Rawlings podszedł do swojego biurka, wziął czek zaliczkowy i podał go Crosse'owi.

– Umowa stoi?

– Stoi – potwierdził Crosse, biorąc czek.

Rozdział 10

Clevenger opuścił posiadłość Groupmanna o 16.50 czasu urzędowego Pacyfiku. Shauna Groupmann zadzwoniła po taksówkę, która miała zabrać go do Cloud Marina, gdzie szef firmy budowlanej jej męża czekał, żeby Clevenger go przesłuchał. Wsiadł do samochodu, który natychmiast ruszył.

Sprawdził swój telefon komórkowy. Miał czternaście nieodebranych połączeń, w tym siedem od Northa Andersona i trzy od asystentki Amy Moffitt z biura Medycyny Sądowej Bostonie. Sprawdził wiadomości tekstowe. Pierwsza była od Andersona. Nigdy wcześniej nie dostał od niego ani jednego sms-a.

– Zadzwoń do mnie, chodzi o Billyego.

Myśli Clevengera przyspieszyły. Czy Billyemu coś się stało, zrobił coś komuś, przedawkował? Zadzwoił do Andersona.

– Frank – odezwał się Anderson.

– Co się stało?

– Chodzi o Billyego.

„Chodzi o Billyego”. Nawet takie owijanie w bawełnę było dla Andersona nietypowe.

– Po prostu mi powiedz.

– Upił się i rano pojechał do Newburyport.

– Czy komuś stała się krzywda? Dziecko...

– Jake'owi nic nie jest. Billy wdał się w kłótnię z Casey.

Chyba zrobiła mu awanturę, że nie przyjeżdża...

Teraz Clevengerowi zakręciło się w głowie.

– Powiedz mi, że nie...

– Nie uderzył jej, ale wybił całkiem pokaźną dziurę w ścianie jej sypialni. Mówi, że ciągle krzyczał, że ona go wystawiła, osaczyła czy co tam. Próbowwała się stamtąd wydostać, ale nie pozwolił jej wyjść. Wygląda na to, że mieszał – gorzałę z marihuaną, może coś jeszcze.

Clevenger spojrzął na most Golden Gate lśniący w promieniach popołudniowego słońca. Jego ponadczasowe piękno sprawiło, że to, co słyszał, brzmiało o wiele gorzej.

– Wszystko z nią w porządku?

– Jest roztrzęsiona. Kiedy w końcu wypadł na zewnątrz, zadzwoniła po policję. Odpowiedziało pół Departamentu Policji w Newburyport. Rob Vacher, Keith Carter, zjechała się cała ekipa.

– Złożyła pozew?

– Lepiej w to uwierz.

– 209A. Napaść domowa.

– I porwanie. Trzymał ją tam przez pięć czy dziesięć minut, ale to wystarczy, żeby załapało się na paragraf. Potem odjechał swoim samochodem i został zatrzymany za przejechanie znaku stopu.

– Prowadzenie pod wpływem alkoholu – powiedział Clevenger.

– I stawianie oporu przy próbie aresztowania.

– Uciekał?

– Nie. – Anderson zrobił przerwę. – Rzucił się na czterech gliniarzy.

Coś ścisnęło Clevengera w dołku. Jaki koniec ma ta historia? Czy Billy jest martwy?

– North, jeżeli próbujesz mi coś powiedzieć ...

– Zawiodłem cię...

– Po prostu mi powiedz. – Jego głos załamał się. – Czy on żyje?

– Żyje? Oczywiście, że żyje. Co do... ? Siedzi w areszcie w Middleton. Wyznaczyli dwadzieścia tysięcy kaucji.

Clevenger zamknął oczy i zwiesił głowę. Od lat przygotowywał się na to, że usłyszy najgorsze wieści o Billym. Tak było od początku – ciągłe uczucie nadciągającej katastrofy, ciągła walka o rozświetlenie życia, które nieomal nieubłaganie zdawało się dążyć ku ciemności. Tak to już jest, kiedy próbuje się odwrócić bieg historii, której pierwsze rozdziały są pełne cierpienia. Dzieci są mniej odporne, niż się ludziom wydaje.

– Widziałeś się z nim? – zapytał Andersona.

– Nie przyjmuje odwiedzin. Gdyby Carter do mnie nie zadzwonił, nawet nie wiedziałbym, co się stało.

– Wracam następnym lotem.

– Jeżeli będziesz czegoś potrzebować...

– Dzięki. Rozłączyli się.

– Przepraszam! – zawołał Clevenger do kierowcy.

Kierowca się odwrócił. Wyglądało, że dobijał do siedemdziesiątki. Miał siwe włosy zaczesane na łysinę; jego twarz była ściągnięta i zmęczona, w kącikach jasnoniebieskich oczu miał głębokie zmarszczki.

– Zmiana planów. Muszę szybko dostać się na lotnisko.

– Żaden problem. – Zwolnił i zjechał na pas dla skręcających.

– Kłopoty w domu, co? Nie mogłem nie usłyszeć.

– Mój syn.

Spojrzał na Clevengera przez lusterko.

– Trzej chłopcy i dziewczynka. Wszyscy dorośli. Robisz wszystko, co w twojej mocy, a

potem się modlisz.

– A skąd pan wie, że pan to zrobił? – zapytał Clevenger.

– Co?

– Wszystko, co w pańskiej mocy. Raz jeszcze spojrzął na Clevengera.

– Mówią ci – powiedział. – Może im to zająć trzydzieści, czterdzieści lat, ale ci powiedzą.

Clevenger spojrzął na most. I po raz pierwszy od dnia, kiedy Billy z nim zamieszkał, do jego umysłu zakradła się realna wątpliwość – wątpliwość, czy postąpił słusznie, adoptując go, czy wie, co dalej robić. Z jakiegoś powodu ta wątpliwość sprawiła, że chciał porozmawiać z Whitney McCormick, może dlatego, że wiedział ponad wszelką wątpliwość, iż się kochają, nawet jeżeli nigdy nie będą razem. Zadzwoił do niej.

– Jak tam w San Francisco? – zapytała, gdy go połączono z jej biurem.

– Było fajnie, dopóki nie zadzwonił North i nie powiedział mi, że Billy został aresztowany.

– Za co?

Clevenger wszystko jej opowiedział.

– Jest w więzieniu Middleton.

– Dobrze się czujesz?

Słyszając to pytanie wypowiedziane jej ciepłym i spokojnym głosem, poczuł, że gdzieś głęboko coś się w nim uspokoiło.

– Nic mi nie jest – powiedział. – Chciałbym móc powiedzieć to samo o nim.

– Jeżeli musisz odłożyć sprawę na później...

– Nie, ja...

– Zrozumiałabym. Naprawdę.

Clevenger nieraz już odkładał swoją pracę na później dla Billyego. Pod pewnymi względami odłożył całe swoje życie na później. Może to właśnie należało zrobić, a może to tylko wzajemna zależność uniemożliwiała każdemu z nich pchnięcie do przodu swojego życia.

– Nie wpłacę za niego kaucji, więc zostaje tam, gdzie jest. Nie ma powodu, żebym przerywał pracę.

– Twoja decyzja.

– Doceniam to.

– Daj mi znać, kiedy będziesz mógł pogadać dłużej i opowiedzieć, czego się dowiedziałeś u

Groupmannów.

– Zadzwonię najpóźniej jutro.

– Nie ma pośpiechu.

– Jeszcze raz dziękuję, Whitney. – Miał zamiar się rozłączyć, ale nie zrobił tego.

– Frank?

– Tak.

Mam nadzieję, że to będzie koniec. W sensie, może to jest dla niego dno. Może teraz, kiedy się tam znalazł, uda mu się wszystko zmienić.

Czuł, jak coś ścisnęło go w gardle, częściowo dlatego, że miał taką samą nadzieję, a częściowo dlatego, iż wiedział, że McCormick starała się pomóc mu przetrwać, matkując Billy'emu, podczas kiedy niczego bardziej nie pragnęła, niż zostać matką własnego dziecka.

– Być może – powiedział.

– Trzymaj się.

– Ty też.

– Czy mogę coś panu podać? – zapytała Clevengera stewardesa.

Innego wieczoru takie pytanie miało szanse 52 do 48 na odpowiedź negatywną, drobne zwycięstwo na rzecz trzeźwości. Ale w taką noc jak ta, kiedy Clevenger łaknął snu zamknięty w zawieszanej rzeczywistości lecącego samolotu, trzeźwość przegrała z kretesem.

– Poproszę wódkę z lodem.

Nalała szklaneczkę i umieściła w uchwycie na kubki znajdującym się obok niego.

– Smacznego.

– Nawet nie ma pani pojęcia, jak bardzo. Uśmiechnęła się i ruszyła dalej.

Postanowił, że wypije odrobinę, a większość zostawi i zawoła stewardesę, żeby ją zabrała. Potem jednak wziął duży łyk. Będzie sam ze swoimi myślami przez następne sześć godzin. A było to towarzystwo, którego nie miał ochoty znosić.

Rozdział 11

Sygnał, na który West Crosse czekał, który obmyślał i o którym śnił, zabrzmiał w jego telefonie komórkowym w momencie, kiedy opuszczał swój apartament w hotelu Delano, żeby spotkać się z Maritzą w jej mieszkaniu.

– Panie Crosse, tu Virginia Blakely z Białego Domu. Czy poczeka pan na połączenie z prezydentem?

Tysiące lodowatych palców zacisnęło się na jego kręgosłupie.

– Poczekał – odparł.

Minęło dziesięć sekund.

– Dzwonimy zbyt późno? – zapytał prezydent Warren Buckley głosem pełnym pewności siebie.

– Nie, panie prezydencie.

– Nie musimy używać tytułów.

– Doceniam, że to mówisz – powiedział Crosse.

– Nie wydaje mi się to zaskakujące, biorąc pod uwagę twoje rysunki, żeby nie wspominać o czasie, który spędziłeś z Elizabeth i ze mną, ale chcemy cię zatrudnić, jeżeli twoja propozycja wciąż jest aktualna.

Słowa te przeszły głowę Crosse'a cierniową koroną dreszczy. Proszono go, żeby ruszył ścieżką, która swoimi początkami sięgała do 1792 roku, kiedy Thomas Jefferson umieścił ogłoszenie w najważniejszych gazetach w całym kraju, ogłaszając konkurs na projekt prezydenckiego domu. Miał pójść krokami Jamesa Hobana, architekta, który wygrał konkurs i pracował bezpośrednio z Georgeem Washingtonem nad oryginalnym projektem budynku, po czym pracował nad jego odbudową po tym, jak Anglicy spalili go w 1814. Podążał śladami artystów architektów, takich jak Andrew Jackson Downing, prezydent Thomas Jefferson, Louis Comfort Tiffany, Charles F. McKim i Beatrix Farrand, którzy odcisnęli swe niezaprzeczalne piętno na jednym z największych symboli wolności na świecie. Dziesięć miesięcy temu Crosse, tak samo jak setki architektów z całego kraju, zgłosił swoje plany na nowy konkurs na projekt pierwszego dodatku do Białego Domu od czasu administracji Trumana.

Pomysł wyszedł od pierwszej damy: miała to być majestatyczna rozbudowa jej biur w zachodnim skrzydle w muzeum wolności przedstawiające obrazy i rzeźby najwybitniejszych artystów pochodzących z nowych demokracji na całym świecie – narodów uwolnionych spod ucisku przez Stany Zjednoczone i ich sojuszników.

Pomysł miał precedens. W 1961 roku Jacqueline Bouvier Kennedy przeforsowała prawo,

które umieściło Biały Dom w gestii Służby Parków Narodowych i uczyniło zeń publiczne muzeum z nietykalną kolekcją sztuki. Crosse był jednym z tuzina architektów – i jednym z dwu tylko mężczyzn – wybranych do serii przesłuchań z pierwszą damą i prezydentem, przesłuchań, podczas których Crosse uzupełnił swoją wyczerpującą wiedzę na temat ich domu głębokim zrozumieniem spraw ich rodziny. Zadawał kolejne pytania o zaręczyny prezydenta Buckleya z Elizabeth Cunningham, o narodziny ich dwóch synów, którzy mieli teraz dobrze ponad dwadzieścia lat, oraz o przypadkowe narodziny ich najmłodszego dziecka, które miało teraz siedemnaście lat. Przystudiował związane z pracą i stylem zarządzania nawyki Pierwszej Damy, odkrył, co pomagało jej się skupić i co ją rozpraszało, dowiedział się, jak dogaduje się ze swoimi podwładnymi i dziećmi oraz mężem w ciągu dnia, wydobyl z niej, jakie są jej ulubione kolory, oświetlenie, stosunek do architektury, które pokoje Białego Domu lubi najbardziej i najmniej, budynki, które jej się podobają, sztukę oraz książki i filmy, okresy historyczne, jak również zwierzęta, zainteresowania i sprawy, na których najbardziej jej zależało.

Ale dowiedział się dużo więcej. Prezydent był członkiem Czaszki i Kości, Yale rocznik 73, i on, tak jak inni, zaufał Crosse'owi i z czasem opowiedział mu o swojej burzliwej młodości, dorastaniu, poczuciu przeznaczenia, personalnych i politycznych przeszkodach, które ciągle stały na jego drodze, miłości do żony, radościach związanych z wychowywaniem dwóch synów oraz o bólu na wieść, że jego córka urodziła się z upośledzeniem umysłowym.

Dlaczego odkrył tak wiele? Czy bycie członkiem stowarzyszenia wystarczyło za całe wyjaśnienie? Czy rekomendacja najpotężniejszych rodzin Ameryki w istocie uprawniała Crosse'a do takiego zbliżenia z przywódcą wolnego świata? Czy była to jakaś kombinacja bezbrzeżnej ciekawości Crosse'a z jego fizycznym wyglądem – wspaniałymi szaro-niebieskimi oczami kontrastującymi z poszarpaną blizną na policzku? A może działało tu coś o wiele subtelniejszego i o wiele potężniejszego?

Crosse wierzył, że tak jest w istocie. Wierzył, że rodziny, które zwróciły się do niego o pomoc, zostały do niego skierowane przez Boga. Wierzył, że podświadomie wiedzieli, iż architektura ich żywotów jest wadliwa i potrzebują posłannika Prawdy, który pomoże im ją odbudować. Prezydent Buckley nie był wyjątkiem. Miał przecucie, na poziomie wykraczającym poza słowa i myśli, że Crosse ma moc i wolę, żeby pomóc mu udoskonalić jego życie. Z jakiego innego powodu miałby przyznawać, że zarówno jego małżeństwo, jak i jego polityczna przyszłość są zagrożone przez ułomną córkę?

Miesiąc wcześniej Crosse i Buckley siedzieli razem w Czerwonym Pokoju, przedsionku Ovalnego Gabinetu i biblioteki prezydenta. Wczesne szkice koncepcyjne Muzeum Wolności autorstwa Crosse'a wywarły na prezydencie wielkie wrażenie, choć jednocześnie wydawało się, że jest strapiiony i nie może się skupić. Kilkakrotnie przeproszał za to, że błądzi myślami gdzie indziej.

– Być może będzie lepiej, jeżeli to przełożymy – zasugerował Crosse.

Buckley skinął głową.

– Być może.

Crosse zaczął zwijać swoje szkice.

– Blaire jest w ciąży – powiedział Buckley głosem trochę głośniejszym od szeptu, niczym modlitwę. Zaciśnął mocno usta.

Crosse uświadomił sobie, że spoczywają na nim dziesiątki oczu – rzeźbionych oczu drewnianych lwów i sfinksów usytuowanych dookoła pokoju. Powoli nasunął elastyczną opaskę na swoje rysunki, a potem spojrział prosto na Buckleya.

– Ma siedemnaście lat, wymaga specjalnej opieki i będzie miała dziecko – ciągnął Buckley. – Niezbyt ładny obraz.

– Który to miesiąc? – zapytał Crosse.

– Mniej więcej drugi. – Prezydent odetchnął głęboko. – Chłopiec, który to zrobił, jest w tej samej sytuacji co ona, a nawet bardziej upośledzony. – Potrząsnął głową. – Elizabeth śniło się wczoraj w nocy, że przerwała ciążę.

– Czy to jest coś, co byś... ?

– Cały naród wie, jaki mam punkt widzenia na ten temat.

Nie była to odpowiedź na bardziej osobiste pytanie i zarówno Crosse, jak i Buckley o tym wiedzieli.

– „Times” puści to na pierwszej stronie, kiedy tylko nadarzy się okazja – powiedział Buckley.

– Wiedzą o tym? Potrząsnął głową.

– Na razie wie tylko Elizabeth, ja, jej lekarz... i ty.

Jej matka, jej ojciec, jej lekarz i sam Crosse. Czy mogła być jakakolwiek wątpliwość, że znowu został wezwany, żeby uzdrowić?

– Nigdy nie zawiodę twojego zaufania.

Prezydent patrzył w oczy Crosse'a przez kilka sekund i pozwolił mu dostrzec nieokiełznaną gwałtowność, ból i miłość, które w nim buzowały, za nieskazitelną fasadą męża stanu.

– Wiem o tym – powiedział i odwrócił wzrok. Crosse dotrzymał słowa. Potraktował wiedzę, którą otrzymał, jako świętą tajemnicę; zachował ją dla siebie i rozmyślał nad nią, oraz cierpliwie czekał na telefon, który da mu pozwolenie na rozpoczęcie działań. Na ten telefon.

– Jestem zaszczycony – odpowiedział Crosse prezydentowi.

– Nie marnuj czasu. Bierz się do roboty. Uczyni swój naród dumnym.

– Masz moje słowo.

Nadal drżał i czuł tchnienie boskiej wielkości, kiedy przybył do mieszkania Maritzy. Otworzyła drzwi. Przez chwilę Crosse nie potrafiłby powiedzieć, czy patrzy na prawdziwą

Maritzę czy na jej wyidealizowaną przez niego wersję. Zrezygnowała z platynowej barwy włosów na rzecz jasnego brązu z lekko jaśniejszymi pasemkami. Jej makijaż był prawie niewidoczny – żadnych różowych policzków ani czerwonych ust. Paznokcie były długie, ale o wiele krótsze niż wcześniej, pokryte subtelnym bezbarwnym lakierem, a nie różowym. Zamiast obcisłych dzinsów miała na sobie tunikę z ciemnogrnatowej bawełny i aksamitu i czarne szerokie spodnie z jedwabiu z mankietami. Dopiero, kiedy oblała się rumieńcem, nabrał pewności, że nie jest iluzją.

– Czy wyglądam inaczej? – zapytała.

– Wyglądasz wspaniale – odrzekł. – Zerknął na jej nadgarstek, żeby sprawdzić, czy dalej nosi prezent od Kena Rawlingsa – bransoletkę z brylantową pacyfką. Nie było jej. – Dlaczego zdjęłaś bransoletkę?

– Nie czułam się w niej...

– Powinnaś ją nosić. Jest piękna. – Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i delikatnie pchnął ją na ścianę. – Nie będę zły o to, że inny mężczyzna cię kocha. Kto nie chciałby cię kochać?

Pocałował jej czoło, policzek, szyję. Kiedy zaczęła oddychać szybciej, przesunął dłonią po jej brzuchu, wsunął ją w spodnie i dotknął palcem miękkiej, wilgotnej tkaniny między nogami.

Pocałowali się głęboko. Rozpięła mu rozporek i dotknęła go. Cofnął się o krok. Rozebrał się do naga, pozwalając jej oczom sycić się widokiem swego doskonałego ciała, którego każdy mięsień był niczym wyrzeźbiony z kamienia; wyglądał cały niczym dzieło sztuki, konserwowane przez nienaganną dietę, pięciokilometrowe biegi każdego dnia przed wschodem słońca oraz godzinę tai-chi każdego wieczoru. Uprawiali miłość – dla Crossea był to akt, którym oddawał hołd Bogu. Był oczarowany kobiecym pięknem, tym, że jego ciało potrafiło w dosłownym znaczeniu stwardnieć i wejść w ciało kobiety, i tym, że to perfekcyjne połączenie struktury i funkcji miało potencjał stworzenia ludzkiego istnienia, było ostatecznym wyrazem nieustającej nadziei, jaką Pan daje człowiekowi.

Przez chwilę pomyślał o córce Buckleya, wypaczeniu tej nadziei, o złamanej obietnicy natury, która teraz zagrażała nie tylko zdrowiu rodziny prezydenta, ale i całego narodu.

– Czy chcesz mieć dzieci? – zapytał Maritzę.

– Oczywiście.

– Ile?

– Czwórkę. Dwóch chłopców i dwie dziewczynki.

– Zdaje się, że już o tym myślałaś – powiedział z uśmiechem.

– Odkąd pamiętam.

Przytulił ją mocno, myśląc o tym, jaką cudowną matką będzie dla dzieci Rawlingsów. – Zasługujesz na to, żeby je mieć – powiedział.

Rozdział 12

12 kwietnia 2005,

godz. 6.55

czasu urzędowego wschodnioamerykańskiego

Clevenger wylądował na lotnisku Logana tuż po 6.00 rano i ruszył prosto do więzienia Middleton. Trzecią i ostatnią wódkę wypił koło północy. Czuł się nieźle sponiewierany i podejrzewał, że wygląda przynajmniej równie źle. Odwiedzał więźniów w Middleton wiele razy. Trzej funkcjonariusze za olbrzymią szklaną taflą w poczekalni, inkasenci ludzkości, znali go dobrze. Wsunął swoje prawo jazdy i licencję lekarską przez szparę na dole okna. Chuck Valentine, krępy mężczyzna przed trzydziestką, pochylił się w kierunku interkomu.

– Przeszedłeś się zobaczyć z Billym?

– Właśnie – powiedział Clevenger.

Valentine wrzucił dokumenty Clevengera do wiszącej obok niego na ścianie metalowej szafki, wziął jakiś klucz z haczyka i zaczął wypisywać przepustkę dla gościa. To była o wiele krótsza pogawędka niż ta, którą Clevenger zazwyczaj ucinał sobie z Valentineem. Spojrzał na dwóch pozostałych funkcjonariuszy: Pete'a Simmsa i Dave'a Leonea. Zauważył, że mu się przyglądają. Simms spuścił wzrok, udając, że jest zajęty papierami. Leone wstał i skierował się w głąb biura.

– Co się dzieje, Chuck? – zapytał Clevenger. Valentine przesunął przepustkę dla gościa Clevengera i klucz do szafki pod oknem, po czym odwrócił się, żeby wpisać jego nazwisko do rejestru odwiedzających.

– Co?

– Nikt nie chce spojrzeć mi w oczy.

Valentine wzruszył ramionami.

– Myślę, że to z powodu tej dziwnej sytuacji.

– Dlaczego dziwnej? Znowu wzruszył ramionami.

– Dlaczego dziwnej, Chuck?

– Frank! – zawołał Dave Leone z tyłu. Clevenger obrócił się.

Leone wyszedł z pomieszczenia ochrony i gestem wezwał Clevengera, żeby podszedł do stalowych drzwi prowadzących w głąb więzienia.

Clevenger zostawił swoje rzeczy w szafce i podszedł do Leone'a.

– Nie wyglądasz na wypoczętego – powiedział Leone.

- Dopiero co przyleciałem z Los Angeles. Skinął głową.
- Może nie wiesz, co się tu stało.
- Nie mam żadnych wątpliwości – powiedział Clevenger.
- Nie wszyscy wiedzieli, że Billy to twój dzieciak. Tętno Clevengera przyspieszyło.
- Co się stało?

– Nic mu nie będzie. Gdy go przywieźli, wdał się w pyskówkę z jednym ze strażników. Nie chciał się poddać rewizji osobistej. Ten facet jest cholernie nerwowy.

Clevenger patrzył na niego wyczekująco.

- W rezultacie Billy ma kilka pękniętych kości twarzy i wstrząszenie mózgu.
- Jaja sobie... To dlatego nie przyjmował żadnych odwiedzających, kiedy dzwonił North?
- Zszywali go w Mass General. Wszyscy zrobili dla niego to, co trzeba, kiedy zdaliśmy sobie sprawę...

- Chcę się z nim zobaczyć.
- Nie ma sprawy. Chciałem po prostu cię uprzedzić wiesz? To wygląda gorzej niż...
- Chcę się z nim zobaczyć.

Leone kiwnął głową, dając znać strażnikowi siedzącemu za kolejnym panoramicznym oknem znajdującym się przy stalowych drzwiach. Drzwi odsunęły się na bok. Clevenger wszedł do środka.

- Chodź za mną – powiedział Leone, wymijając go.
- Dave, od mniej więcej dziesięciu lat nie potrzebowałem tu przewodnika.

Leone szedł dalej. Poprowadził Clevengera szerokim szarym korytarzem kończącym się drzwiami do pierwszego bloku wschodniego. Kolejny strażnik za szkłem nacisnął guzik i drzwi się otworzyły.

Pierwszy blok wschodni wyglądał jak stołówka w szkole średniej otoczona klatkami. Więźniowie w pomarańczowych jednoczęściowych kombinezonach kręcili się wokół stolików i ławek przymocowanych do podłogi, grając w karty, czytając gazety, przeklinając albo po prostu wpatrując się przed siebie.

Billy'ego między nimi nie było.

– Jeszcze nie zasłużył na czas wolny – powiedział Leone. I wskazał w odległy kat, ostatnią celę po prawej stronie.

Clevenger spojrział w tamtym kierunku. Zobaczył Bill'ego, zanim Billy zauważył jego. Chłopak siedział na swojej pryczy z poxikurczonymi nogami, oparty plecami o żelbetową ścianę celi. Jego lewe oko zakrywał gruby opatrunek z gazy. Górną wargę miał paskudnie rozciętą i spuchniętą; wydawało się, że trzymają ją razem dwa rzędy szwów. Od czoła przez garb nosa aż do prawej kości policzkowej ciągnął się niebieskoczarny siniak.

Billy obrócił się, zobaczył ojca i zwiesił głowę. Clevenger musiał zmobilizować wszystkie

siły, żeby się na jego widok nie rozplakać, a konkretnie na widok tej jego części, która nadal była pobitym dzieckiem, okrucem niewinności ukrytym pod tymi wszystkimi tatuażami i zadziornością, być może teraz maleńkim, wręcz niemożliwym do odnalezienia, częściowo wspomnieniem, a częściowo duchem, choć mimo to wystarczająco żywym, żeby ścisnąć Clevengera za serce i nie puścić. Dogonił go Dave Leone.

– Nie wiedzą, czy nie stracił częściowo wzroku w tym oku – powiedział cicho. – Może nawet całkowicie.

Clevenger odchrząknął i szedł dalej.

– Facet jest na płatnym urlopie – kontynuował Leone. – Tak jak powiedziałem, do pewnego momentu nikt nie wiedział, że on jest twoim dzieciakiem. – Zatrzymał się i pozwolił, aby Clevenger dalej szedł sam.

– Hej – powiedział, stanąwszy tuż za kratą.

– Hej – odrzekł Billy, nie podnosząc wzroku.

– Jesteśmy w kropce, co? Billy zamknął oczy.

– Mogę wejść? Wzruszył ramionami.

Clevenger zerknął do tyłu na Leonea, który otworzył drzwi, wpuścił go do środka i zamknął je za nim. Clevenger nie był pewien, co zrobić dalej – czy usiąść obok Billy'ego czy nie, czy go dotknąć, czy też na niego krzyknąć. Był ojcem, co paraliżowało w nim zawodowe podejście psychiatry, i psychiatrą, który paraliżował ojca. Oparł się więc o ścianę i czekał, próbując wyobrazić sobie, jak wygląda oko jego syna pod tym bandażem, i żałując, że nie był obecny w chwili, w której doktor powiedział Billy'emu, iż może już nigdy na nie nie widzieć. Zanim Billy przerwał ciszę, minęło prawie pół minuty.

– Będę potrzebował prawnika – powiedział, zerkając na ojca.

– Przydzielę ci obrońcę z urzędu – zapewnił go Clevenger.

Wiedział, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał po nim Billy.

Chłopak chciałby z pewnością usłyszeć, że ojciec wynajmie Tony'ego Trainiego albo Joego Ballira, Johna Haggerty'ego bądź też jednego z innych wysoko postawionych adwokatów do spraw kryminalnych, których mógł zaliczyć do grona przyjaciół.

– A co z kaucją?

Adwokat i kaucja. Zabrzmiało to jak wypowiedź jakiegoś zbira. Clevenger poczuł, że rośnie w nim zdenerwowanie, ale próbował nad sobą zapanować. Billy'emu bardziej odpowiadała konfrontacja niż cokolwiek innego. Zamiana smutku w przemoc była jego ulubionym zajęciem. Clevenger nie chciał podejmować tej gry. Zmusił się do wyobrażenia sobie Billy'ego jako sześciolatka, skulonego na swoim łóżku, posiniaczonego i krwawiącego, czekającego na kolejne smagnięcie paska jego biologicznego ojca.

– Billy, daj spokój – powiedział. – Dlaczego nie powiesz mi, co się stało?

– Sprowokowała mnie, żebym stracił panowanie nad sobą.

Oto co się stało.

Sześciolatek zniknął. Clevenger poczuł, jak jego zdenerwowanie rośnie.

– Ciągłe się mnie czepiała i pytała, dlaczego nie robię tego czy owego. Krzyczała, doprowadzając Jake'a do płaczu wyjaśnił Billy. Potrząsnął głową. – Po prostu chciałem, żeby się zamknęła. Powiedziałem jej: „Zamknij się. Proszę.

Po prostu się zamknij”. Ale nie zrobiła tego. Wrzeszczała i wrzeszczała.

– Może łatwiej byłoby jej wysłuchać bez gorzały, nie wspominając o innych świństwach, które w siebie wrzuciłeś.

– Nie chciałem tego słuchać. I nie chcę słuchać tego teraz.

Oddałem jej Jake'a, a teraz ona chce... Właściwie to nie wiem, czego ona, do cholery, chce.

To zabrzmiało jak echo prawdy. Być może Billy naprawdę nie wiedział, jak sprostać temu, o co prosiła go Casey – która chciała odeń, żeby był prawdziwym ojcem dla swojego syna. Może najlepsze, co mógł zrobić, to pomóc sprowadzić dziecko na świat. Może reszta była dla niego zbyt przerażająca, bo za bardzo się zbliżała do wypalanej ziemi jego własnego dzieciństwa.

– Ona chce, żeby Jake miał lepsze wspomnienia o tobie niż ty o swoim ojcu – wyjaśnił Clevenger. – Teraz będzie trudniej temu sprostać. Mamy tutaj wiele do zrobienia – dodał po chwili.

Billy odwrócił się do ściany.

– No to mnie wyciągnij albo przynajmniej załatw mi prawnika.

– Potrzebuję czasu, żeby załatwić testy narkotykowe w kuratorium, psychoterapię, spotkania Anonimowych Alkoholików i tak dalej, wszystko po kolei. Tutaj także możesz spotkać się kilka razy ze swoim prawnikiem.

Billy przygryzł dolną wargę.

– Jak długo mnie tu zatrzymają?

– Nie wiem. Przynajmniej kilka tygodni.

– Nie ma mowy. – Pokręcił głową.

– Nie masz teraz zbyt dużego wyboru, partnerze. Brak odpowiedzi.

– Co ci powiedzieli na temat twojego oka w Mass General?

Billy wzruszył ramionami.

Clevenger podszedł do niego i usiadł na skraju łóżka. Chciał go przytulić, ale nic w mowie ciała ani wyrazie twarzy Billy'ego nie skłaniało do tego. Położył rękę na jego ramieniu.

– Ze wszystkim sobie poradzimy, okej? Wargę Billy'ego zaczęła drżeć. Wyszarpnął rękę.

– Sam sobie mogę ze wszystkim poradzić – rzucił.

– Nie wiem, czy potrafisz – powiedział Clevenger. – Ale wiem, że nie musisz.

– Mogę zostać sam?

– Billy...

Chłopak zacisnął szczęki.

– Proszę...

Clevenger poczuł, że coś ściska mu gardło. Wstał i dał znać Dave'owi Leoneowi, żeby otworzył drzwi.

– Może wpadnę jutro? – zapytał Clevenger Billyego. Odczekał chwilę i nie usłyszawszy odpowiedzi, odwrócił się i wyszedł.

Rozdział 13

Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Clevenger zadzwonił do McCormick ze swojego biura w budynku Medycyny Sądowej w Bostonie, szybko streścił jej sytuację z Billym, po czym przeszedł do sprawy zabójstw. Chciał, żeby wiedziała, iż nie zamierza przerywać pracy. I sobie też chciał to przypomnieć.

– David Groupmann zajął fotel kierowcy tej rodziny, tak jakby jego brat grzał je dla niego. Shauna i dzieci jakby tego nie odczuły. Ona kocha Davida.

Dzieci przyzwyczyły się do niego, być może nawet bardziej niż do swojego ojca. To tak, jakby Jeff nigdy nie istniał.

– Wyparcie?

– Albo akceptacja. Z tego, co mówi David, wynika, że Jeff i Shauna nie mieli przed sobą przyszłości. Gej i pracoholik ożeniony z piękną kobietą, dla której najważniejsze jest wychowywanie dzieci. Kiedy Jeff zniknął, kawałki łamigłówek lepiej się do siebie dopasowały. Aktualny układ wszystkim wydaje się bardziej naturalny.

– Z tym, że ktoś zginął z bardzo nienaturalnych przyczyn – powiedziała McCormick. – Wygląda na to, że brat miał motyw.

Clevenger wyjął z kieszeni buteleczkę wódki, pamiątkę z samolotu.

– Być może w tym wypadku. – Odkręcił buteleczkę i wlał jej zawartość do kubka kawy stojącego na biurku. – Ale pozostają nam jeszcze cztery.

– Chyba że stwierdzisz, iż jest naśladowcą.

– Co o nim wiemy?

– Inteligentny znacznie ponad przeciętną. Skończył Yale w 1983 roku z wyróżnieniem; chodził do tej samej klasy co jego brat. Dostał się na prawo na Harvardzie, ale nigdy tam nie poszedł. Studiował muzykę na Juilliard, a potem historię sztuki na Oksfordzie. Zajmuje się malarstwem, ale chyba nie osiąga zbyt dużych sukcesów na tym polu. Nie ma przeszłości kryminalnej. Jeśli chodzi o politykę, ma konserwatywne poglądy, ale nie zajmuje się nią na co dzień. Praktykujący katolik. Nigdy się nie ożenił, nie ma dzieci.

– Od kiedy to dyrektor Instytutu Nauk Behawioralnych ma informacje na temat poglądów politycznych i religijnych ludzi?

– Od czasów J. Edgara Hoovera albo od 11 września, zależy, jak na to patrzeć.

Clevenger pociągnął łyk swojej mikstury.

– Muszę wiedzieć wszystko o jego przeszłości, co mogłoby zdruzgotać jego narcyzm, wygasić jego ja do tego stopnia, żeby miał ochotę zabić, by przejąć życie swego brata. Jak

również to, czy kiedykolwiek przebywał w pobliżu stołu sekcyjnego: lekcje anatomii na historii sztuki i co tam jeszcze. I, rzecz jasna, jakiegokolwiek jego kontakty z inną ofiarą byłyby kluczowe.

– Zaraz się tym zajmiemy. Co mogę jeszcze dla ciebie zrobić?

– Czy to podchwytliwe pytanie?

Roześmiała się. Nieoczekiwane pęknięcie w tafli lodu.

– Może mnie odwiedzisz?

– I co dalej?

Nie miał dobrej odpowiedzi.

McCormick była na tyle litościwa, że zostawiła go z tym pytaniem tylko na trzy czy cztery sekundy.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – powiedziała – nasz związek byłby trudniejszy do rozwiązania niż ta sprawa. – Zrobiła przerwę. – Powiedz mi, czego jeszcze potrzebujesz od FBI.

Być może poczułby się lepiej, gdyby w jej głosie brzmiał gniew, ale wydawała się zrezygnowana jego brakiem odpowiedzi. Współczuła mu nawet i to sprawiło, że poczuł taką samą pustkę jak wtedy, kiedy wychodził z celi Billy'ego. A nawet jeszcze większą.

– Chcę przesłuchać rodziny innych ofiar – wydusił – poczynając od mężczyzny z Southampton.

– Rona Hadleya.

– A potem wcześniejszych ofiar: dwunastolatka w Montanie oraz dwóch ofiar w Connecticut.

Usłyszał dźwięk otwieranych frontowych drzwi i do środka wszedł North Anderson. Clevenger dał mu znać ręką, że może wejść. Anderson zajął miejsce naprzeciwko jego biurka. Miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, tyle samo co Clevenger, i tak samo jak on miał krótko ostrzyżone włosy. Obydwu łączyła też intensywność spojrzenia – bystrego i nieugiętego – które czasami wyciągało zeznanie od najbardziej zatwardziałych przestępców. Gdyby nie to, że Anderson był czarny, wyglądaliby jak bracia, a nie tylko tak się czuli.

– Jeżeli masz czas, mogę wyznaczyć im terminy w ciągu następnych czterech do pięciu dni – mówiła McCormick. – Mogę nawet umówić spotkanie w Southampton na dzisiejsze popołudnie. Ale wiem, że musisz myśleć też o Billym.

– Wyznacz te spotkania. – Zadzwoń do ciebie.

– Dzięki. – Rozłączył się.

– Wyglądasz okropnie – powiedział Anderson.

– Dziękuję, ty też.

– Widziałeś się z Billym?

Clevenger skinął głową, sięgnął po swoją kawę i pociągnął duży łyk.

– Całkiem niezłe go tam poturbowali. Nie podobała mu się idea rewizji osobistej.

– Kto, do kurwy... ? To dlatego nie chcieli mnie wpuścić.

– Łatali go wtedy w Mass General. To był jakiś nowy funkcjonariusz, który miał zły humor.
– Zobaczył, jak umysł Andersona zaczyna pracować w tym samym momencie, co jego szczeka, a to była nieomylna oznaka kłopotów. – Facet została zawieszony – dodał Clevenger. – Nic już nie da się na to poradzić. Przynajmniej w połowie to wina Billy'ego. – Czy z nim wszystko w porządku?

– Mógł stracić częściowo mb całkowicie wzrok w jednym oku.

Jeszcze nie wiem. Muszę go dostarczyć na oddział okulistyczny na dalsze badania.

– Cholera, Przykro mi.

– Oko to dopiero początek. Może za to dostać od dwóch do pięciu lat.

– Kogo wynajmiesz, żeby go reprezentował? Haggerty'ego?

Clevenger potrząsnął głową.

– Tym razem może skorzystać z publicznego obrońcy.

– Jasne – powiedział Anderson. Z jego tonu wynikało, że nie jest przekonany.

– Potrzebował ode mnie jedynie kaucji i prawnika. Musi mieć trochę czasu do namysłu.

Anderson się uśmiechnął.

– Co?

– To ty jesteś psychiatrą. Ale przebywałem w twoim towarzystwie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że nie było możliwości, żeby ci powiedział, czego naprawdę potrzebuje.

– I cóż to takiego?

– Swojego ojca.

– Wiesz co? Nie jestem już tego taki pewien. Nie jestem nawet pewien, czy myśli o mnie w tych kategoriach. Może nigdy do tego nie doszliśmy. I nigdy nie dojdziemy.

– Jasne, że myśli. I ty też. W przeciwnym razie nie cierpiałbyś tak. Nie wyglądałbyś jak gównu. – Skinął głową w kierunku kosza na śmieci stojącego obok biurka. – I nie przemycałbyś wódki do kawy.

Clevenger zerknął do kosza i zobaczył pustą buteleczkę. Miał zamiar ją zakopać.

– Zabierzmy się do sprawy i zostawmy mnie i Billy'ego na później – powiedział. – Muszę ci o czymś powiedzieć.

– Jak sobie życzysz, partnerze. – North, tak jak to potrafi tylko prawdziwy przyjaciel, wiedział, że przyjdzie jeszcze czas na drażnienie tematu, ale że nie jest to właściwy moment. – Wprowadź mnie. Potem ja będę miał coś dla ciebie.

Clevenger powiedział mu o notatce, którą morderca wysłał prezydentowi Buckleyowi.

– Seryjny morderca zainspirowany przez prezydenta powiedział Anderson. – Administracja nie może dopuścić, żeby to trafiło do prasy.

– Whitney nie chciała, żeby to opuściło jej biuro. Obiecałem jej, że nie opuści naszego.

– Jasne.

– Co masz dla mnie? – zapytał Clevenger.

– Zaczynam łączyć fakty. Kiedy upadł projekt drapacza chmur Jeffrey Groupmanna, największe straty poniósł fundusz inwestycyjny Next Millennium Capital Partners z Manhattanu. Jednym z członków ich zarządu jest Sidney Stimson.

– Kim on jest?

– Ona. Między innymi jej bratankiem był Gary Hastings, dwunastolatek zabity w Montanie.

– Jak się tego dowiedziałeś?

– Ciągle rozmawiam w języku Nantucket.

Praca Andersona jako szefa policji wyspy Nantucket była darem, który ciągle procentował. Dalej miał kontakt z bogatymi i znanymi rodzinami, które spędzały tam lato.

– Możesz ustalić innych inwestorów?

– Już się do tego zabrałem.

– Skąd wiedziałem, że tak właśnie powiesz?

Rozdział 14

West Crosse starał się naszkicować główną rezydencję, która miała stanąć na terenie posiadłości Rawlingsów w Montanie, odkąd tuż po północy opuścił Maritzę. Był otoczony morzem papieru. Nie jadł ani nie spał.

Czas dobiegał końca. Jego największe i z pewnością ostateczne dzieło było w zasięgu ręki – odbudowanie rodziny prezydenta. Nie miało dla niego znaczenia, czy przeżyje, wykonawszy plan Boga w stosunku do nich. Chciał tylko skończyć wszystkie projekty, które zaczął.

Jego wyzwaniem w Montanie było zaprojektowanie czegoś, co oddałoby ducha korzeni Kena Rawlingsa z Pensylwanii, czegoś, co pogodziłoby surową prostotę jego kwakerskiego wychowania z duchem dzieciństwa Maritzę na Kubie, gdzie kolonialne wpływy Maurów i Hiszpanów zaowocowały niewyobrażalną ekstrawagancją barokowych budowli. Aby tego dokonać, musiał połączyć proste linie, które odpowiadały Rawlingsom, z szerokimi oknami i balkonami, łukami, bogato rzeźbionymi drewnianymi sufitami, kratami w oknach i witrażami, które przemawiałyby do jego prawdziwej miłości.

Znał to uczucie, kiedy zdawało się, że zbliża się do ideału – rosło w nim podniecenie i pewność siebie. Wszystkie wątki wiązały się w logiczną całość. Widział już przed sobą przejrzystą drogę. Był spragniony tej przejrzystości. Uklęknął i zaczął się o nią modlić.

Życie Rawlingsów było fałszem. Powodem, dla którego Rawlings poślubił swoją żonę Heather, była niepewność; martwił się, że nigdy nie odniesie wystarczającego sukcesu. Teraz miał Abicus, kopalnię diamentów jej ojca, ale nie miał spokoju ani dzieci. Niby dlaczego miałby je mieć? Czy Bóg powinien spoglądać na kłamstwo okiem łaskawszym niż grawitacja na kiepskie fundamenty?

Kiedy w końcu poczuł inspirację, była to fala przyływu, która uniosła Crossea wysoko w powietrze. Naszkicował jeden prostokąt wewnątrz drugiego, stwarzając główny dziedziniec, typowy dla kubańskich domów kolonialnych. Żeby podwórko wyglądało na żywe z zewnątrz, nakreślił cztery masywne łuki przecinające dom, po jednym na środku każdej ze ścian. W całej fasadzie umieścił te same łukowe okna, które zdobiły stajnię dziadka Kena Rawlingsa. Pokrył dwuspadowy dach cedrowym gontem w ciemnoczerwonym kolorze, który miał harmonizować z półokrągłymi dachówkami na dachach Starej Hawany.

Rezultat był oszałamiający – hiszpańsko – amerykańska forteca w górach, zbudowana dookoła środka zen, obfitująca w rozmaite możliwości.

Pracował jak w gorączce, szkicując plany poszczególnych pięter. Narysował główną sypialnię, apartament Kopciuszka ze wszystkimi możliwymi luksusami dla nowej pani domu,

dawniej wynajętej do pomocy. Umieścił dwie kanapy w oknach wykuszowych, wystarczająco głębokie, żeby uprawiając miłość, można było się wpatrywać w ośnieżone szczyty górskie. Na katedralnym sklepieniu zaprojektował kratownice; miały być wycięte z majestatycznego pensylwańskiego dębu, który przed miesiącem runął na dziadka Kena Rawlingsa podczas gwałtownej burzy z piorunami. Główny dom będzie miał sześć sypialni – jedną dla Kena i Maritzy, cztery dla ich dwóch synów i dwóch córek oraz jedną dla niani.

Zaczął projektować pokoje dla dzieci, trzy połączone ze sobą pomieszczenia po drugiej stronie korytarza prowadzącego do głównej sypialni i miejsce dla opiekunki. Dodał wysokie okna, zainspirowane rotundą kubańskiego Muzeum Rewolucji, i wyposażył je w drewniane żaluzje, żeby światło się przez nie sączyło. Następnie naszkicował serię świetlików z witrażowego szkła w kształcie spadających gwiazd i umieścił je w każdym z pomieszczeń. Pracował do ostatniej chwili, potem opuścił swój pokój i wymeldował się z Delano, w samą porę, żeby złapać popołudniowy lot do Chicago, gdzie miał skończyć kolejny plan. Wsiadł na pokład samolotu i rozciągnął się w swoim fotelu. Czuł przyjemne wyczerpanie. Kiedy zapadał w sen, słyszał głosy nawołujących się dziewczynek i chłopców, widział, jak bawią się w berka na podwórzu, które właśnie zaprojektował, jak wybiegają spod jednego łuku i przebiegają pod drugim, tkając idealne wspomnienia z dzieciństwa.

Rozdział 15

Czego się boisz? – zapytał Ted Pearson, psychiatra Clevengera.

– Może tego, że znalazłem kogoś, komu nie da się pomóc – odrzekł Clevenger. – Może tego, że popełniłem błąd. Siedzieli w gabinecie Pearsona, w głębokich, wytartych skórzanych fotelach umieszczonych naprzeciwko siebie. Clevenger podejrzewał, że w ciągu ostatnich siedmiu lat przesiedzieli już tak kilkaset godzin, starając się dopracować to, co nakłoniło go do powrotu do butelki, a co najprawdopodobniej również nie pozwalało mu się w pełni zakochać, całkowicie oddać kobiecie i założyć pełną rodzinę. Pearson lekko przechylił głowę w prawo i patrząc na Clevengera, zmrużył oczy, tak jakby intensywnie próbował usłyszeć ulotną muzykę.

– Błąd... – powtórzył, pocierając kciukiem o swój srebrny pierścień z turkusem.

– Adoptując go wtedy.

– Aha. – Skinął głową. – Rozumiem. – Miał osiemdziesiąt dwa lata i ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu. Włosy całkiem mu zbiały, jego skóra pomarszczyła się, jego niebieskie oczy zaś wyblakły. Ale jego umysł jeszcze się wyostrzył.

Wysłuchał tysięcy pacjentów, poznał dziesiątki tysięcy historii. Znał większość sposobów, w jakie ludzie sami potrafią wpędzić się w sidła i nigdy się nie męczył, gdy pomagał im się oswobodzić. ~ Jesteś aż tak arogancki. Myślisz, że jesteś aż tak dobry.

Clevenger pokręcił głową.

– Powiedziałem, że nie wydaje mi się, że jestem w stanie mu pomóc.

– Słyszałem cię. Wkraczasz w życie tego młodego człowieka tanecznym krokiem, próbujesz trzy lata, a potem dochodzisz do wniosku, że skoro się nie zmienił, to sprawa jest przegrana.

– Nie poprawił się. Jest jeszcze gorszy. Idzie do więzienia.

– Czy wtedy przestaniesz go kochać? – Cisza. – Czy może już to zrobiłeś. – Odwrócił się, zanim Clevenger zdążył mu odpowiedzieć, i wyjrzał przez okno na żywopłot, który zasadził czterdzieści cztery lata temu w dniu, kiedy otworzył swoją praktykę. – Też mi ojciec.

Ta uwaga utkwiała w duszy Clevengera niczym hak.

– Dlaczego ty... ?

– Na kogo tak naprawdę machnąłeś ręką Frank, na Billy'ego czy na siebie? – spytał lekarz, patrząc znów na niego.

Clevenger nie odpowiedział.

– Żaden z was w dzieciństwie nie doświadczył niczego poza bólem. Czy nie jest tak, że ty nie możesz już dłużej wytrzymać z jego cierpieniem. Nie możesz wpatrywać się w tę otchłań ciemności. – Umilkł. – Ja ci to wybaczam. Nie osądzam cię. Ale nie będę udawał, że ktoś inny

może nie znaleźć światła w tym młodym mężczyźnie. Clevenger siedział w milczeniu. Kiedy spróbował coś powiedzieć, miał zbyt ściśnięte gardło, więc posiedział jeszcze chwilę dłużej.

– Nie jestem pewian, gdzie jeszcze szukać – powiedział w końcu. – Myślę, że obydwaj się zgubiliśmy. Pearson pochylił się w jego stronę.

– A może obaj spróbujemy się temu przyjrzeć? Gdzie się zgubiłeś?

– Chyba poszkapiałam sprawę, starając się być dla niego ojcem, starając się wykonać to zadanie lepiej niż mój ojciec w stosunku do mnie. – Jesteś przestraszony?

– Tak.

– Czujesz się bezsilny?

– Z pewnością tak się czuję.

– Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że Billy doświadcza tych samych uczuć co ty: strachu i bezsilności? Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, że może on wywołuje te uczucia u ciebie, żeby powiedzieć ci, jak sam się czuje?

– Przeniesienie.

– Tak jak was uczył na stażu. Clevenger słuchał dalej.

– On zgubił się tam, gdzie ty: starając się być ojcem – wyjaśnił Pearson. – Woli raczej pójść do więzienia. Myśli, że straszliwie zawiedzie w tej roli.

Clevenger czuł, że to prawda. W jakiś sposób wyjaśniało to wszystko, co się stało. Był zawstydzony, że mu to umknęło.

– I ja się z nim zgadzam – powiedział. – Więcej niż pod jednym względem.

– Co masz na myśli?

– Wolisz się raczej upić, niż uzyskać prostą odpowiedź na pytanie, czy możesz być lepszym ojcem dla Billy'ego, niż twój ojciec był dla ciebie. Billy raczej woli iść do więzienia, niż się dowiedzieć, czy może zrobić to samo dla Jake'a. Wybierz swoją truciznę, czy nie tak się mówi?

– Dokładnie tak.

– Chcesz, żeby Billy miał odwagę? Chcesz, żeby spróbował być dla tego dziecka kimś, kim nikt nigdy nie był dla niego?

Sam okaż trochę odwagi. Odstaw gorzałkę raz na zawsze.

Oczy Clevengera wypełniły się łzami.

– Powiedz mi, o czym myślisz – poprosił Pearson. Clevenger wyjrzał przez okno na żywopłot.

– Frank, daj spokój. Jestem starym człowiekiem. Nie każ mi tak ciężko pracować.

– Zastanawiałem się – zaczął Clevenger po chwili z uśmiechem na twarzy – jak inaczej mogłoby to wyglądać w moim wypadku, kim mógłbym się stać, gdybym miał... – Powstrzymał się i pokręcił głową.

– Gdybyś miał... – nacisnął Pearson.

– Przyzwoitego ojca. – Clevenger wzruszył ramionami. – Być może kogoś takiego jak... – Zerknął na Pearsona. – To, co teraz mówię, nie ma żadnego sensu.

– Kogoś takiego jak ja?

– Jeśli już mówimy o przeniesieniu – powiedział Clevenger i roześmiał się. – Nie mam zielonego pojęcia, o czym teraz mówię.

– Pewnie, że masz – powiedział Pearson. – I nie ma w tym niczego zabawnego.

Ich spojrzenia spotkały się.

– Chciałbym, żebyś miał takiego ojca, jakim, jak c i się wydaje, ja bym był – rzekł Pearson. W jego tonie zabrzmiały ciepłe nuty. – Chciałbym móc być tak dobrym ojcem dla moich dzieci.

Rozdział 16

Clevenger wylądował na lotnisku Islip, wynajął samochód i skierował się do Southampton, położonego na końcu Long Island. O 17.00 miał umówione przez Whitney McCormick spotkanie z rodziną Rona Hadleya, którego ciało znaleziono dziewięć tygodni wcześniej, zakopane w płytkim grobie na plaży w pobliżu jego posiadłości na brzegu oceanu; było owinięte w plastikową folię; na jego odsłoniętym sercu wykonano drobiazgową sekcję.

Southampton jest letnim placem zabaw dla najbogatszych i najsławniejszych mieszkańców Manhattanu. Swoje drugie bądź trzecie rezydencje mają tam Steven Spielberg, Billy Joel, Lauren Bacali, dyktatorzy mody Calvin Klein i Tory Burch, jak również były szef Time Warner Steve Burns. Wiele posiadłości wycenianych jest na dziesiątki milionów dolarów.

Zanim Clevenger opuścił biura Medycyny Sądowej w Bostonie, poszperał w Internecie, żeby dowiedzieć się czegoś o Hadleyu.

W chwili śmierci Hadley miał sześćdziesiąt jeden lat i był szefem wykonawczym National News Corporation nadzorującego dzienniki, radio i stacje telewizyjne na terenie całego kraju. Mając czterdzieści lat, odsłużył dwie kadencje w Kongresie, reprezentując czternasty okręg wyborczy w Nowym Jorku, do którego należała większość Upper East Side. Zostawił swoją żonę Patrice, była modelką, oraz dwie dorosłe córki, Nicole i Amy.

Kiedy McCormick powiedziała mu, że posiadłość Hadleyów znajduje się na Meadow Lane, najwystawniejszej ulicy Southampton, biegnącej wzdłuż oceanu, Clevenger przygotował się na wspaniały widok. Ale i tak zaparło mu dech, kiedy wjechał na teren posiadłości.

Zgodnie ze standardami Southampton, dom sam w sobie nie był wielki – miał siedemset albo osiemset metrów kwadratowych, a nie tysiąc sto, tak jak zezwalał na to plan zagospodarowania. Wyjątkowym czyniło go, że położony był na przynajmniej sześciu akrach falistego trawnika, z plażą ciągnącą się na setki metrów i chwytającymi za serce widokami na Ocean Atlantycki i zatokę Great Peconic. Dom także był uderzająco piękny. Fasadę tworzyły trzy szare, zachodzące na siebie prostokąty, oddzielone przez dwie okrągłe wieże zbudowane z szarego kamienia w ciemniejszym odcieniu. Cztery kominy z tego samego kamienia przemijały szary łupkowy dach w kolorze ciemnografitowym. Czwartym odcieniem szarości były okna obramowane ołowiowaną miedzią. Dom wyglądał jak węglowy rysunek samego siebie, dzieło sztuki na wystawie pod chmurami. Clevenger zadzwonił do frontowych drzwi. Minutę później drzwi otworzyła mu mniej więcej trzydziestoletnia kobieta w ciąży o ciemnorudych włosach. Miała na sobie jednoczęściowy czarny strój kąpielowy, czarny peniuar i czarne okulary od Gucciego.

– Doktor Clevenger?

– Zgadza się.

– Jestem Nicole – powiedziała z uśmiechem. Wyciągnęła rękę.

Clevenger uściskał lekko jej palce.

– Wszyscy są przy basenie.

Poszedł za nią przez dom, równie piękny jak na zewnątrz, z drewnianymi podłogami i sufitami oraz kominkami z szarego granitu. Wzdłuż szczytu każdej ze ścian, niczym przezroczyste karnisze, ciągnął się rząd piętnastocentymetrowych okienek pozwalających światłu słonecznemu przenikać przez cały budynek.

– Tędy – wskazała Nicole. Otworzyła szklane drzwi i wyszła na zewnątrz.

Rozległe połacie trawnika obramowanego dzikimi śliwkami, karłowatymi drzewkami jałowca i gęstymi angielskimi ogrodami łagodnie opadały w stronę oceanu. Clevenger słyszał fale uderzające o brzeg.

Szedł z Nicole krętą ścieżką z niebieskiego piaskowca, która stopniowo się poszerzała, aż w końcu otoczyła ogromny basen znajdujący się obok domku kąpielowego ocienionego przez pochylone wiatrem sosny. Domek był wykończony tym samym szarym łupkiem, szarym kamieniem i ołowiowaną miedzią co główna rezydencja. Przy jednym z trzech wyblakłych stolików z drewna tekowego, przy basenie pod jasnoniebieskim plażowym parasolem, siedziały dwie kobiety. W oddali kołysały się na wietrze połacie wydmyowych traw koloru zboża.

– Mamo, Amy, to jest doktor Clevenger – powiedziała Nicole, kiedy dotarli do stolika.

Patrice Hadley miała ponad pięćdziesiąt lat, ale można byłoby ją uznać za wcielenie klasycznej elegancji. Długie włosy poprzetykane pasemkami siwizny miała związane w koński ogon, a jej zniewalającego uśmiechu i pięknej cery zazdrościłaby większość kobiet o połowę młodszych od niej. Miała na sobie szorty do tenisa i różowy T-shirt. Amy Hadley była najładniejsza z całej trójki, choć miała podobne do siostry kasztanowe włosy i podobnie pogodne usposobienie. Bezwiednie bawiła się pierścieniem zaręczynowym z pojedynczym brylantem, który musiał mieć przynajmniej pięć karatów. Nie miała na palcu obrączki ślubnej. Clevenger przywitał się po kolei z każdą z nich.

– Miło mi panie poznać. – Zauważył, że piły czerwone wino.

Jego wzrok przeniósł się na butelkę.

– Proszę, niech pan do nas dołączy – powiedziała Patrice Hadley.

Clevenger i Nicole usiedli.

– Możemy zaproponować panu kieliszek wina? – zapytała Amy Hadley.

Clevenger powiedział sobie, że przyjęcie zaproszenia stopi lody i że może poczekać z wytrzeźwieniem do rana. Nowy dzień, nowy początek.

– Dlaczego nie? – odpowiedział. – Będzie mi bardzo miło.

Nalała mu kieliszek.

Upił łyk, wyobraził sobie Teda Pearsona siedzącego w swoim gabinecie i usłyszał jego słowa: „Sam pokaż trochę odwagi”. Pociągnął kolejny łyk.

– Jak możemy panu pomóc, doktorze? – zapytała Patrice.

– Wiem, że rozmowa o tym wszystkim może być trudna – zaczął Clevenger, zwracając się głównie do niej – ale chciałbym wiedzieć o życiu Rona wszystko, co tylko może sobie pani przypomnieć, a co mogłoby być wskazówką w sprawie jego śmierci.

Patrice uśmiechnęła się do swojej córki Amy, która odwzajemniła uśmiech. Nicole się roześmiała. Clevenger nie mógłby sobie wyobrazić dziwniejszego sposobu reagowania na żalobę niż Groupmannowie, ale oto siedzi następnego dnia z wdową i jej dwoma córkami i słucha żartów na temat ich zamordowanego męża i ojca.

– Musiałem coś przeoczyć – powiedział. Pociągnął kolejny łyk wina.

Amy i Nicole zwróciły się do swojej matki. Opróżniła swój kieliszek i ponownie go napełniła.

– Bardzo kochałam Rona, ale utrudniał życie wszystkim, kogo spotkał na swojej drodze – wyjaśniła. – Jestem pewna, że tuziny ludzi odetchnęły teraz z ulgą.

– Utrudniał? W jaki sposób? – zapytał Clevenger.

– Miał bardzo silną osobowość.

– Zbyt silną – powiedział Clevenger.

– Wiem, że nasi partnerzy w News Corporation mieli poważne trudności z kwestionowaniem sposobu, w jaki zarządzana była firma – wyjaśniła. – Mój mąż potrafił być bardzo mściwy. Kiedy ktoś się z nim nie zgadzał. Czuł się wtedy, jakby ktoś go atakował. Myślę, że właśnie ten mechanizm zakończył jego karierę polityczną. Sprawił, że nawet łodzie znajdujący się najbliżej niego bali się mu cokolwiek powiedzieć, kiedy się mylił.

Clevengera uderzył pozorny brak emocji Patrice Hadley – nie okazywała ani smutku, ani gniewu. Mówiła jak biograf swojego męża, a nie wdowa po nim. Tak samo jak Shauna Groupmann.

– Czy trudno było z nim żyć? – zapytał, rozglądając się dookoła.

– Mało powiedziane – stwierdziła Patrice. Zacisnęła dłonie przed sobą.

Nicole położyła rękę na dłoniach matki. Clevenger zerknął na Amy i zobaczył, że bez przerwy obraca swój pierścionek zaręczynowy.

– Nie znaliśmy innego życia – powiedziała Nicole. – Ale to nie była normalna sytuacja. – Zerknęła, by sprawdzić, czy jej komentarz nie zranił matki. Zranił.

Wszystkie kobiety umilkły. Wydawało się, że otoczenie – szary dom, wiatr, fale bijące o brzeg – zmieniło się; nie było już spokojne, tylko złowieszcze.

– Jak to nienormalna? – zapytał Nicole Clevenger. Wzruszyła ramionami. Clevenger spojrzał na Amy, która sięgnęła po swój kieliszek i pociągnęła łyk. Minęło kilka sekund. W końcu ciszę

przerwała Patrice.

– On zarządzał naszym życiem – powiedziała. – To była moja wina, nikogo innego. Nawet nie jego. Ron był jak żywiol.

Powinam była usunąć dziewczynki z jego drogi. Nie zrobiłam tego.

Z jego drogi. Dokąd to prowadziło?

– Jaką krzywdę im wyrządził? – zapytał ją Clevenger.

– Zmarnował im życie.

– Mamo – powiedziała Amy, kręcąc głową.

– To nie tak... – zaczęła Nicole.

– Właśnie, że tak – przerwała Patrice. Spojrzała ciepło na Nicole, a potem znowu na Clevengera. – Mogły żyć własnym życiem o wiele wcześniej.

– To nie koniec świata. Nadrobiłam – powiedziała Nicole, przesuwając ręką po swoim brzuchu.

– Który to tydzień? – zapytał ją Clevenger.

– Siedemnasty. Zaszłam w ciążę dwa tygodnie po śmierci taty.

– To ma jakiś związek?

– On nienawidził mojego męża – powiedziała Nicole. – Wiem, że to brzmi głupio, ale dlatego czekałam. Byłam zamężna od trzech lat. Od samego początku dał mi wyraźnie do zrozumienia, że Saul jest dla niego absolutnie bezużyteczny.

I to mnie gryzło. Przejmowałam się tym, co myślał. Nie szanowałam tego, ale też nie mogłam zignorować i założyć rodziny. Niewiele brakowało, a Saul byłby się ze mną rozwiódł z tego powodu.

– Ale teraz, kiedy go nie ma, jesteś wolna. – Wskazał na jej brzuch.

– Czuję się winna z tego powodu, ale tak właśnie jest.

– Nie masz żadnego powodu, żeby się czuć winna – stwierdziła Patrice.

– Ty też nie – powiedziała Amy do matki.

– To nieprawda – sprzeciwiła się Patrice. – Wiedziałam, że sposób, w jaki nas wszystkie kontrolował przez tyle lat, nie był zdrowy. Powinam była odejść.

Clevenger spojrzał na Amy i utkwiał wzrok w jej pierścionku zaręczynowym.

– Czy zaręczyłaś się niedawno? – zapytał ją. Skinęła głową.

– Jak długo po morderstwie?

– Siedem tygodni.

– Twój ojciec nie akceptował twojego narzeczonego? – dociekał.

– Nie akceptował żadnego chłopaka, jakiego kiedykolwiek miałam – stwierdziła bezbarwnie Amy. – Jack nie jest pierwszym mężczyzną, który poprosił mnie o rękę.

– Nikt nie był wystarczająco dobry – powiedział Clevenger.

– Nikt nie był w ogóle dobry. Byli „najgłupszy”, „najbardziej leniwi”, „najbrzydszy”. Dosłownie nie zamienił słowa z połową chłopaków, z którymi wychodziłam na randki.

Clevenger siedział z trzema kobietami po traumatycznych przeżyciach. Wydawało się, że śmierć Rona Hadleya wyzwoliła je. Każda z nich miała psychologiczny motyw do zabójstwa.

– Ron nigdy nie poprosiłby o pomoc – powiedziała Patrice – ale ja powinnam była. Byłam słaba. Zero poczucia własnej wartości. Ale czy chce pan wiedzieć naprawdę... ? – Zamilkła, jakby nagle straciła głos.

Teraz to Amy położyła dłoń na rękę matki. Oczy Nicole wypełniły się łzami. Patrice odchrząknęła.

– Naprawdę dziwną rzeczą – kontynuowała – jest to, że czasami za nim tęsknię... nawet często, co jest... chore. – Przygryzła wargę. – Bo bez niego jest nam naprawdę lepiej.

Rozdział 17

Pukanie. West Crosse podszedł do drzwi swojego apartamentu w hotelu Palmer House w Chicago. Ten dziewiętnastowieczny cud beaux arts z trzypiętrowym holem Louisa Pierre'a Rigala często porównywano do Kaplicy Sykstyńskiej.

Otoczenie sprawiało, że czuł się wyjątkowo spokojny, nawet w mieście, którego symbolem był teraz Millennium Park, miejsce, w którym umieszczono długą na dwadzieścia i wysoką na dziesięć metrów rzeźbę fasoli, oraz monstualne dzieło Franka Gehry'ego, zbudowany z nierdzewnej stali Pritzker Pavilion.

– To ja. – Kobięcy głos.

Otworzył drzwi. Na zewnątrz stała dwudziestodwuletnia Chase van Myer, oszałamiająco piękna w białym T-shircie i czarnej skórzanej minispódnicy. – Mogę wejść?

Skinął głową. Weszła do środka. Pokój lśnił światłem dziesiątków świec.

– To wszystko dla mnie? – zapytała, patrząc mu w oczy.

– Tak.

– Minęło tyle czasu.

Zamknął drzwi, przyciągnął ją do siebie i musnął jej długie czarne włosy.

– Nie mogłem już czekać dłużej.

Pocałowali się namiętnie. Wyczuł kwaśny posmak kokainy na jej zębach i dziąsłach. Chwyił ją za nadgarstki, popchnął na ścianę, przyciskając ręce nad głową. Ucałował blizny krzyżujące się na wewnętrznej stronie przedramion, zatrzymując się na dłużej przy tych świeższych. Rozerwał jej koszulkę i całował jej nagie, poprzekłuwane piersi. Potem obrócił ją tyłem do siebie, gwałtownie odstąpił kark i ugryzł wytatuowaną tam małą różę. Jęknęła.

– Tak bardzo potrzebuję rżnięcia.

Kopnięciem szeroko rozstawił jej stopy i przesunął dłonią pomiędzy jej nogami. Bez majtek. Mokra.

– Proszę – powiedziała.

Chciała, by sprawił, żeby zaczęła go błagać, pragnęła poniżenia; chciała poczuć, że jest zwykłą biedną dziewczyną, a nie spadkobierczynią wielkiej fortuny; brzydką, a nie piękną. Zadarł jej spódniczkę i bił ją otwartą dłonią, dopóki skóra nie zrobiła się czerwona. Wygięła plecy w łuk, prosząc o więcej.

– Wiesz, co chcę zobaczyć – wyszeptał w jej ucho. Odciągnął ją od ściany i popchnął w kierunku sypialni, gdzie stało jeszcze więcej świec, a łóżko z czterema kolumnami tonęło w płatkach białych róż i gałązkach mirtu. Ze znajdującego się obok łóżka zestawu stereo dobiegały

cicho tony Mesjasza Haendla. Na prześcieradle leżały cztery kawałki jedwabnej złotej liny.

Stała obok łóżka twarzą do niego i zdjęła bluzkę. Potem rozpięła spódniczkę i pozwoliła jej opaść na ziemię, po czym zrobiła krok do przodu. Patrzył na nią z kamienną twarzą. Nie odrywając od niego wzroku, wspięła się na łóżko, położyła i szeroko rozłożyła nogi.

Jego wzrok przesunął się od jej piersi, poprzez giętki tors, przekłuty pępek, wygolone krocze i zatrzymał na wewnętrznej stronie prawego uda, gdzie wytatuowane było słowo ZERŹNIĘTA. To była nowość od czasu, kiedy byli ze sobą sześć miesięcy temu. Jeżeli nawet kiedyś się zastanawiał, czy jej dusza może być zbawiona, te dziewięć liter wypisanych w jej skórze przekonało go raz na zawsze, że nie ma takiej możliwości.

Crosse poznał Chase van Myer niewiele ponad dwa lata temu, kiedy przeprojektowywał wnętrze wybudowanego w 1922 roku, wartego dwadzieścia milionów domu jej rodziców na Astor Street, na słynnym z bająnskich cen posiadłości Złotym Wybrzeżu w Chicago. Jej ojciec, Scout, nie stroniący od ryzykownych przedsięwzięć inwestor, członek rady miejskiej i bractwa Czaszka i Kości, zwierzył mu się, że Chase cierpi na graniczne zaburzenia osobowości.

– Ona się tnie – powiedział, wyglądając na zniesmaczonego.

– Mówi, że to nawet nie boli. Ciągłe zaczyna i przerywa terapię odwykową od alkoholu i kokainy. Nie kontroluje się w towarzystwie mężczyzn. To są typowe objawy choroby.

– Mężczyźni ją wykorzystują? – zapytał Crosse.

– Stale traci panowanie nad sobą z powodu jednego czy drugiego faceta. Jest gotowa się zabić. Nienawidzi go, nie chce go więcej widzieć, a potem nie może bez niego żyć, jest gotowa z nim uciec i urodzić jego dziecko. W głowie ma jeden wielki bałagan.

– Czy zaszła w ciążę? – zapytał Crosse.

Van Myer spuścił wzrok. Dopiero co przekroczył pięćdziesiątkę, ale wyglądał na człowieka znacznie starszego, częściowo z powodu siwych włosów na skroniach i zmarszczek w okolicach przenikliwych niebieskich oczu, a częściowo z powodu wyczerpania emocjonalnego.

– Przeszła trzy aborcje. Crosse z powagą skinął głową.

– Leczenie jest bardzo trudne. Jej lekarz mówi, że może nigdy z tego nie wyjść. Objawy mogą się nawet nasilać.

Nasiliły się. W ciągu jedenastu miesięcy, kiedy Crosse pracował nad projektem van Myera, Chase uzależniła się też od heroiny, zaszła w ciążę ze swoim dostawcą narkotyków i miała czwartą aborcję.

– Wiesz, co myślę? Jesteśmy częścią problemu – wyznał Crosse'owi jej ojciec pewnej nocy.

– W jaki sposób? – Na przykład utrzymując ją. Kiedy tu mieszka, łatwo jej balować. Czas na trochę szorstkiej miłości. Musimy pomyśleć o dwojgu młodszych dzieciach. Ta sytuacja ma na nie zły wpływ. Ciągłe się o nią martwią, nie mogą się skoncentrować na szkole czy pracy. Po części jej nienawidzą, po części kochają. Ona wykańcza wszystkich dookoła.

Crosse w pełni popierał wyrzucenie jej z domu. Kiedy ma się złośliwego guza, należy go jak najszybciej usunąć. W przeciwnym razie pochłonie wszystko dookoła. Ten schemat pasował do komórki rakowej w ciele, toksycznej osoby w rodzinie lub wręcz szkodliwego narodu na ziemi.

Sypiał już wtedy z Chase i wiedział, jak bardzo jest porąbana. Podejrzywał, że przyczyną może być jej ojciec; Scout van Myer mógł uprawiać seks ze swoją córką, kiedy była dzieckiem. Ale jej historia już się nie liczyła, bo nie widział dla niej nadziei. Reszta rodziny rozkwitała. Teraz to ona była problemem.

– Myślę, że oddzielenie jej od rodziny ma sens – powiedział jej ojcu. – Jeżeli będzie musiała utrzymywać mieszkanie i siebie, to może się z tego otrząsnie. I gdy kończył projekt posiadłości van Myera, zapadła decyzja, że sypialnia Chase, która nadal miała różowe ściany i pełna była wypchanych zwierzątek i trofeów z letnich obozów, zostanie przerobiona na bibliotekę i pokój bilardowy, i zniknie bez śladu. Dziewczyna miała się przenieść do mieszkania z jedną sypialnią położonego kilka ulic dalej, otrzymać pieniądze na sześć miesięcy czynszu i życzenia wszystkiego najlepszego od swoich rodziców.

Taki był plan. Ale krótko po tym, jak jej pokój został opróżniony, Chase straciła panowanie nad sobą, przedawkowała i została aresztowana za prostytutkę. Znowu przedawkowała, pocięła sobie żyły i wylądowała na oddziale intensywnej opieki medycznej.

– Musimy przyjąć ją z powrotem – powiedział Crosse'owi van Myer.

– Ona cię wystawia na próbę – stwierdził Crosse.

– A jeżeli umrze? Jak mam z tym żyć?

– Będziesz wiedział, że próbowałeś ją ratować.

– Coś jej się przydarzyło... kiedy była dzieckiem – z trudem rzekł van Myer.

– Ona nie jest już dzieckiem – powiedział Crosse bezbarwnym tonem.

Ale wola van Myera została już złamana. Demony, które nawiedzały Chase, teraz terroryzowały też resztę rodziny. Zgodzili się, by córka wróciła do domu, opróżnili bibliotekę z książek i ponownie umieścili na swoich miejscach jej wspomnienia z dzieciństwa, wstawili łóżko i pozwolili wypełniać pokój dziełami coraz bardziej agresywnej sztuki – glinianą rzeźbą głowy kobiety z gwoździami zamiast zębów, następną przedstawiającą czwórkę dzieci rozbitych na kawałki, obraz młodej dziewczyny przybitej do krzyża. Wpuścili diabła do świętej przestrzeni, którą stworzył Crosse, bezczeszcząc wielki plan Boży. I nowotwór zaczął się rozrastać. Życie Chase się nie polepszyło, za to życie reszty rodziny znacznie pogorszyło.

Van Myerowie zaczęli się kłócić. Ich pozostałe dzieci rywalizowały z Chase o uwagę rodziców. Jej siostra Gabriela dwukrotnie wylądowała na oddziale ratunkowym z powodu przedawkowania kokainy. Najmłodszy z rodzeństwa szesnastoletni chłopak wyleciał ze szkoły.

W ciągu ostatniego miesiąca Scout van Myer kilkakrotnie dzwonił do Crosse'a, swojego towarzysza z bractwa, z paniką obserwując, jak jego życie zaczyna się rozpadać, nie widząc

żadnej drogi ucieczki z labiryntu, który sam pomógł zbudować.

Teraz było tylko jedno rozwiązanie.

Crosse podszedł do łóżka. Podniósł jeden z kawałków liny ze złotego jedwabiu. Chase uśmiechnęła się. Ciasno przywiązał jej prawy nadgarstek do rogu łóżka. Wyciągnęła lewą dłoń w kierunku drugiego rogu. Przywiązał jej lewy nadgarstek, potem lewą i prawą kostkę.

– Spróbuj się uwolnić – powiedział bez żadnych emocji. Był teraz chirurgiem. Żołnierzem Pana. Nie czuł podniecenia, smutku, strachu ani litości.

Mocno pociągnęła za swoje więzy, wyginając ręce i nogi w niewielkim stopniu, w jakim jeszcze mogła.

– Dobrze – powiedział. – Leż spokojnie. Posłuchała.

Rozpiął koszulę, zdjął ją, rozpiął pasek, pozbył się spodni, po czym bielizny.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Podszedł do stolika stojącego obok łóżka, otworzył szufladę i wyjął białą jedwabną chustę i zrobił z niej opaskę na oczy. Podniosła głowę, a on zawiązał opaskę na jej głowie.

– Widzisz coś? – zapytał ją.

– Nie.

Sięgnął raz jeszcze do szuflady i wyjął buteleczkę chloroformu i jeszcze jedną białą chustę. Nasączył materiał płynem, po czym przytrzymał go nad jej nosem i ustami. Walczyła słabo, tylko chwilę, a potem zapadła w sen. Crosse wiedział, dlaczego nie walczyła mocniej: Chase van Myer rozumiała lepiej niż ktokolwiek inny, że życie przynosiło jej samej i reszcie rodziny więcej bólu niż przyjemności. I wiedziała, że nie będzie temu końca. Gdyby było inaczej, czemu podejmowałaby tyle prób samobójczych? Sięgnął do szuflady, skąd wyciągnął opaskę uciskową i strzykawkę wypełnioną sukcylocholimą. Zawiązał opaskę uciskową na ramieniu Chase i wstrzyknął jej jeden miligram. Po piętnastu sekundach zobaczył, że ramiona i nogi dziewczyny, a potem twarz i szyja zaczynają drgać w serii niekontrolowanych skurczów, sukcylocholimą zaczynała działać. Wiedział, że nawet jej serce i przepona zaciskają się i rozkurczają bez końca. Jej ciało samo złapało się w śmiertelny uścisk i nie potrafiło się z niego uwolnić. Crosse wcale się tym nie przejął. Wiedział, że wszystko czyni w imię wolności, i to pozwalało mu zrobić to, co konieczne – pewną ręką i z czystym sumieniem.

W ciągu minuty mięśnie Chase tak się zmęczyły, zaś jej organizm był tak zatruty produktami przemiany materii, że legła bez ruchu. Jej serce od czasu do czasu zadrżało, ale nie pompowało już krwi. Do płuc nie przedostało się powietrze. Jej układy oddechowy i krążeniowy przestały pracować. Dziewczyna bezgłośnie się dusiła.

Crosse odwiązał jej ręce i nogi, zdjął opaskę i wyciągnął spod niej prześcieradło, pozostawiając ją nagą na plastikowej płachcie, którą umieścił tam przed jej przybyciem. Rozwinął boki płachty tak, że przykrywała całe łóżko i kawałek dywanu po każdej ze stron.

Podtoczył swój stary kufer od Louisa Vuittona do boku łóżka i otworzył jedną z szuflad. Wewnątrz znajdowały się skalpel, piła chirurgiczna, retraktory i kleszczyki chirurgiczne. Z innej szuflady wyciągnął perfekcyjnie wyprasowaną białą lnianą tunikę i włożył ją. Ukląkł przy łóżku, zamknął oczy i pomodlił się:

Panie, Władco i Królu Wszechświata, Uspokój mój umysł i serce, i rękę. Wola Twoja jest moją wolą, Kiedy wyzwalam tę rodzinę od zła. Kiedyś byłem zagubiony, ale teraz się odnalazłem. Byłem ślepy, ale teraz widzę.

Wstał. Patrzył i słuchał, aby się absolutnie upewnić, że Chase nie oddycha. Ujął ją za nadgarstek, żeby sprawdzić, czy nie wyczuje tętna. Nie chciał zadawać światu cierpienia. Chciał je zakończyć.

Nie żyła. Pozostało mu jedynie pozostawić symbol swojej miłości do piękna i prawdy. Wiedział, że będzie to jedna z jego ostatnich okazji, żeby to zrobić.

Zsunął nogi Chase razem i rozłożył jej ręce na boki, naśladując słynną ilustrację Leonarda da Vinci przedstawiającą boskie proporcje ludzkiego ciała. Nastawił głośniej odtwarzacz stereo i pozwolił, żeby wypełniło go piękno Mesjasza. Wziął skalpel.

Za powiekami głęboko w kościstych oczodołach i za przegrodą oczodołową znajdował się świat perfekcyjnego połączenia budowy i funkcji. Mięśnie proste, dźwigacz i mięśnie skośne, unerwione przez trzy nerwy czaszkowe obejmowały gałkę oczną, pozwalając umysłowi na cudowną kontrolę nad ruchami oka. Tętnica oczna rozgałęziała się niczym drzewo życia karmiące nie tylko mięśnie, ale i siatkówkę, gruczoł łzowy, tęczówkę i rogówkę.

Pierwsze nacięcie Crosse przeprowadził na prawej górnej powiece Chase. Wziął z walizeczki dwa domowej roboty srebrne gwoździe i przymocował każdy odciągnięty brzeg, odsłaniając delikatne włókna nerwu nadoczodołowego. Poczul przepływające przezeń fale podniecenia. Pomyślał sobie, jak inni ludzie niewiele pragną zobaczyć, jak przeraża ich spojrzenie w kierunku światła, wyobrazenie sobie, dokąd może ich zawieść pragnienie wolności; bali się przywołać odwagę i wiarę, żeby tam wyruszyć. Pracował ponad trzy godziny; ostatni srebrny gwóźdź umieścił w prawym nerwie wzrokowym Chase o 3.05. Cofnął się przepelniony podziwem, nie dla pracy, którą wykonał, ale dla perfekcji, jaką obnażył. W tym, tak samo jak we wszystkim innym, był nikim więcej niż posłańcem Boga.

Zrobił głębokie zaokrąglone nacięcia pod biodrami Chase, tnąc przez mięśnie i powiezie łączące jej nogi i miednicę. Owinął ją plastikową płachtą, opróżnił kufer z szuflad i umieścił ją w środku, z kolanami silnie przyciśniętymi do brody i włożył szuflady z powrotem.

Zadzwoił do parkingowego i kazał mu wyprowadzić swojego czarnego rangę rovera z otwartymi drzwiami bagażnika. Zjechał windą do holu, spokojnie wymeldował się z hotelu i ruszył spacerowym krokiem w kierunku frontowych drzwi, ciągnąc za sobą kufer. Idąc, podziwiał ściany z marmuru i trawertynu, i rzadki dywan z irlandzkiej wełny pod stopami. Ale,

jak zwykle, najbardziej poruszał go znajdujący się na suficie fresk Rigala, składający się z dwudziestu jeden oddzielnych obrazów, z których każdy był hołdem dla greckiej mitologii. Czuł się całkowicie spokojny, wiedząc, że wielka sztuka trwa i że jego największe dzieło jest prawie w zasięgu ręki.

Rozdział 18

13 sierpnia 2005,
godz. 11.50
czasu środkowoamerykańskiego

Clevenger odebrał telefon od Whitney McCormick tuż przed siódmą rano i udało mu się złapać lot z Bostonu do Chicago o 8.35.

Stał z nią przed nagim ciałem Chase van Myer ułożonym w pozycji siedzącej z nadgarstkami przywiązanymi do oparcie środkowego fotela w pierwszym rzędzie Jay Pritzker Pavilion, falistej, zbudowanej z nierdzewnej stali, muszli koncertowej zaprojektowanej przez Franka Gehry'ego, będącej chlubą wartego 475 milionów dolarów Millennium Park. Gałki oczne dziewczyny zostały precyzyjnie rozpreparowane, odsłaniając mięśnie, nerwy oraz naczynia krwionośne, które kiedyś kontrolowały i odżywiały jej oczy. Rezultatem była groteskowa jednoosobowa widownia, patrząca w górę na budowlę o wysokości trzydziestu sześciu metrów, tak jakby sam jej widok wystarczył, aby obedrzeć jej ciało ze skóry. Mimo namiotu z brezentu postawionego naprzecde dookoła ciała, do prasy przeciekła informacja, że ofiarą jest córka Scouta van Myera. Dziesiątki gapiów, wliczając telewizję i prasę, kłębiły się za linią utworzoną z policjantów, radiowozów i ambulansów.

Zespół do badania miejsca zbrodni przeczesał teren, fotografując, zdejmując odciski palców i robiąc odlewy śladów stóp.

Clevenger wskazał na słowo ZERŻNIĘTA na udzie dziewczyny.

– Wygląda na nowy.

– Tak. Ale większość blizn na jej ramionach nie. Tak samo jak większość śladów po igle.

– Dziecko z problemami.

– Czarna owca rodziny. Była aresztowana za prostytutkę, kradzież, posiadanie narkotyków, pijaństwo i niemoralne prowadzenie się.

– Czy powiadomiono jej rodziców? – zapytał Clevenger McCormick.

– Są w drodze.

Oevenger i McCormick wiedzieli, że nigdy nie będą w stanie zrozumieć przerażenia i grozy, jakie ogarniają matkę czy ojca, kiedy patrzą na pocięte ciało swojego dziecka. Wiedzieli, że na nic się nie zda nawet najgłębsze współczucie. I to sprawiło, że chcieli przytulić się do siebie mocno, żeby razem stawić czoło śmierci i zniszczeniu. Ponieważ razem czuli się bardziej żywi niż osobno. I wiedzieli, że jest to swego rodzaju cud.

– Jak ją zidentyfikowali? – zapytał Clevenger. McCormick skinęła głową w kierunku składanego stolika bliżej sceny, gdzie katalogowano dowody.

– Zostawił jej portfel, prawo jazdy, karty kredytowe, wszystko, tak samo jak w wypadku pozostałych.

Clevenger zerknął na płataninę krzyżujących się stalowych rur, które rozciągały się nad trawnikiem dookoła pawilonu, błyszcząc w promieniach oślepiającego sierpniowego słońca.

Spojrzał z powrotem na scenę.

– Ten przypadek jest inny. – McCormick spojrzała na niego. – Inne ofiary były równie znaczące – powiedział Clevenger. – I też nie próbował ukryć ich tożsamości. Ale zakrywał ciała.

Zakopywał je blisko domu: w ustronnym okolicznym parku, na plaży. – Spojrzał na tłum zgromadzony dookoła muszli koncertowej. – A tutaj ujawnił się publice z prawdziwą pompą.

– I coraz bardziej zwiększa tempo – powiedziała McCormick – Trzy w ciągu siedmiu miesięcy.

– Chce na siebie zwrócić uwagę, i to natychmiast – Cóż, udało mu się. Ogólnokrajowe serwisy informacyjne wszystkich sieci. Jeżeli masz coś, co mogłabym przekazać do biura, daj mi znać. Będą do mnie dzwonić.

– North twierdzi, że jest blisko powiązań finansowych pomiędzy rodzinami niektórych ofiar. Ale potrzebuje więcej czasu.

– My też próbowaliśmy sprawdzić kilka z tych śladów.

Problem polega na tym, że kiedy mówi się o rodzinach na tym poziomie, napotyka się wiele powiązań. Oni żenią się między sobą. Razem robią interesy. Trudno stwierdzić, czy te relacje mają jakieś znaczenie, jeśli chodzi o nasze morderstwa.

– Coś jeszcze łączy przynajmniej dwie z ofiar.

– Co takiego?

– Mówiłem ci, co zaobserwowałem u Groupmannów. Wczoraj zauważyłem to samo u Hadleyów. Brak żalu. Z miejsca ruszyli dalej w swoje życie. W pewnym sensie obydwie rodziny wydają się radzić sobie lepiej niż przedtem.

– Myślę, że jeżeli to jest jakiś rodzaj ekstremalnej negacji, to jest ona bardziej zrozumiała po nagłej śmierci, zwłaszcza po morderstwie. Szok i przerażenie zbyt trudne do udźwignięcia. Może obydwie rodziny były zdesperowane i chciały zostawić to wszystko za sobą.

– To kłóci się z innymi przypadkami, z którymi się spotkałem.

– Ci ludzie są nietypowi. Mają dość pieniędzy, żeby zagłuszyć dużą część swojego bólu. Muszą myśleć o rodzinie, która będzie trwała dłużej niż którykolwiek pojedynczy jej członek; muszą się martwić o dziedzictwo. Może być nawet tak, że Groupmann i Hadley tak się skoncentrowali na powiększaniu bogactwa swoich rodzin, że nigdy nie zbliżyli się do swoich żon lub dzieci. Nietypowe reakcje mogą być efektem ubocznym takiego stanu rzeczy.

– Nie jestem pewien. Myślę, że jeżeli idzie o reakcję na śmierć, wszyscy ludzie są tacy sami. McCormick spojrzała na ciało Chase van Myer.

– W porządku. Ale musi być jakieś wytłumaczenie. O czym myślisz?

– Nie wiem. Ale żaden z tych mężczyzn nie był właściwie kochany. Groupmann był gejem ożenionym z heteroseksualną kobietą. Kiepsko wychodziła mu rola męża.

Hadley miał fioła na punkcie kontroli. Odwalił kawał dobrej roboty, jeśli chodzi o zniszczenie poczucia własnej wartości swojej żony i córek.

– Więc ktoś z każdej z tych rodzin mógł mieć motyw. Ale my mamy siedem pociętych ciał. Jeżeli podejrzewasz dwóch morderców, z których każdy wzoruje się na drugim, to jest to dość naciągane.

W umyśle Clevengera skryształizowała się pewna myśl.

– Może właśnie o to chodzi.

– Co?

– To naciąganie. A jeżeli prawidłowo ustaliłem motywy, ale morderca nie jest członkiem żadnej z rodzin? Ich motywy stają się jego motywami. – Przerwał, żeby pozbiierać myśli. – Ci faceci byli przeszkodami. Problemami. Dręczyli swoje rodziny.

– Więc nasz złoczyńca wyświadczył im przysługę i posprzątał w domu? Dlaczego? Co on z tego ma?

– To, o czym mówi w swojej notatce do prezydenta: jakaś chora wersja "wartości rodzinnych".

– Nie bardzo rozumiem.

– Powiedział: "Jeden kraj bądź jedna rodzina naraz. Nasza praca służy jednemu Bogu". Może on myśli, że ich wyzwala.

– Zabijając.

– To teraz w modzie – Stwierdził Clevenger. – Zwłaszcza w Białym Domu.

– Powiedziałeś to jak prawdziwy bostończyk.

– Uznam to za komplement.

Wśród reporterów i gapiów zrobił się poruszenie. Tłum się rozstał i Scout van Myer oraz jego żona Carolyn przeszli eskortowani przez czterech funkcjonariuszy w uniformach pod wodzą Johna Jamesona, szefa policji Chicago. Jameson, kawał chłopca, metr dziewięćdziesiąt, zatrzymał się kilkanaście metrów od ciała ofiary. Wydawał się przygotowywać rodziców na to, co mieli zaraz zobaczyć. Clevenger zauważył, jak Carolyn van Myer, chuda niczym anorektyczka kobieta pod pięćdziesiątkę, z krótko obciętymi brązowymi włosami, przytula twarz do piersi swojego męża. Musnął palcami dłoń McCormick, a ona uścisnęła jego rękę. Ruszyła w stronę van Myerów. Poszedł za nią. Jameson przedstawił ich van Myerom.

– Opisałem państwu stan, w jakim znaleźliśmy Chase – powiedział. – Mimo to chcą ją

zobaczyć.

– Rozumieją państwo, że nie ma potrzeby, żeby dokonywali państwo identyfikacji na miejscu zbrodni – wyjaśniła im McCormick. – Możecie zobaczyć ją...

– W kostnicy? – zapytała Carolyn van Myer.

Scout van Myer milczał, przystojny i dostojsny, w wykrochmalonej białej koszuli z długimi rękawami i prostych spodniach.

– Chcę ją zobaczyć teraz – zdecydowała Carolyn van Myer.

– Oczywiście – powiedziała Whitney. Spuściła wzrok.

McCormick, Clevenger i Jameson poszli za van Myerami, trzymając się kilka kroków z tyłu, kiedy ci podeszli do prowizorycznego namiotu rozpiętego nad ciałem Chase, po czym przesunęli się do miejsca, gdzie odciągnięto kawałek brezentu, żeby Clevenger i McCormick mogli zerknąć do środka.

Carolyn van Myer gwałtownie wciągnęła powietrze. Nie tyle usiadła, co zsunęła się na miejsce obok Chase. Potem wzięła martwą dłoń córki, pochyliła się i pocałowała ją w czoło.

– W porządku, Maleńka – powiedziała czystym, silnym głosem pozbawionym cienia smutku.

– Możesz teraz odpocząć. – Ściszyła głos. – Wszyscy możemy odpocząć.

Clevenger i McCormick wymienili spojrzenia. Scout van Myer uczynił znak krzyża, a potem uklęknął przed swoją żoną i córką.

– W końcu znalazła spokój, Carrie – rzekł. – Jest w rękach Boga.

Rozdział 19

Chcę przesłuchać jedno z nich albo obydwójce, póki tu jestem – powiedział Clevenger do McCormick, patrząc, jak van Myerowie odchodzą z Jamesonem. – Oni się zbyt dobrze trzymają.

– To, co mówili, zabrzmiało tak, jakby żegnali się z babką cioteczną po pięcioletniej walce z rakiem – stwierdziła Whitney. – Zadzwoń i umówię cię na spotkanie. Powinni być przez kilka godzin na posterunku, ale chyba lepiej będzie odwiedzić ich potem w domu. Będą bardziej otwarci.

– To daje nam trochę czasu – powiedział Clevenger. Chcesz iść na kawę i porozmawiać?

– Jasne. Gdzie?

– Obsługa hotelowa w Palmer House podaje najlepsze espresso w mieście.

– Nigdy się nie poddajesz – uśmiechnęła się.

– Nie jeżeli idzie o dobre pomysły.

– Nie jestem pewna, czy my razem jesteśmy takim dobrym pomysłem.

„Nie jestem pewna” to już był postęp.

– Może wykonasz ten telefon, kiedy będziemy jechali do Four Seasons?

– Nie ma mowy.

W jej głosie zadźwięczały nutki gniewu. Spróbował podejść ją inaczej.

– Wiem, że nie powinienem naciskać...

– Niech to będzie Ritz i umowa stoi – powiedziała. Wzięli taksówkę do hotelu. Clevenger wybrał apartament na dwudziestym drugim piętrze. Ale nie mogli czekać do momentu, aż się tam znajdą. Kiedy tylko drzwi windy się zamknęły, rzucili się sobie w objęcia. Całowali i gryźli wargi, szyje, uszy, sięgając do miejsc, do których nie sięgali od miesiący.

– Kocham cię – wyszeptał jej do ucha Clevenger.

– Ja ciebie też – odszepnęła.

– Mogę poświęcić wszystko, żebyśmy byli razem. Odepchnęła go delikatnie.

– Nie obiecuj czegoś, czego...

Pocałował ją namiętnie, a potem podniósł swój palec do jej warg. Złapała go za nadgarstek i wsunęła sobie jego palec do ust.

Drzwi otworzyły się. Idąc, popychając się i tańcząc, dotarli do apartamentu.

Kiedy się kochali, za każdym razem było to coś nowego, ale zarazem znajomego. Kombinacja ta upajała ich. Ona wiedziała, że powinna się opierać. On wiedział, że nie powinien zdobywać jej zbyt szybko. Byli ze sobą od dawna i dobrze się znali. A jeżeli do ich namiętności wkradała się nuta smutku, to tylko dlatego, iż oboje wiedzieli, choć nie mówili o tym, że nie dane

im było spotkać się w odpowiednim czasie. Potem leżeli obok siebie w miękkich, wytwornych bawełnianych szlafrokach, zostawiwszy na zewnątrz świadomość, że są najlepszą obroną społeczeństwa przed dokonującym rzezi mordercą, że Clevenger nadal jest najlepszą szansą Billy'ego Bishopa na wyjście z więzienia i pozostanie przy życiu i że McCormick potrzebuje od Clevengera tego, co mógł, a może czego nie mógł jej dać.

– Miło byłoby móc zatrzymać czas i po prostu zostać tutaj przez kilka dni – powiedziała Whitney.

– Kilka lat. – Musnęła dłonią jej policzek. Odsunęła się, przyjrzała się jego ręce, zmrużywszy oczy, a potem jej dotknęła.

– Ty drzysz.

– Nic dzisiaj nie jadłem – powiedział, myśląc o tym, że nie pił od około dziesięciu godzin. Spojrzała na niego.

– Masz objawy głodu alkoholowego?

– Nic mi nie jest.

– Jezu Chryste. – Wstała i zaczęła się ubierać.

– Posłuchaj, wszystko jest pod kontrolą. Kilka drinków dziennie od miesiąca, czasami tak, czasami nie. Kończę z tym od teraz.

– Daj mi spokój – warknęła, zapinając bluzkę.

– A może ty byś mi trochę odpuściła? Przyjechałem tu, kiedy zadzwoniłaś. Dotarłem do Kalifornii i do Hadleyów bez żadnego problemu. Nie pozwoliłem, żeby to ze mną wygrało.

– Miałaś czelność twierdzić, że mógłbyś wszystko poświęcić dla nas? – powiedziała, wkładając buty.

Wstał i podszedł do niej.

– Nie żartowałem. Odwróciła wzrok.

– Kiedy załatwię sprawy tutaj, wrócimy razem do Waszyngtonu. Możemy o tym porozmawiać przy późnym obiedzie. Steki i dietetyczna cola. Żadnej odpowiedzi.

– Od tego momentu nie będę tego więcej tykał. Kropka.

Spojrzała na niego.

– No dalej – powiedział. – Zarezerwuj nam lot. Minęło kilka cennych sekund.

– W porządku. Jeżeli tego chcesz. Ale jeszcze jeden drink i przestanę odbierać telefony od ciebie. Nie będę chodzić z tobą na obiady. Nie będę z tobą współpracować. To się nazywa „ostatnia szansa” w razie, gdybyś wcześniej o tym nie słyszał. Jesteś pewien, że chcesz wykorzystać ją teraz?

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Ja nie żartuję, Frank. Jeżeli potrzebujesz sześciu miesięcy, żeby pozbierać się do kupy, to je wykorzystaj.

– Teraz będzie dobrze – powiedział, patrząc jej w oczy.

– Zarezerwuję samolot. – Jej głos nie zdradzał żadnych emocji – Jest lot o siedemnastej czterdzieści pięć. To powinno nam dać wystarczająco dużo czasu, żeby załatwić sprawę tutaj.

Włożył dzinsy, kiedy ona zbierała swoje rzeczy. Już przy drzwiach odwróciła się na chwilę.

– Jeszcze jedna rzecz... na zupełnie inny temat. Chodzi mi o to, co powiedziałeś wcześniej, o tym, że morderca ma chore poglądy na „wartości rodzinne”.

– Tak?

– I że zabijanie "jest teraz w modzie" w waszyngtońskich sferach rządowych? Skinął głową.

– Zatrzymajmy to dla siebie. To polityczny dynamit. Ktoś mógłby wykorzystać to przeciwko administracji. Mamy powstrzymać mordercę, a nie zaszkodzić prezydentowi.

– Powiedziałaś to jak prawdziwy polityk.

– Uznam to za komplement.

Rozdział 20

Clevenger dłuższą chwilę stał przed posiadłością van Myerów na Astor Street, zachwycony jej pięknem. Budynek był majestatyczny: porośnięty bluszczem, z ceglana fasadą za wysokim, kutym żelaznym ogrodzeniem z kwadratowymi filarami z granitu rozmieszczonymi co sześć metrów. Ale prawdziwa magia zaczynała się przy wejściu, obramowanym górującą nad nim brązową rzeźbą przedstawiającą dwa prawie nagie drzewa, których gałęzie formowały łuk nad wyposażonymi w kamery bezpieczeństwa bramami. Dalej w głąb posiadłości wiodła ścieżka z wapienia inkrustowanego liśćmi z brązu leżącymi tak, jakby wiatr przed chwilą zdmuchnął je z drzew. Dróżka prowadziła ku schodom z ciętego granitu wiodącym do frontowych drzwi z brązu i fasetowego szkła, z wrytymi na nim kolejnymi liśćmi. Efektem miało być obrócenie klasycznej budowli z początku dwudziestego wieku w mistyczne dzieło sztuki. Clevenger miał właśnie nacisnąć guzik interkomu przy bramie, kiedy zadzwoniła jego komórka. North Anderson. Odebrał.

– Co jest?

– Mogę coś mieć.

– Dawaj.

– Drapacz chmur Jeffa Groupmanna to jak jedno wielkie powiązanie rozmaitych interesów.

Oprócz Sidney Stimson, ciotki dwunastoletniej ofiary z Montany, kolejnym inwestorem był Ron Hadley. Stracił pięć milionów dolarów, które zainwestował za pośrednictwem spółki komandytowej z Bruceem Grimesem.

– Tym Bruceem Grimesem? – zapytał Clevenger.

– Sekretarzem do spraw energii prezydenta Buckleya podczas jego pierwszej kadencji.

– Hadley był kongresmanem. To musi być to powiązanie z Grimesem.

– Skończyli też razem studia – powiedział Anderson. – Yale, rocznik sześćdziesiąty trzeci. I to nie wszystko. Stimson zachowała swoje panieńskie nazwisko. Jej ojciec był przewodniczącym rady nadzorczej banku inwestycyjnego Brown Brothers Harriman. On też był absolwentem Yale. I pełnił funkcję rektora przez siedem lat.

– A co z Groupmannem?

– Absolwent Yale, rocznik siedemdziesiąty pierwszy.

Clevenger spojrział wzdłuż Astor Street, z ustawionymi w rzędach posiadłościami z brunatnego piaskowca i cegieł.

– Trzy ofiary powiązane z tym samym uniwersytetem.

– Przynajmniej trzy – powiedział Anderson. – Jadę do New Haven, żeby przeprowadzić małe

dochodzenie w biurze absolwentów.

– Ja zaraz przesłucham van Myerów. Dowiem się, czy i tutaj jest jakieś powiązanie z Yale.

– Jak źle wyglądała sytuacja w Millennium Park?

– Zostawił ich dwudziestodwuletnią córkę przywiązaną do miejsca w pierwszym rzędzie Pritzker Pavilion. Kolejna lekcja anatomii. Tym razem oczy.

– Jezu.

– Daj znać, czego się dowiesz w Yale.

– Załatwione.

Rozłączyli się. Clevenger wyłączył swoją komórkę i nacisnął guzik interkomu.

– W czym mogę pomóc? – zapytał mężczyzna, który odebrał sygnał.

– Frank Clevenger. Do państwa van Myer.

Bramka się otworzyła i Clevenger podszedł do frontowych drzwi. Minutę później drzwi otworzył imponujący mężczyzna po pięćdziesiątce, w granatowym garniturze ze złotym krawatem. Miał niewiarygodnie życzliwe jasnobrazowe oczy, przerzedzone siwe włosy i doskonale opaloną skórę.

– Proszę, niech pan wejdzie – powiedział. Clevenger wstąpił do holu, który w istocie był atrium obramowanym przez imponujące czterokondygnacyjne przyścienne schody. Spoczywające na wspornikach pomosty umożliwiały dostęp do każdego piętra. Mógł sięgnąć wzrokiem do samego dachu domu, szklanej kopuły, na której wryto mnóstwo liści. Mężczyzna wyciągnął dłoń.

– Harold Burns – przedstawił się z szerokim uśmiechem ukazującym jego lśniące białe zęby.

– Jestem adwokatem van Myerów. Miło mi pana poznać.

– Frank Clevenger – powiedział, ściskając rękę Burnsa.

Zauważył nastoletniego chłopca i mniej więcej dwudziestoletnią kobietę, którzy wchodzili na pomost na drugim piętrze, niosąc dwa spore pudła.

– Tędy, doktorze. – Burns wskazał mu drogę. – Czekamy na pana w gabinecie Scouta.

Clevenger ruszył za nim szerokim wyłożonym klonową mozaiką korytarzem o półokrągłym sklepieniu i ścianach w kolorze głębokiej czerwieni. Oprawione czarno-białe fotografie przedstawiały van Myerów w towarzystwie sławnych osobistości, wśród których byli: były burmistrz Chicago Harold Washington, trener Chicago Cubs Dusty Baker, piosenkarz country Garth Brooks, były astronauta i senator z Ohio John Glenn oraz były senator z Illinois Paul Simon. Osobno wisiały trzy zdjęcia van Myerów na półoficjalnym spotkaniu z prezydentem Buckleyem i Pierwszą Damą.

– Nie wiedziałem, że pan van Myer jest przyjacielem prezydenta – powiedział Clevenger.

– Mogliby być lepszymi przyjaciółmi – stwierdził, uśmiechając się, Burns. – Podczas ostatnich wyborów Scout prowadził dla prezydenta Buckleya kampanię w Illinois. Jeśli pan

pamięta, przegrał o dziewięć punktów.

Scout i Carolyn van Myer siedzieli na kanapie po jednej stronie biura. Wstali, kiedy Burns i Clevenger weszli do środka.

– Wydaje mi się, że zostali sobie już państwo przedstawieni – powiedział Burns.

– W istocie – odparł Clevenger. Uścisnął dłonie van Myerów.

Burns zajął jeden z tapicerowanych foteli stojących przed kanapą i wskazał Clevengerowi drugi.

Clevenger usiadł. Rozejrzał się po pokoju, który musiał mieć z sześćdziesiąt metrów kwadratowych. Ścianę za jego plecami, za biurkiem Scouta van Myera, zajmowało okno wykuszowe z ławeczką, z którego rozciągał się widok na wypielegnowany trawnik i ogrody. Koło siedzenia był na stałe przymocowany duży teleskop wycelowany w niebo. W każdej z pozostałych trzech ścian były wbudowane wnęki z wpuszczonymi w nie pełnymi książek półkami, które sięgały od podłogi do sufitu. W jednej z nisz stały też sztalugi z niedokończonym płótnem, a w drugiej dwa głębokie fotele i wyszukany srebrny zestaw szachów. W trzeciej znajdował się mały teatr kukiełkowy, z aksamitnymi zasłonami i marionetkami zawieszonymi nad czarną drewnianą sceną na wysoki połysk.

– Interesujący wystrój – pochwalił Clevenger.

– Moje zainteresowania – powiedział Scout van Myer. – Został tak zaprojektowany, żeby przypominać mi o niektórych rzeczach, które uwielbiam robić.

– Malowanie, to z pewnością. Jest pan też lalkarzem?

– To o wiele łatwiejsze niż sterowanie ludźmi – stwierdził van Myer, uśmiechając się od ucha do ucha. – Szachy kochałem, będąc chłopcem, a potem, po śmierci matki, w ogóle o nich zapomniałem. Wróciłem do nich około roku temu. To samo było z astronomią.

Drobny dowcip van Myera o sterowaniu ludźmi oraz umiejętność mówienia o swoich dawnych rozrywkach, kiedy jego córka właśnie została zamordowana, należały do tych samych osobliwych przejawów żalu, jakie Clevenger zaobserwował u Groupmannów i Hadleyów.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu obecność pana Burnsa – powiedział van Myer.

Clevenger wiedział, że w rodzinach bogaczy był zwyczaj zapraszania adwokatów, aby byli świadkami wszelkich rozmów dotyczących prawa.

– Skądże – odparł. Zrobił przerwę. – Bardzo mi przykro z powodu państwa straty.

– Dziękuję.

Carolyn van Myer z powagą skinęła głową.

– W czym możemy panu pomóc? – zapytał van Myer. – Jeżeli dobrze rozumiem, będzie pan przygotowywał portret psychologiczny mordercy Chase?

Clevengera uderzyła łatwość, z jaką słowa „morderca Chase” spłynęły z języka van Myera. Większość rodziców, którym dopiero co zamordowano dziecko, ledwie może znieść myśl o tym,

a co dopiero rozmowę.

– Zgadza się – potwierdził. – A żeby to zrobić, muszę wiedzieć jak najwięcej na temat państwa córki.

– Daliśmy już policji listę mężczyzn, z którymi była związana, przynajmniej tych, o których wiedzieliśmy – wyjaśniła Carolyn van Myer.

– Niektórzy z nich byli handlarzami narkotyków – dodał jej mąż. – Kto wie, jakie inne jeszcze śmiecie można wśród nich znaleźć?

– Kartoteki kryminalne, cała menażeria – dorzucił Burns.

Clevenger zaproponował van Myerom, żeby opowiedzieli o swojej córce, a oni zaczęli od historii jej kontaktów seksualnych, a nie jej talentów, marzeń czy tego, jak bardzo ją kochali.

– Czy na tym polegał jej problem? – zapytał tak delikatnie, jak tylko potrafił. – Nie umiała się kontrolować?

– Delikatnie mówiąc, tak – odpowiedziała Carolyn van Myer. – A teraz... – Spojrzała w bok i potrząsnęła głową.

Van Myer położył dłoń na nodze swojej żony.

– Jak myślicie, dlaczego tak było? – zapytał Clevenger.

– Dlaczego co było? – wszedł mu w słowo van Myer.

– Dlaczego zachowywała się w ten sposób?

– Narkotyki – powiedziała Carolyn van Myer, patrząc z powrotem na Clevengera.

– Ale nie chodziło tylko o to – dodał van Myer. – Chase cierpiała na graniczne zaburzenia osobowości. Powiedziano mi, że narkotyki i... brak rozwagi są w tym wypadku typowe.

Clevenger skinął głową.

– Graniczne zaburzenie osobowości to rozpoznanie, nazwa – wyjaśnił. – Wiele osób z tą chorobą używa nielegalnych narkotyków. Gubi się w burzliwych związkach. Ale robią jedno i drugie, żeby uciec od ataków depresji i strachu. – Pochylił się do przodu. – Chodzi mi o to, czy któreś z państwa wie, dlaczego wasza córka miałaby mieć kłopoty z kontrolowaniem swoich emocji.

– Inne nasze dzieci nie miały problemów – powiedziała Carolyn van Myer. – Dopóki nie zobaczyły, co wyprawia Chase.

O ile nietypowa była reakcja ojca Chase, który spokojnie mówił o mordercy swojej córki, o tyle fakt, że jej matka obwinia ją o to, co złego działo się w rodzinie, był jeszcze bardziej zdumiewający. Rodzice ofiar mordu zazwyczaj je idealizują, mówiąc, że były „aniołem” lub „zbyt dobre dla tego świata”

– Myślę, że trochę odbiegliśmy od głównego tematu – Burns zwrócił się do Clevengera. – Czy pomogłoby panu, gdyby państwo van Myerowie udostępnili panu listę mężczyzn, z którymi miała kontakt Chase? Być może stwierdzi pan, czy którykolwiek z nich pasuje do profilu

seryjnego mordercy.

Burns starał się oddalić dyskusję od samych van Myerów. Nie oznaczało to, że byli winni czegokolwiek, ale widać było, że Burns czuje, iż powinien ich chronić. Clevenger nacisnął trochę mocniej.

– Lista będzie ważna – stwierdził. – Ale staram się ustalić coś innego. – Spojrzał na van Myera. – Czy któreś z państwa ma jakieś podejrzenia, dlaczego Chase interesowali mężczyźni akurat tego typu albo dlaczego miała o sobie tak złe zdanie, że wytatuowała sobie obelgę na udzie?

– Z pewnością niczego o tym nie wiemy – odrzekł van Myer.

W jego oczach pojawiło się coś nowego i drapieżnego. – Jak rozumiem, jest pan freudystą.

Clevenger nie ograniczał się do żadnej konkretnej szkoły myślenia w psychiatrii. Ale nie o to chodziło. Van Myer przywoływał Freuda, aby zdyskredytować Clevengera, zasugerować, że jest zagubiony w psychologicznych teoriach z przeszłości i nie potrafi dostrzec prawdy danej chwili.

– Myślę, że korzenie cierpienia takiego, jak waszej córki, sięgają bardzo głęboko – wyjaśnił Frank. – Wierzę, że żeby zawrócić ją z tej ścieżki, ktoś musiałby cofnąć się bardzo daleko w przeszłość. Podejrzewam, że Freud powiedziałby to samo. – Spojrzał w oczy Scouta van Myera i zobaczył błysk winy i zakłopotania. Nie chciał całkowicie stracić z nim kontaktu. – Ale rozumiem, co pan ma na myśli. Nie ma sensu grzebać się teraz w starej historii. A więc proszę, opowiedzcie mi coś więcej o mężczyznach, z którymi Chase spędzała czas.

Van Myerowie wymienili listę typów spod ciemnej gwiazdy. Clevenger robił notatki i zadawał pytania. Od czasu do czasu zerkał na ścianę, pokrytą oprawionymi fotografiami, listami, tytułami i nagrodami. Znalezienie tego, czego szukał, zajęło mu mniej więcej piętnaście minut. Niemalże zagubione wśród reszty było małe czarno-białe zdjęcie Harkness Tower, najbardziej rozpoznawalnego budynku uniwersytetu Yale, gotycka wieża z miedzianymi tarczami zegarów na każdej ze stron. Wieża ta widniała na nagłówku „Yale Herald”. Znajdował się tu słynny carillon z czterdziestu czterech dzwonów, na którym codziennie grali członkowie klubu uniwersyteckiego założonego specjalnie w tym celu. Kiedy van Myerowie skończyli wyliczanie listy kochanków Chase, Burns zaczął zmierzać do zakończenia spotkania.

– Doktorze, czy teraz, na gorąco, nasuwają się panu jakieś pytania, czy chciałby pan wrócić do sprawy innym razem?

– Będę potrzebował trochę czasu – odrzekł Clevenger. – Myślę, że na początek mam wystarczającą ilość informacji.

Scout van Myer skinął głową.

Burns wstał. Clevenger także wstał, uścisnął ręce Burnsa i van Myerów. Skinął głową w kierunku fotografii wieży.

– Przy okazji, czy to Harkness?

– Cóż... tak – odpowiedział van Myer.

– Był pan studentem Yale?

– Nie, był nim mój ojciec.

– Kilka lat temu brałem tam udział w paru kursach na temat publicznej służby zdrowia – stwierdził Clevenger. – Interesujące miejsce.

– Bardzo aktywnie je wspieramy – powiedział van Myer. – Zajmowało wiele miejsca w życiu mojego ojca. Był kapitanem drużyny futbolu, należał do bractwa Czaszka i Kości.

Niektórych przyjaciół znał jeszcze z collegeu.

– Najbardziej lubił wieżę? – zainteresował się Clevenger.

– Pomagał zdobyć fundusze na jej renowację.

– Szlachetny cel. Słyszałem dzwony.

– Ojciec przekazał pieniądze na renowację kilku znaczących budynków – powiedział van Myer. – Głównie kościołów.

Pasjonował się architekturą. To nas łączyło.

– Domyśliłem się tego, patrząc na pański dom – rzekł Clevenger.

– Dziękuję, że pan tak mówi.

– Proszę zadzwonić do nas, jeżeli będzie pan czegokolwiek potrzebował – powiedziała Carolyn van Myer.

Oprócz sytuacji, kiedy będę potrzebował informacji na temat dzieciństwa Chase albo próbował zrozumieć jej życie emocjonalne, powiedział w duchu Clevenger.

– Tak zrobię – obiecał.

Burns odprowadził Clevengera do holu. W pobliżu frontowych drzwi stały trzy pudła wypełnione pluszowymi zwierzętami, nagrodami i czymś, co wyglądało na projekty rzeźb.

Clevenger usłyszał kroki na schodach i spojrzał w górę. Młody chłopak, którego widział wcześniej, wynosił kolejne pudło z pokoju na drugim piętrze. Umieścił je na korytarzu.

– Ktoś się przeprowadza? – zapytał Clevenger.

– Tristan i Gabriela starają się pomóc mamie i tacie przebrnąć przez to wszystko – powiedział Burns.

– Brat i siostra Chase?

– Zgadza się.

– W jaki sposób pomagają?

– Pakują rzeczy Chase – odrzekł z pewnym przymusem Burns, który najwyraźniej nie mógł wymówić tych słów z taką oczywistością, z jaką prawdopodobnie chciał.

– Pakują – powtórzył osłupiały Clevenger. – Pewnie nie ma sensu przechowywać złych wspomnień. – Sięgnął do jednego z pudeł, wyciągnął z niego obraz namalowany przez Chase przedstawiający dziewczynkę przybitą do krzyża i wpatrywał się w niego przez kilka sekund.

Powiedział mu on więcej na jej temat, niż zrobili to jej rodzice. Delikatnie odłożył malowidło z powrotem do pudła. – Tam była jej sypialnia? – zapytał Burnsa.

– Tak.

– Mogę rzucić okiem? Adwokat zawahał się.

– To nie potrwa dłużej niż minutę – obiecał Clevenger.

– Sądzę...

– Niech mi pan da znać, kiedy zacznę nadużywać gościnności – poprosił Clevenger, mijając go i ruszając schodami na górę.

Burns ruszył za nim.

Kiedy Clevenger wszedł do sypialni Chase, pomieszczenia, które bardziej pasowało do mężczyzny, ze ścianami pokrytymi jodłową boazerią i jodłowymi belkami pod sufitem, brat Chase napelniał kolejne pudełko jej zabawkami i przedmiotami osobistymi.

Clevenger przedstawił się chłopcu. Był to żyłasty dzieciak w wieku około piętnastu lat, z włosami ostrzyżonymi na jeża. W każdym jego uchu tkwiły srebrne kółka. Przypominał Clevengerowi Billy'ego.

– Dość nietypowy pokój jak na dziewczynę – powiedział.

– Należał do niej, potem się z niego wyprowadziła, a potem wróciła – wyjaśnił Tristan. – Po prostu nigdy nie odtworzyli go takim, jaki był.

– Kiedy dom odnawiano, Chase wyprowadziła się do własnego mieszkania – powiedział Burnsa. – W jej sypialni urządzono pokój bilardowy. Ale mieszkając oddzielnie, nie mogła sobie poradzić. Chciała wrócić do swego starego pokoju.

Miejsce zbrodni, pomyślał Clevenger.

– Ludzie przywiązują się do miejsc – powiedział. – Dokąd pójda te pudła? – zapytał Tristana.

– To sprawa taty. – Chłopak wzruszył ramionami. Brat, który nie wiedział i zdawał się nie dbać o to, gdzie skończą dzieła sztuki jego zamordowanej siostry.

– Jestem pewien, że o nie zadba – powiedział Clevenger.

Tristan wzruszył ramionami, podniósł wykonaną przez Chase rzeźbę z gliny przedstawiającą kobietę z gwoździami zamiast zębów i wrzucił ją do pudła.

– Twojej siostrze Gabrieli znudziło się pomaganie? – zapytał Clevenger.

– Dużo zrobiła – odpowiedział Tristan. – Teraz poszła posiedzieć ze znajomymi.

– Młodzi ludzie szukają wsparcia, gdzie tylko mogą – pospieszył z wyjaśnieniem Burnsa. – Nauczyły mnie tego moje własne dzieciaki – Jeżeli mają wystarczające szczęście, żeby w ogóle je znaleźć – powiedział Clevenger.

– Czy to już wszystko? – zapytał Burnsa. Clevenger skinął głową.

– Dziękuję, Tristanie.

– Spoko.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej siostry.

– Dzięki, chłopie. – Chłopak ściągnął pikowaną różową narzutę z łóżka siostry i rzucił ją w kierunku otwartego pudła.

Clevenger i Burns zeszli na dół.

– Dziękuję za pańską pomoc. – Clevenger podał Burnsowi rękę na pożegnanie.

Gdy adwokat wyciągnął swoją dłoń, Clevenger zauważył sygnet, na którym wygrawerowana była charakterystyczna pieczęć uniwersytetu Yale, na której znajdował się hebrajski tekst Urim v'Tumim i jego łaciński przekład Lux et Veritas. Najczęściej spotykanym tłumaczeniem tego zwrotu na język angielski było „Światło i Prawda”, ale wielu uczonych upierało się, że bardziej wierny przekład brzmiał „Światło i Perfekcja”. W Biblii słowa te pojawiają się na pektorałach arcykapłanów w świątyni.

– A więc pan też studiował w Yale – Clevenger wskazał na pierścień.

– Licencjat i studia prawnicze – powiedział Buras. – Nie mogli się mnie pozbyć.

– Często pan tam wraca?

– Kiedy tylko mogę. Tak naprawdę nigdy nie odszedłem.

Tym, kim jestem, zostałem właśnie tam.

Rozdział 21

Clevenger zatrzymał się w aptece na Michigan Avenue i wypisał sobie receptę na kilka listków Ativanu, który miał zwolnić tętno i opanować drżenie mięśni – dwa objawy zespołu abstynencyjnego. Jechał taksówką na lotnisko, żeby spotkać się z Whitney McCormick przed wylotem do Waszyngtonu o godzinie 17.45, kiedy przyszło mu w końcu do głowy, żeby sprawdzić swoje wiadomości. Włączył komórkę i zadzwonił na pocztę głosową.

Pierwsza wiadomość pochodziła od Tony'ego Trainiego, jednego z najlepszych adwokatów kryminalnych, z jakim Clevenger kiedykolwiek pracował. Słyszał, że Billy miał kłopoty, i oferował swoją pomoc.

Clevenger zastanawiał się, czy nie powinien skorzystać z jego oferty. Pozwolenie na to, żeby sprawę Billy'ego prowadził obrońca z urzędu, mogło udowodnić wiarę w jego niewinność, ale jeżeli miało kosztować Billy'ego kilka lat w więzieniu i zadawanie się z zatwardziałymi kryminalistami, mogło też stać się końcem marzeń Clevengera o jego przyszłości.

Druga wiadomość była zaproszeniem na obiad od Jana Urkevica, jednego z najlepszych psychiatrów w Bostonie. Urkevic wyglądał jak gwiazda rocka i tak żył, dopóki się nie ożenił i nie urodziło mu się pierwsze dziecko, rozkoszna mała dziewczynka o imieniu Ava. Clevenger lubił spędzać czas z nim, jego żoną Lisą i ich czwórką dzieci w ich posiadłości położonej kawałek na południe od miasta. Kiedy nadzieje Clevengera na normalne życie przygasały, mógł je czasami rozdmuchać, po prostu patrząc, jak Urkevic obdarza miłością swoją rodzinę i jak ona oddaje mu ją w zamian. Trzecia wiadomość była od Northa Andersona i sprawiła, że dwie poprzednie straciły na znaczeniu.

– Mam trochę wieści o Billym, które powinieneś poznać – powiedział. – Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz mógł. Clevenger rozłączył się z pocztą i zadzwonił do niego.

– Hej, kolego – zgłosił się Anderson.

– A więc, co tym razem u Billy'ego?

– Wszedł za kaucją.

– Co? Kaucja wynosiła dwadzieścia kawałków.

– Jego obrońca z urzędu złożył odpowiedni wniosek do sądu i zredukował ją do pięciu.

– On nie ma takich pieniędzy.

– Nie wpłacił ich sam. Dave Leone zadzwonił do naszego biura z więzienia Middleton, żeby nas uprzedzić. Pieniądze wyłożyła grupa członków tego gangu, z którymi Billy się zadawał. Royalsi. Nie było możliwości, żeby więzienie odrzuciło ich propozycje.

Serce Clevengera zamarło.

– Masz pomysł, gdzie on jest?

– Jeszcze nie. Jestem w New Haven. Za dziesięć minut spotykam się z dziekanem biura absolwentów. Dałem znać naszym znajomym z policji w Chelsea, żeby go poszukali.

– Dzięki. – Miał właśnie powiedzieć, że już rusza do domu, ale przypomniał sobie, że Whitney prawdopodobnie czekała na niego na lotnisku. Oto nadszedł moment, w którym musiał zacząć ratować swoje własne życie, a nie tylko Billyego. – Będę miał włączony telefon – dodał. – Zadzwoń do mnie, jak będziesz cokolwiek wiedział.

– Wiesz, że tak zrobię. Coś jeszcze?

Clevenger ledwie mógł się skoncentrować na tym, co musiał powiedzieć o sprawie Andersonowi.

– Jedna rzecz, zanim skończymy – powiedział. – Ojciec Scouta van Myera był absolwentem Yale i znaczną darczyńcą. Powiem ci więcej później. Ale na pewno mamy już cztery ofiary z powiązaniem – Czyli podróż się opłaciła – stwierdził Anderson. – Nie mogę się doczekać, żeby usłyszeć resztę.

– Usłyszysz.

– Trzymaj się, stary.

– Ty też. Rozłączyli się.

Taksówka zostawiła Clevengera przed terminalem American Airlines. Spotkał Whitney przed bramką.

– Myślałam, że mnie wystawisz – powiedziała. – Właśnie mamy wsiadać na pokład.

Pocałował ją w policzek.

– Nie ma mowy. – Usłyszał, jak sztucznie zabrzmiały te słowa. Spojrzał w kierunku kolejki pasażerów formującej się przed wejściem do rękawa prowadzącego do samolotu.

Znała go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że stało się coś złego.

– O co chodzi?

– O nic – odpowiedział, ledwie nią patrząc. – Chodź, idziemy.

Nie poruszyła się.

– Powiedz mi.

– To nic takiego.

– Frank.

– Znowu Billy. – Wzruszył ramionami. – To ci niespodzianka, prawda? O ile wiem, wszystko z nim w porządku. Ale on...

Wpłacił kaucję. I wyszedł.

Kolejka pasażerów zaczęła posuwać się do przodu.

– Powiedziałeś, że kaucję wyznaczono na dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Jego obrońca z urzędu zredukował ją do pięciu. Potem wpłacili ją jacyś członkowie tego

gangu z Chelsea, Royalsów.

– Oni za niego zapłacili? Dokąd poszedł?

– North poprosił gliniarzy z Chelsea, żeby go poszukali. Jeżeli czegoś się dowie...

McCormick spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

– Nie możesz zostawić tego Northowi. Musisz wracać do domu.

– Da sobie radę przez jedną noc. – Spojrzał na nią i zobaczył, że nie uwierzyła w to ani odrobinę bardziej niż on.

– Jedź do domu. Zadzwoń do mnie i daj znać, jeżeli go znajdziesz. – Pocałowała go w policzek.

Clevenger stał ze ściśniętym gardłem. Wiedział, że ona ma rację. Wiedział, że myślami byłby w Chelsea, z Billym, nawet jeżeli poleciałby z nią do stolicy. Ale nie chciał, żeby tak było. Chciał zacząć spędzać z nią czas, na który zasługiwała.

– Nie jestem zła – powiedziała, widząc, że walczy ze sobą. W jej tonie nie było złości, co w jakiś sposób sprawiło, że poczuł się jeszcze gorzej.

– Ja jestem – rzekł.

– Zadzwoń do mnie jutro. – Raz jeszcze pocałowała go w policzek. – Muszę iść. – Ruszyła w kierunku rękawa.

Czekał, żeby zobaczyć, czy odwróci się do niego, kiedy już poda swój bilet. Nie zrobiła tego.

Rozdział 22

West Crosse czekał w swojej posiadłości w Thunder Bay w Ontario na rozpoczęcie wieczornych wiadomości. Zadzwoił do Heather Rawlings i powiedział jej, że chciałby się z nią tu spotkać następnego dnia, żeby pokazać jej pierwszą makietę domu Rawlingsów w Montanie. Poprosił ją o utrzymanie podróży w tajemnicy, tak żeby mógł zaskoczyć jej męża, dowiadując się więcej o jego życiu i wkomponować tę wiedzę w ostateczny plan. Wierzył, że dochowa tajemnicy, ale pewnie nie miało znaczenia nawet, gdyby tego nie zrobiła. Crosse był zawsze ostrożny, robił wszystko żeby uniknąć podejrzeń. Postępował cierpliwie, narzucał sobie odpowiednie tempo, czasami czekał wiele lat po zbudowaniu budynku, żeby dokończyć ostateczny projekt rodziny, która miała w nim zamieszkać. Okrywał swoją pracę tajemnicą, obsługując tylko swoich braci z Czaszki i Kości i ich dalsze rodziny. Niemniej jednak każdy z mężczyzn i każda z kobiet, których wyzwolił, mogli uznać go za podejrzanego o śmierć ich „miłości”. Żadne tego nie uczyniło. Nieświadomie zawierali z nim układ. Wyrażał ich najskrytsze pragnienia. Gdyby pomyśleli o nim jako o mordercy, to tak, jakby pomyśleli to samo o sobie.

Czyż większość ludzi ostatecznie tak nie żyje, płacąc komuś innemu za wykonywanie najtrudniejszych zadań w życiu? Ludzie, którzy jedzą mięso, ale nie polują. Ludzie, którzy chcą, żeby w razie porwania uratowały ich oddziały antyterrorystyczne, ale nigdy nie kupiliby broni, żeby obronić się samemu. Ludzie, którzy do swoich samochodów terenowych chcą mieć paliwo najwyższej jakości, ale uchylają się od ruszenia po nią na wojnę. Ludzie, którym droga jest myśl o bezpieczeństwie ojczyzny, ale nie byliby w stanie torturować terrorystów planujących, jak ją zniszczyć. Czyż nie była to lekcja Chrystusa? Czy nie zginął On sam na krzyżu za wykonywanie w pojedynkę woli bożej? Ken Rawlings może się dowiedzieć, że jego żona spotkała się z Western Crosseem w noc swojej śmierci, ale nie podzieli się tą informacją z policją, nawet gdyby musiał zapomnieć o tym, co wie. Będzie ochraniał swojego przyjaciela, a nawet bardziej się z nim zwiąże, tak samo jak z ukrytą w swoim sercu tajemnicą.

A jeżeli Rawlings okaże się Judaszem i porzuci wiarę w Crossea, i tak będzie za późno, żeby powstrzymać go przed wypełnieniem największego i najważniejszego planu. Crosse zadzwonił wcześniej do Białego Domu i umówił się za dwa dni, żeby rozpocząć pomiary do projektu wykonawczego wschodniego skrzydła i ponownie spotkać się z prezydentem i Pierwszą Damą.

Usłyszał muzykę ogłaszającą początek wieczornych wiadomości. Pojawiło się logo NBC. – Dziś w Chicago – rozpoczął głos prowadzącego wiadomości z panoramą Chicago w tle – doszło do szóstego makabrycznego morderstwa członka prominentnej rodziny amerykańskiej. Tym

razem ofiarą padła dwudziestodwuletnia kobieta... – Zdjęcie Chase van Myer. – Jej ciało porzucono w charakterystycznej budowli zaprojektowanej przez słynnego architekta Franka Gehry'ego. – Zdjęcie Jay Pritzker Pavilion.

Crosse poczuł falę obrzydzenia, patrząc na tę konstrukcję, wysoki na czterdzieści metrów nowotwór z nierdzewnej stali kalający ziemię, ze ścianami przypominającymi splątane wstążki – cały ten bałagan podtrzymywał odsłonięty szkielet stalowych rur. Jak wiele innych budynków dekonstrukcjonistów, ten wybudowany przez Gehry'ego oparty był na wykrzywionych osiach, chaotycznych formach, wygiętych fasadach oraz płynących, stapiających się przestrzeniach, które pozornie nie miały granic. Rak. Nie dziwota, że prace Gehry'ego stały się symbolami fragmentacji współczesnego życia, społecznym porządkiem bez ograniczeń. Anarchia. W architekturze Gehry'ego chodziło przede wszystkim o architekta. O miłość do samego siebie. O pustą radość radykała uwielbiającego zaprzeczać tradycji.

Crosse uwielbiał konstruować, a nie burzyć. Jego praca służyła potrzebom klienta, a nie jego własnym. Wiedział, że wyzwolenie rodzin, dla których pracował, by mogły żyć pełnią życia, nie miało nic wspólnego z naginaniem ścian ich domów. Chodziło o znalezienie formy, która oddawała ich najgłębszą jaźń, a potem wcielenie jej w życie, niezależnie od kosztów. Oznaczało wyruszenie na wojnę o taką architekturę, która oddawałaby cudowny mariaż formy i funkcji, jaki można było zaobserwować w ludzkiej anatomii. W wolności chodziło o wyznaczenie właściwych granic, a nie o życie bez nich.

W telewizji pojawił się Scout van Myer na konferencji prasowej zwołanej przed wspaniałymi bramami jego domu, w otoczeniu żony Carolyn, syna Tristana, córki Gabrieli i kilku nieumundurowanych policjantów.

– Ktokolwiek zrobił to mojej córce, zostanie postawiony przed obliczem sprawiedliwości – powiedział pewnym głosem. – Zanim jednak się to stanie, chcę podziękować wszystkim za to, że są dziś z nami, i za to, że jutro będą nas wspierać modlitwą. Crosse się uśmiechnął. Van Myer wyglądał na silnego i pewnego siebie – pogodzonego ze sobą. I Crosse wątpił, że to był przypadek, iż wystąpił przed kamerami razem z żoną i dziećmi. Prezentował rodzinę van Myerów, na nowo stworzoną, wyzwoloną spod tyranii choroby ich córki. Crosse też czuł się pogodzony ze sobą. Kiedy postąpisz słusznie, nawet gdy jest to trudne, nawet jeżeli ceną jest ludzkie życie, możesz w nocy spać spokojnie jako szczęśliwy, choć zmęczony żołnierz Pana.

Przełączył na kanał ABC, potem CBS, a potem CNN; wszystkie koncentrowały się na sprawie Chase van Myer, na ręce Boga. Wyłączył telewizor.

Nie chciał umierać, ale czuł, że jego życie dobiega końca, i proszenie o więcej czasu, niż potrzebował na dokończenie swojego największego dzieła, byłoby proszeniem o zbyt wiele. Pomyślał o przemówieniu Martina Luthera Kinga zwiastującym jego śmierć. „Byłem na szczycie góry – powiedział. – Jak każdy, chcę długo żyć. Długość życia jest ważna. Ale teraz się tym nie

przejmuję. Po prostu chcę wykonać wolę bożą". Crosse również był na szczycie góry. Zobaczył prawdę bożą i nosił ją w swoim sercu. I był gotów umrzeć w jej służbie, Przeszedł do łazienki, wziął prostą brzytwę ze swojego zestawu przyborów do golenia i otworzył ją. Spojrzał na siebie w bistrze – powoli przesunął wzrokiem po szerokich ramionach, mięśniach klatki piersiowej wyrzeźbionych niczym zbroja, aż dotarł do płaskiego brzucha. Rozłożył ręce na boki i lekko rozstawił nogi, stając się idealną formą Leonarda da Vinci. Po chwili zaczął ciąć – najpierw od jednego ramienia do drugiego, a potem od szyi do krocza na kształt krzyża, płytko, ale jednocześnie na tyle głęboko, żeby zaczęła płynąć krew.

Rozdział 23

Clevenger włączył swój telefon o 23.10, gdy tylko jego samolot wylądował na lotnisku Logan. I od razu usłyszał dzwonek. Znowu North Anderson. Odebrał połączenie.

– Co jest?

– Gdzie jesteś? Usiłowałem się do ciebie dodzwonić.

– Właśnie wylądowałem na Logan.

– Nie wiedziałem, że wracasz.

– Nie podoba mi się myśl o tym, że Billy wyszedł za kaucją, a ja jestem poza miastem. Masz może jakieś wiadomości?

– Możesz się ze mną spotkać w starych zakładach Perkins Box & Paper, powiedzmy za dwadzieścia minut?

– Oczywiście. A co jest grane?

– Mam w komendzie w Chelsea kumpla o nazwisku John Rosario. Po ulicach rozeszły się wieści, że Royalsi obstawiają „walki ekstremalne” na ringu, który zbudowali w starej fabryce. Zaczynają się o jedenastej. Sal Ramirez i kilkunastu innych gliniarzy zamierza dziś o północy zrobić nalot na to miejsce. John mówi, że słyszał, iż Billy ma wziąć udział w tych walkach.

– Wspaniale. – Clevenger pokręcił głową.

– Pomyślał, że może zechcemy wyciągnąć stamtąd Billy'ego, zanim znów go przymkną.

– Na pewno – warknął Clevenger zbyt zdenerwowany, rozczarowany i strapiony, żeby powiedzieć coś więcej.

– Nie zabrzmiało to tak, jakby ci się podobał ten pomysł Clevenger ruszył w stronę wyjścia z samolotu.

– Może byłoby lepiej, gdyby go znów capnęli. Tym razem nie wyszedłby za kaucją. A jakby go skazali, moglibyśmy mu zrobić test na prochy, jako element zwolnienia warunkowego.

– Zrobimy, jak zechcesz – stwierdził Anderson. – Ale on ma już na karku kidnaping, napaść, prowadzenie po pijaku i stawianie oporu podczas aresztowania. Przyznaję, nawet obrońca z urzędu potrafi spuścić nieco powietrza z opon ciężarówki prokuratury okręgowej. Ale jeżeli Billy ponownie stawi opór przy aresztowaniu, a pamiętaj, że wypuszczono go za kaucją, to oskarżą go o udział w nielegalnych walkach, może nawet znajdą przy nim prochy... i będzie po zawodach.

Może dostać osiem do dziesięciu lat w więzieniu Walpole. Nie wspominając o fakcie, że on jest posiadaczem Złotych Rękawic. Ale ci faceci walczą na gołe pięści i nie ma żadnych zasad. On może kogoś zabić.

Clevenger odetchnął głęboko.

- Ale to moja rozgrywka, prawda?
- Nie zamierzam ci niczego sugerować.
- Dobra, spotkamy się za piętnaście minut.
- To do zobaczenia. Rozłączyli się.

Fifth Street była tą częścią Chelsea, która się nie poddała renowacji i odnowie. Nad ulicznymi brukami wznosiły się budynki o porzewiałych stalowych konstrukcjach, pomiędzy którymi leżały stopy metalowych rupieci. Domy mieszkalne z oknami zabitymi na stałe deskami tuliły się jak małże do popękanych chodników. Łatwiej było się tu natknąć na budkę telefoniczną niż na działającą lampę nad ulicą. Jedyne sklepy miały solidne żelazne kraty na oknach i drzwiach.

Podjechawszy do fabryki Perkins Box & Paper, Clevenger zobaczył, że podjazd jest pełen aut. Większość stanowiły podrasowane wozy z niskim zawieszeniem. Zwykle puste pobliskie ulice też pełne były samochodów zaparkowanych byle gdzie i byle jak.

Podjechał swoim czarnym pick-upem F-150 w puste miejsce pomiędzy budynkami dwa kwartały przed fabryką, wysiadł i ruszył do celu. Był prawie na miejscu, gdy z rykiem silnika zatrzymał się tuż przed nim granatowy porsche carrera Northa Andersona.

– Zawsze lubiłem dramatyczne wejścia – powiedział Anderson z szerokim uśmiechem, który sprawiał, że ludzie go lubili nawet, jeśli ich naciskał. – Wiesz, sprawiłeś mi frajdę. – Sięgnął w głąb wozu i rzucił Clevengerowi pistolet Glock kaliber 9 mm.

Clevenger złapał bron w locie. Anderson zatknął drugi pistolet za pas dżinsów i zakrył go szarym T-shirtem. Ruszyli razem w kierunku wejścia do piwnicy.

– Dzięki, że to robisz – odezwał się Clevenger.

– Podziękujesz mi, jak wynajmiemy stamtąd Billy'ego. A potem razem posiedzimy nad tym, co znalazłem na uniwersytecie Yale.

Przed frontową bramą fabryki wzniesionej z jasnożółtych pustaków stało dwóch napakowanych sterydami nastolatków. Z wnętrza sączyły się w noc dźwięki muzyki techno. Clevenger i Anderson podeszli do bramkarzy.

– Czego? – zapytał niższy, mniej więcej piętnastoletni Latynos, błyskając oczami spod kaptura rozpiętej sportowej bluzy.

– Ile? – odpowiedział pytaniem na pytanie Anderson. Tłum wewnątrz podniósł ryk, który na chwilę zagłuszył muzykę.

– Ktoś właśnie dostaje w dupę – stwierdził drugi szczeniak, starszy o kilka lat i mocniej zbudowany Murzyn. Zerknąwszy na Andersona, zatrzymał na chwilę wzrok na jego roleksie. – Pięćdziesiąt – powiedział. Spojrzawszy na Clevengera, dodał:

– Od łebka.

– Sto dolców za to, żeby zobaczyć, jak kilku szczeniaków tłucze się bez rękawic. – Anderson ponownie się uśmiechnął.

– Cholerna inflacja. – Podał czarnoskóremu chłopakowi banknot. – Bracie, chcemy zobaczyć trochę krwi.

– Macie to jak w banku.

Clevenger i Anderson weszli do środka. Wokół prowizorycznego ringu pośrodku pustej hali fabrycznej zebrało się ponad pięciuset ludzi. Wszelki hałas zagłuszał ryk muzyki z głośników. Powietrze gęste było od dymu, który pachniał jak mieszanka tytoniu i marychy.

Wspięli się na pomost ciągnący się wokół hali i zobaczyli coś, co wyglądało na koniec dość nierównej walki pomiędzy wysokim dwudziestokilkulatkiem z ciałem pokrytym bliznami i tatuażami i jeszcze wyższym, znacznie odeń cięższym nastolatkiem z ogoloną głową, który opierał się plecami o liny. Krwawił z nosa i rany nad lewym okiem. Niższy i starszy walił go na przemian lewymi i prawymi sierpowymi, ale nastolatek uparcie trzymał się na nogach. Clevenger rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem Billy'ego. Wokół siebie widział dorosłych, studentów, a nawet kilku smarkaczy, którzy mogli być uczniami co najwyżej siódmej, ósmej klasy. Większość stanowili Latynosi, Afroamerykanie lub Azjaci. Odchylając głowy, sączyli piwo z puszek albo popijali wódkę lub szkocką z niewielkich, dwustugramowych buteleczek.

Łysy dostał mocnego kopa w brzuch i zgiął się wpół. Zaraz potem kopniak z półobrotu odrzucił mu głowę do tyłu; w powietrze strzeliła struga krwi. Tłum dzikim rykiem skwitował uderzenie, po którym chłopak osunął się po linach w dół. Jeszcze dwa razy usiłował się podnieść, ale zdołał tylko powoli przetoczyć się na brzuch. Za trzecim razem uniósł się na jedno kolano, ale wytatuowany zaszedł go od tyłu i owinął mu szyję potężnie umięśnionymi ramionami. Łysy opadł na deski i kilkakrotnie słabo klepnął dłonią, poddając się.

Jego przeciwnik wspiął się na liny i wymierzył w powietrze kilka ciosów, co tłum skwitował rykiem entuzjazmu. Przyjaciele dryblasza pomogli mu zejść z ringu. Clevenger nadal nigdzie nie mógł dostrzec Billy'ego. Nagle pogasty reflektory, a zaczęły mrugać lampy stroboskopowe. Na ring wspięły się dwie nastolatki w stringach i zaczęły tańczyć w rytm rapu. W ciemnościach pomiędzy rozbłyskami świateł czerwono płonęły ogniki papierosów i niczym świetliki migały przekazywane w krąg skręty marihuany.

Anderson trącił Clevengera łokciem i wskazał mu róg sali, gdzie dwaj niedawno walczący ze sobą chłopcy znikali właśnie w drzwiach z napisem „Panowie”. Nad drzwiami wisiała prowizoryczna tabliczka z dykty, na której koślawymi literami napisano: SZATNIA TYLKO DLA ZAWODNIKÓW. Zaczęli się przepychać przez tłum, kierując się w tamtą stronę. Gdy byli kilka metrów od drzwi, muzyka nagle ucichła, a spiker ryknął w bezprzewodowy mikrofon:

– Powitajmy następnych dwóch gladiatorów! Tłum skwitował tę zapowiedź rykami i wiewatami.

– Przedstawiciel Klubu Boksu Brazylijskiego z Medford! – oznajmił spiker. – Manuel „Snake” Santiago!

Przystojnego, opalonego, mniej więcej dwudziestopięcioletniego młodego człowieka powitały fanfary. Zawodnik o ciele wyglądającym jak wykute ze stali wybiegł z szatni odziany w szorty. Na szyi miał gruby złoty łańcuch, z którego zwisał piętnastocentymetrowy krucyfik. Ruszył w stronę ringu, otoczony orszakiem ośmiu mężczyzn, którzy mieli tak poważne miny, jakby towarzyszyli pretendentowi do tytułu mistrza wszech wag w Las Vegas. Muzyka ponownie umilkła.

– I zawodnik z więzienia Middleton – ryknął ze śmiechem spiker – posiadacz Złotych Rękawic, nasz chłopak z Chelsea, Billyyyyy Bishooooop!

Ponownie zagrzmiały fanfary, a tłum oszalał. Od czasu zdobycia Złotych Rękawic Billy stał się w Chelsea lokalną legendą; ludzie zaczęli stawać na palcach i wyciągać szyje, żeby lepiej widzieć.

Gdy Billy wyszedł z szatni zlany potem, w czarnej bluzie z kapturem i workowatych, obciętych pod kolanami dżinsach, Clevenger był trzy metry od drzwi szatni. Billy'ego otaczała grupa kilkunastu Royalsów w charakterystycznych myckach i bluzach z emblematem czaszki w złotej koronie.

– Billy! – wrzasnął Clevenger.

Otoczający Clevengera ludzie pomyśleli, że to wezwanie do wiwatów i natychmiast zaczęli rytmicznie skandować:

– Bil-ly, Bil-ly!

Billy patrzył przed siebie i szedł prosto na ring. Nie usłyszałby Clevengera nawet, jeśli głosu ojca nie zagłuszałby fanfary. Przed walką zawsze pograżał się w transie i trudno było do niego dotrzeć. Sięgał w głąb swojej jaźni do jej części przepełnionych największym gniewem, jakby ładował naboje do pistoletu.

Anderson usiłował przedostać się do Billy'ego, żeby go zatrzymać, wszyscy jednak się cofali, dając przejście zawodnikowi, i nie zdołał przepchnąć się przez tłum. Clevenger spojrzął na zegarek. Dwudziesta trzecia czterdzieści siedem. Gliny zjawiają się za trzynaście minut. Billy wskoczył na ring i zademonstrował pracę nóg. Tłum odpowiedział jeszcze głośniejszym entuzjastycznym rykiem. Chłopak zdjął bluzę, ujawniając dredy i płonący krzyż wytatuowany na bicepsie. Jego tors wyglądał jak ilustracja z Anatomii Graya.

Przeciwnik Billy'ego zerknął nań kilka razy, a potem odwrócił wzrok.

Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt trzy. Sędzia, mniej więcej sześćdziesięcioletni Murzyn wyglądający tak, jakby miał za sobą wiele lat pracy na ringu, podniósł dłoń każdego z zawodników, przypominając im głośno obowiązujące zasady. Zajęło mu to całe dziesięć sekund. Potem się cofnął, dał znak komuś spoza ringu i zabrzmiał gong. Santiago zaatakował szybko; nisko pochylony rzucił się na Billy'ego, usiłując chwycić go w pól i odepchnąć do tyłu, może liczył na to, że przeciwnik się potknie albo że uda mu się rzucić go na liny. Billy jednak zręcznie

odskoczył i popatrzył, jak Latynos sam wpada na liny. Zanim zdążył się odwrócić, Billy już był przed nim; muzyka techno ryknęła głośniejsze i było po zawodach.

Natura obdarzyła Billy'ego rzadką kombinacją szybkości i siły, ale to, co zważyło się na Santiago, było czymś więcej niż tylko połączeniem jednego z drugim. Była to furia wymierzona z chirurgiczną precyzją, huragan lewych i prawych prostych, które poprzecinały oba łuki brwiowe Latynosa i jego prawy policzek, pokrywając mu twarz krwią. To, co stało się zaraz potem, dla wszystkich wyglądało jak początek policyjnego rajdu, który w istocie rozpoczął się trzydzieści sekund później.

Clevenger i Anderson, którzy zdążyli się dopchać do ringu, wdarli się nań i podbiegłszy z tyłu do Billy'ego, chwycili go za ręce i odciągnęli od Santiago. Ten jednak zdążył odzyskać siły i wykorzystał ten moment, żeby bykiem zaatakować Billy'ego i pozbawić go tchu. Odskoczył, żeby się zamachnąć do uderzenia, ale Anderson wepchnął go na liny i wcisnął mu między żebra lufę magnum .44. Santiago spojrział w dół i zobaczył błysk metalu.

– Jeżeli sądzisz, że straciłeś za mało krwi... – ryknął mu Anderson do ucha.

W tej samej chwili, kiedy na ring zaczęli się wdzierać pierwsi Royalsi, dał się słyszeć jęk policyjnych syren. I nagle tłum zaczął się rozstępować jak fale Morza Czerwonego, a do fabrycznej hali runęli policjanci w wyposażeniu bojowym. A muzyka grała na całego.

Billy wciąż jeszcze nie odzyskał oddechu i Clevenger trzymał go podwójnym nelsonie.

– Wszyscy na ziemię! – ryknął jeden z policjantów przez głośnik. – Ręce na kark!

Huknął jakiś strzał, potem jeszcze dwa i jeden z Royalsów, który wdarł się na ring, osunął się na liny z jednym pociskiem w ramieniu i drugim w karku. Jego rewolwer upadł na deski.

– Na ziemię! Już! Ręce na kark! – ryknął ponownie gliniarz z głośnikiem.

– Chodź ze mną albo posiedzisz w pierdlu do czasu, aż ja przejdę na emeryturę! – krzyknął Clevenger w ucho Billy'emu. Chwyciwszy syna za ramię, ściągnął go z ringu i powłókł ku drzwiom.

Zanim jednak do nich dotarli, jeden z gliniarzy dowodzących nalotem skinieniem dłoni wskazał ich innym i dwaj mundurowi przecięli im drogę.

– Szlag by trafił! – warknął Clevenger.

– Nieważne – stwierdził Billy. – Gówno mnie to obchodzi.

Clevenger spojrział na syna. Źrenice Billy'ego miały wielkość główek od szpilek. Był na haju. Może nawet heroinowym. Ale jeżeli widzieli się po raz ostatni przed kilkunastoletnią odsiadką Billy'ego, chciał mieć pewność, że powie to, co czuje, ponieważ być może syn jakąś częścią mózgu, która nie była przesycona gniewem, usłyszy go i zapamięta. Może.

– A mnie obchodzi – powiedział. – Niezależnie od tego, co się stanie.

Billy uciekł spojrzeniem w bok. Muzyka nagle ucichła. Gliniarze chwycili Billy'ego, wykręcili mu ręce do tyłu i skuli kajdankami. Ojcowskie serce Clevengera wywinęło kozła.

– Gdzie jest Rosario? – zapytał gliniarzy. – Chcę rozmawiać z Johnem Rosario.

– Patrzy pan na niego – odezwał się młodszy z funkcjonariuszy. – Nie musi pan ze mną rozmawiać, doktorze. Niech pan podziękuje Northowi za to, że kilka lat temu uratował mi dupę.

– Mrugnął znacząco. – Spotkajmy się za pięć minut w sklepie Demoulas'a. Ten Mike Tyson jest pańskim problemem, nie moim.

Clevenger spojrział na zastrzelonego szczeniaka. Sanitariusz zakrywał właśnie kocem jego twarz.

– Proszę mi zrobić uprzejmość – Frank zwrócił się do Rosaria. – Spotkajmy się w izbie przyjęć szpitala Grand Mass.

Jeżeli Billy odmówi poddania się kuracji na ich zamkniętym oddziale detoksykacji, zadzwonię po pana i poproszę, żeby go pan zamknął. Czy jest pan tyle winien Northowi?

– Znacznie więcej – odparł Rosario.

Rozdział 24

Billy został już przyjęty na oddział ratunkowy, gdy dotarł tam Clevenger. Chłopak nie życzył sobie żadnych odwiedzin i nie podpisał zezwolenia na udzielanie informacji o stanie jego zdrowia.

– On ma już dziewiętnaście lat. Nie powinnam nawet odpowiadać na pytanie, czy tu jest – powiedziała Clevengerowi doktor Monroe w dyżurce.

Clevenger nie znał doktor Monroe. Co ważniejsze, ona nie знаła Billy'ego.

– Nie proszę o pogwałcenie jego prawa do prywatności powiedział jej Clevenger. – Ale jeżeli on zamierza wrócić na ulicę, wpakuje się w poważne kłopoty. Wyszedł za kaucją z aresztu; ma na karku oskarżenie o napaść i pobicie oraz porwanie dziecka. I myślę, że truje się czymś poważniejszym niż gorzała, pewnie używa narkotyków. Sam na niego złożę doniesienie, jeżeli on dobrowolnie nie podda się leczeniu.

Doktor Monroe niedawno przekroczyła trzydziestkę i wciąż nie wiedziała, jak pogodzić medyczną praktykę z teorią, którą jej wpoili na studiach.

– Każdy prosi o to samo – powiedziała. – Nie powiem panu ani słowa.

– Wyrzucą mnie pani z izby przyjęć. Uśmiechnęła się.

– On już podpisał zgodę. Zamierza się poddać kuracji odwykowej, gdy tylko będzie to możliwe ze względów medycznych.

– Na oddziale zamkniętym?

Kiwnęła głową. – To dobra wiadomość – stwierdził Clevenger.

– Może się sam wypisać – powiedziała. – Musi tylko spotkać się z psychiatrą i podpisać oświadczenie, że sam podjął taką decyzję. – Lepsze to niż nic. – Powiedział, że nigdy przedtem nie był na detoksie. – Skłamał – oświadczył Clevenger. – Był już w North Shore Medical Center. Całą historię jego choroby zna doktor Paul Summergrad.

– Miejmy nadzieję, że za drugim razem się nie wycofa. Za drugim albo dwudziestym drugim, pomyślał Clevenger. To właśnie powiedział jego psychiatra Ted Pearson. Leczenie kogoś takiego jak Billy nie było pracą na trzy miesiące ani nawet na trzy lata. Mogło to potrwać i trzydzieści lat.

Clevenger widywał ludzi, którzy zmieniali swoje życie po trzydziestu kuracjach odwykowych lub pięciu nieudanych małżeństwach, po porzuceniu swoich dzieci lub kilkunastu wypadkach spowodowanych prowadzeniem wozu po pijaku, piętnastu próbach samobójczych, po okresie bezdomności i prostytutce, po spędzeniu dziesięciu lat w więzieniu lub innych oznakach wskazujących wszystkim, że ich życie było beznadziejnie bezwartościowe. Czasami niełatwo

było uwierzyć w to, że dusza ludzka może się oczyścić po tak wielu klęskach – ale tak bywało. Kiedy Clevenger miał dobry dzień, chętnie w to wierzył. Podczas złych dni było mu znacznie trudniej dać temu wiarę. Podczas najgorszych modlił się tylko, żeby okazało się to prawdą. Wierzył w to jednak głęboko i była to najważniejsza lekcja, jaką odebrał od życia. Bo gdy zrozumiesz, że nigdy nie należy się poddawać i skreślać drugiego człowieka, zaczynasz wierzyć, że sam też masz taką szansę.

– Miejmy nadzieję – powiedział do doktor Monroe.

– Powodzenia – odparła. – Myślę, że gdzieś pod tymi wszystkimi mięśniami kryje się w nim wrażliwy dzieciak.

– Myślę, że ma pani rację. Dzięki za to, że mi to pani powiedziała. – Już chciał odejść, ale znów odwrócił się ku lekarce.

– Jego oko – przypomniało mu się i w tym momencie zrobiło mu się słabo, kiedy zdał sobie sprawę z faktu, że wszedł na ring mimo urazu oka. – On przedwczoraj został uderzony w oko – wyjaśnił. – Byłoby dobrze, gdyby mógł przyjść jakiś okulista, żeby go obejrzeć...

– To nie problem – powiedziała doktor Monroe.

– Dziękuję raz jeszcze. – Odwrócił się i wyszedł do głównego holu.

Czekał już tam na niego Anderson. Clevenger opowiedział mu o wszystkim.

– To początek – stwierdził. – Przynajmniej gotów jest przyjąć pomoc.

– Więc wróćmy na chwilę do Yale.

– Czego się dowiedziałeś?

– Trafiliśmy w dziesiątkę – zaczął Anderson. – Oni wszyscy są w jakiś sposób połączeni z tym uniwersytetem.

Z sześciu ofiar dwie były absolwentami, dwie małżonkami absolwentów, a dwie kolejne najbliższymi krewnymi.

– Sześć na sześć. Może szukamy jakiegoś absolwenta lub pracownika naukowego tej uczelni?

– Jest coś jeszcze. Sprawdziłem w Internecie nazwiska ofiar.

Pojawiają się setki odnośników do stron dotyczących budownictwa, bankowości, inwestycji lub innych przedsięwzięć i mnóstwo artykułów związanych z Yale. Ale kiedy zestawisz te nazwiska wszystkie razem, pierwsze pięćdziesiąt odnośników dotyczy Czaszki i Kości.

Clevenger przypomniał sobie, że Scout van Myer wspominał, iż jego ojciec był członkiem tego stowarzyszenia.

– Wszyscy byli członkami?

– Członkami albo dziećmi czy krewnymi członków.

– To ma być chyba tajne bractwo.

– I jest – stwierdził Anderson. – Ale w 1985 roku facet nazwiskiem Anthony Sutton dostał w

ręce listę wszystkich członków stowarzyszenia, żyjących i nieżyjących. Dwa tomy.

Przypuszcza się, że przekazał mu ją jakiś rozczarowany czy niezadowolony członek Sutton stworzył całą teorię spiskową, której osią jest twierdzenie, że ci ludzie rządzą światem dla uciechy czy korzyści. Mają w łapach naftę, narkotyki, co tylko zechcesz. Mówi, że używają wojska jak prywatnej armii, żeby pchać świat w kierunku, jaki uznają za stosowny. Nie jestem za dobry w tych sprawach, ale ta lista brzmi jak Who is Who w amerykańskich kręgach władzy:

Rockefeller, Payne, Pillsbury, Luce, Harriman, Bundy. Masz tam prezydenta Tafta, sędziów Sądu Najwyższego, senatorów, kongresmanów i założycieli CIA.

– I prezydenta Buckleya – dodał Clevenger.

– I prezydenta Buckleya. A nasz morderca posłał mu notatkę.

– Więc może morderca też jest członkiem bractwa?

– Albo jego krewnym. Lub kimś, kto chciał zostać członkiem.

Jest jedna interesująca sprawa: gdy na tej liście poszukasz Davida Groupmanna, dowiesz się, że gdy do bractwa wybrano jego brata bliźniaka, Jeffreya, narobił wielkiego szumu, że jemu nie zaproponowano członkostwa. Pewnej nocy się urzynał i spróbował się włamać do Grobowca na High Street, gdzie odbywają się spotkania. Członkowie bractwa następnego dnia dopadli go i dostał wpierdol. Pisano o tym na pierwszej stronie „New Haven Register”. Nigdy nie złożył skargi na napastników.

– Oto ktoś, z kim powinienem jeszcze raz porozmawiać.

– Jeżeli opowiesz o naszej sprawie ludziom, którzy jak on nie lubią członków bractwa, wyładujesz w bardzo wielkiej sadzawce. Ludzie wierzący w teorię spiskową są wszędzie.

– To prawda. Ale wracam do wizji mordercy, który uważa się za kogoś podobnego do prezydenta – a nie różnego stwierdził Clevenger. – On używa przemocy, zabija, by zmienić tę czy inną rodzinę. Myśli, że prezydent używa jej, by zmieniać oblicze naszej planety w imię Boga. „Jeden kraj bądź jedna rodzina naraz. Nasza praca służy jednemu Bogu”. Tak napisał. Jeżeli naszym człowiekiem nie jest David Groupmann, założę się, że szukamy członka bractwa, a nie kogoś z zewnątrz.

– Więc jeżeli zajrzysz do listy, którą opublikował Sutton, i założysz, że nasz człowiek przekroczył czterdziestkę, to staw znacznie się zmniejszy. Co roku przybywa zaledwie piętnastu nowych członków. Cofając się o dwadzieścia lat, otrzymamy zaledwie trzystu ludzi.

– Powinniśmy sprawdzić, czy któryś z nich nie ma kryminalnej przeszłości.

– Posadzę do tego kilku prywatnych detektywów.

– Doskonale. Ale pomyślmy jeszcze chwilę. Może istnieje sposób, żeby jeszcze skrócić listę podejrzanych. Dlaczego on namierza właśnie te rodziny? Muszą mieć jeszcze jakie inny związek ze sobą, poza tym że wszyscy w jakiś sposób byli związani z bractwem.

– Może. Ale może to też być czysty przypadek. Może są to po prostu rodziny, które miały

jakieś wspólne interesy albo cokolwiek innego.

– Możliwe.

– Czy są jakieś oczywiste powiązania pomiędzy Groupmannami, Hadleyami i van Myerami?

– zapytał Anderson.

– Na razie mam tylko dość niezwykle reakcje na śmierć najbliższych. Ale muszę to jeszcze przemyśleć.

– Co dalej?

Clevenger spojrzął na zegarek. Pierwsza dwadzieścia.

– Sen – powiedział. – Trzeba się wyspać.

– Porozmawiamy rano.

– Masz to jak w banku.

– A tak między nami, co takiego zrobiłeś, że Rosario jest ci winien przysługę? – zapytał Clevenger.

– Rosario jest nałogowym graczem – uśmiechnął się Anderson. – Obstawia głównie wyścigi, ale też mecze futbolowe, baseballowe i co tylko zechcesz. Zaciągnął dług na czterdzieści dwa kawałki u Grossetta w Revere.

Sam Grossett był bookmacherem i to jeszcze wredniejszym niż większość innych.

– I co? – zapytał Clevenger.

– Zająłem się tym – odparł North.

– Zmusiłeś Grossetta, żeby zrezygnował z pieniędzy? Jak to zrobiłeś? Zapłaciłeś za niego, czy co?

– Nie. Pożyczyłem Rosariowi tysiąc dolarów i on postawił wszystko na to, że Red Sox wygrają mistrzostwa. Jankesi mieli trzy mecze do przodu. Stawki były siedemdziesiąt do jednego.

– Niezły numer – stwierdził z podziwem Clevenger. – Ale nie wiem, czy to go jednak wyleczy.

– Nazwij to działaniem zapobiegawczym – powiedział Anderson.

– To znaczy?

– Zapobiegło to połamaniu mu rąk i nóg przez Grossetta.

Clevenger parsknął śmiechem.

– Trafna diagnoza, doktorze Anderson.

W garażu Mass General odebrali swoje wozy i wyjechali na Storow Drive, zmierzając do Chelsea przez Tobin Bridge. Clevenger poczuł, że znów drży i trochę się poci. Zużył już wszystkie tabletki Ativanu. Przypomniawszy sobie, że ma w mieszkaniu wódkę, co sprawiło, że odprężył się na kilka sekund, ale potem zaczął drżeć jeszcze bardziej. Ponownie pomyślał o tym, co mu powiedział Ted Pearson. Sam okazał trochę odwagi.

Minąwszy zjazd do Chelsea, podjechał do czynnej przez całą dobę apteki Brooksa odległej o kwadrans jazdy przy Drodze nr 1.

Farmaceuta był czterdziestoletnim mężczyzną z kolczykiem w uchu i kilkudniowym zarostem na twarzy. Stojąc za ladą, sortował jakieś recepty.

– W czym mogę pomóc? – zapytał, nie podnosząc głowy.

– Jestem lekarzem – stwierdził Clevenger. – Jeżeli ma pan bloczek recept, zaraz jedną wypiszę.

– Czy pacjent przyjdzie po lek jeszcze dziś w nocy?

– To ja jestem tym pacjentem.

Farmaceuta podniósł wzrok, by spojrzeć na Clevengera.

– Muszę pana poprosić o licencję medyczną.

– Nie ma sprawy. – Clevenger wyjął portfel. Farmaceuta znów spojrzął na Franka.

– Nie mogę wydać żadnej substancji z listy narkotyków, jeżeli pan wypisuje receptę dla siebie. Przepraszam, ale takie jest prawo stanowe.

– Zamierzam sobie wypisać coś wręcz przeciwnego – stwierdził Clevenger.

To już zaskoczyło farmaceutę i spojrzął z uwagą na klienta.

– He?

– Potrzebny mi Esperal – stwierdził Clevenger. – Ma pan na składzie?

Esperal hamuje metabolizm alkoholu w organizmie, powodując powstawanie aldehydu octowego, trucizny, która u zdrowego człowieka jest szybko przekształcana w nieszkodliwe związki. Ale obecność Esperalu podnosi poziom aldehydu octowego niezwykle szybko, powodując gwałtowny spadek ciśnienia krwi, przyspieszenie tętna, nudności, wymioty i niekiedy nawet śmierć na skutek zaburzeń rytmu serca lub udaru.

– Owszem, mam – odparł farmaceuta. – Wie pan, oczywiście, jak to działa? Musi pan ostrzec wszystkich, żeby trzymali z daleka od pańskiego pożywienia wszelkie napoje alkoholowe, włączając w to desery. Nawet stosowanie płynu po golieniu może sprawić, że się pan rozchoruje. I oczywiście, jak pan strzeli sobie drinka, może pan umrzeć.

– No to lepiej nie będę sobie strzelał. I o to chodzi. Mogę być albo trzeźwy, albo martwy. To upraszcza sprawy. Wolę być trzeźwy – stwierdził Clevenger.

Farmaceuta uśmiechnął się i podał mu bloczek recept. Clevenger wypisał receptę na trzydzieści dwustupięćdziesięcimiligramowych tabletek. Czekaając na jego wydanie, wziął z półki dietetyczną colę. Wróciwszy do farmaceuty, odebrał lek i zapłacił.

– Tylko po jednej dziennie – ostrzegł go farmaceuta. – Życzę szczęścia.

– Będzie mi potrzebne. Dziękuję.

Wróciwszy do swojego wozu, usiadł za kierownicą. Otworzył colę i pojemniczek z lekiem, wytrząsnął jedną tabletkę na dłoń, a potem usiadł nieruchomo i zamyślił się głęboko. Jeśli

połknie tabletkę, nie będzie już miał ucieczki przed nawiedzającymi go uczuciami. Nie ucieknie tylnymi drzwiami przed problemami swojego życia. I ta prawda napędzała mu cholernego strachu. Ale może ten strach był dobry. Może lęk, depresja, niepokój i gniew były jedynymi zdrowymi reakcjami na świat, w którym ukochany syn mógł następnego dnia zginąć albo zabić kogoś innego, w którym planowanie życia z ukochaną kobietą zawsze kolidowało z innymi życiowymi planami. W tym świecie gigantyczna fala w jednej chwili mogła zabić 165 000 ludzi, a seryjnego mordercę inspirowały poczynania prezydenta Stanów Zjednoczonych. Może po to, aby nauczyć się żyć jak człowiek, trzeba poznać ból i może wcale nie trzeba kombinować, jak się od niego uwolnić. Do tego właśnie potrzebna jest odwaga. Clevenger siedział bez ruchu jeszcze kilka chwil. Potem wrzucił tabletkę do ust i popił ją dietetyczną colą.

Rozdział 25

14 sierpnia 2005 roku,
godz. 19.35

Clevenger zadzwonił do Whitney McCormick na komórkę. Chciał jej powiedzieć o tym, czego się dowiedział o Yale i bractwie, ale chciał się też upewnić, że poprzedniej nocy nie spisała go na straty, gdy zostawił ją samą, żeby odwiedzić Billy'ego w szpitalu.

– Co z Billym? – zapytała.

Zabrzmiało to bardziej jak pytanie doktora o pacjenta niż pytanie kobiety o syna swojego kochanka.

– Jest na detoksie – odparł Clevenger i zamknął temat.

– Wspaniale. Postąpiłeś słusznie.

– Posłuchaj, chciałbym... – Nie musisz niczego wyjaśniać. Nie możesz go porzucać, gdy ma kłopoty.

Clevenger chciałby powiedzieć, że kłopoty Billy'ego chwilowo się skończyły i że już nigdy nie zostawi jej samej na żadnym lotnisku. Ale nie wiedział, czy na pewno tak będzie.

– Może przyleciałbym do Waszyngtonu i zjedlibyśmy razem kolację?

– Niestety, mam umówione spotkania. – To może kiedy indziej?

– Wiesz co? Może zatrzymajmy się na tej myśli – odpowiedziała. – Z pewnością zjemy kolację, ale kiedy indziej.

– W porządku, – Coś jeszcze?

– Pojawił się nowy element w sprawie, jeżeli o to ci chodzi. Mówiąc to, miał nadzieję, że Whitney zechce jednak przedłużyć rozmowę o ich sprawach prywatnych.

– Zamieniam się w słuch.

Tyle na temat nadziei. Opowiedział jej o Yale, bractwie Czaszki i Kości i Davidzie Groupmannie.

– North sprawdza, czy któryś z tych czterdziestu z członków bractwa miał jakąś kryminalną przeszłość.

– My też weźmiemy tę listę i przepuścimy przez nasz system – odparła McCormick. – Uważam, że powinieneś odwiedzić Groupmanna jeszcze raz, choćby dzisiaj. Sprawdź, czy ma alibi na czas każdego z morderstw.

– Pomyślałem o tym samym. Sprawdzę loty. Prawdopodobnie będę tam mógł wpaść w porze obiadowej, a potem złapię lot powrotny.

– Zadzwońię do niego i sprawdzę, czy będzie miał dla ciebie czas.

– I zobacz, czy udałoby się sporządzić listy nowych członków bractwa, którzy mają ponad dwadzieścia i trzydzieści lat zaproponował Clevenger. – Lista Suttona jest niezbyt aktualna.

– Jeżeli ktoś może to zrobić, to tylko my. Wolałabym nie angażować w to prezydenta, ale jak trzeba będzie kogoś nacisnąć, to nie będę się wahać.

– W razie czego daj mi znać.

– Oczywiście.

– W porządku – odparł Clevenger. – Uważaj na siebie. – Przesunął kciuk, żeby nacisnąć guzik kończący połączenie.

– Frank?

– Tak?

– Nie chciałam cię urazić w sprawie tej kolacji i tak dalej.

Myślę, że powinniśmy przyznać, że być może nie jest to dla nas właściwy czas.

– Whitney...

– I chciałabym, żeby tak zostało, dobrze? W przeciwnym razie nie będę sobie mogła uporządkować życia, a naprawdę jest mi to potrzebne.

Sposób, w jaki powiedziała ostatnie zdanie, sprawił, że Clevengera na chwilę zatkało. –
Widujesz się z kimś?

– Niby tak, ale to jeszcze nie...

– Nie wiedziałem. Ja...

– To nic. To nie ma z nim nic wspólnego.

Sposób, w jaki powiedziała „z nim”, zabolął prawie tak samo, jakby nazwała go po imieniu.

– To... po prostu proszę, pomóż mi się z tym uporać, dobrze?

Zbyt wiele spraw zważyło się na mnie naraz. Nie mogę sobie pozwolić na popadanie w depresję.

Clevenger pomyślał, że mógłby jej zaproponować, by omówili wszystko w cztery oczy, był jednak świadom tego, że ona – nawet jeżeli da się namówić na spotkanie – może wybrać wieczór, gdy Billy na przykład zechce pobić któregoś z trzech innych pacjentów na detoksie albo się wypisać, albo diabli wiedzą, co jeszcze. Mógłby wszystko odkręcić, ale prawdopodobnie jej kosztem.

– Dobrze – powiedział.

– Dziękuję – odparła spokojnie. – Zadzwońię do ciebie, jak porozmawiam z Groupmannem.

– Zgoda. Wtedy porozmawiamy. – Rozłączył się.

Rozdział 26

Prywatny odrzutowiec Heather Rawlings wylądował na lotnisku w Thunder Bay o 13.55 wśród mgły i mżawki. West Crosse wysłał samochód, który przywiózł ją do jego posiadłości, zajmującej pięćdziesiąt akrów na urwisku nad Jeziorem Górnym.

Thunder Bay obfitowała we wszelkiego rodzaju bogactwa. Historia miasta sięgała 5000 lat przed naszą erą, kiedy z okolicznych wzgórz Indianie ery paleolitu zaczęli wydobywać miedź. Przez ponad tysiąc lat miejsce to było ośrodkiem ożywionego handlu drewnem, srebrem, futrami i kamieniami półszlachetnymi.

Widok na jezioro był wspaniały, choć jego wody należały do zdradliwych. Pod nimi spoczywały szczątki setek statków, stanowiące jedyne podwodne muzeum wraków na świecie znajdujące się na słodkich wodach.

Ale Crosse'a do osiedlenia się w Thunder Bay zachęciła tradycja uzdrawiania. W roku 1600 Czipewejowie, stawiając czoło śmiertelnym chorobom rozprzestrzenianym przez europejskich kupców, założyli tu Wielkie Stowarzyszenie Medyków, religijne bractwo szamanów praktykujących skomplikowane rytuały uzdrawiające, podczas których używano naparów leczniczych, stosowano upusty krwi i składano ofiary. Mistrz uzdrawiania, który przeszedł wszystkie cztery stopnie wtajemniczenia w bractwie, miał władzę nad życiem i śmiercią. Ich sukcesy, dla większości niezrozumiałe, dla wielu budzące wątpliwości, pozwoliły plemieniu Czipewejów nie tylko przetrwać, ale też stać się jednym z najpotężniejszych na kontynencie. Odważni szamani uczynili w imię swoich bogów to, co było konieczne, i uzyskali największe dobro dla największej liczby swoich braci. Była to lekcja głęboko zakorzeniona w kulturze Thunder Bay i w duszy Crosse'a. Gdy przyjechał tu po raz pierwszy, od razu poczuł, że znalazł dom.

Heather Rawlings nie była przygotowana na to, co ujrzała, gdy kierowca pokonał kręty, trójpasmowy podjazd wiodący do posiadłości Crossea. Główny budynek można było określić tylko jednym słowem: „zamek”, ale niepodobny do tych, jakie Heather widywała podczas wycieczek do Anglii, Francji czy Irlandii.

W fasadzie trzypiętrowej, zakończonej dwuspadowym dachem kamiennej budowli dominowały trzy kamienne wysokie na dwa piętra łuki. Budowlę wpasowano w skalne urwisko tak, że wydawała się zeń wyrastać jak integralna część. Brązowe odrzwia w każdym ze sklepionych przejść otwierały widok na stajnie, w których było kilkanaście rasowych koni. Wzdłuż budowli ciągnęła się lśniąca sadzawka, w której gładzi odbijały się trzy łuki, tworząc złudzenie dwu ósemek splecionych środkowymi częściami. Tylko Crosse i kilku fizyków,

genetyków i chemików, których niekiedy zapraszał na obiady, widziało ten na poły kamienny, na poły wodny wzór, który nasuwał na myśl podwójną helisę DNA, podstawowej cegiełki tworzącej ludzkie życie. I tylko być może sam Crosse widział w tym symbol dzieła swojego życia. Bo DNA nieustannie samo się przebudowuje, ewoluuje tak, żeby się bronić przed chorobami. Molekuła ma zdolność odcinania części swojego łańcucha aminokwasów, żeby pozbyć się niepotrzebnych elementów. Wie to, czego ludzkość musiała się jeszcze nauczyć – że całość niczego nie osiągnie, nie odrzucając toksycznej części. Na każdym końcu głównego budynku były dwie mniejsze budowle, jedna z kamienia wyglądająca jak kaplica ze świetlistymi witrażowymi oknami przedstawiającymi sceny dawnych bitew, druga była pomniejszoną repliką Partenonu, w którym Ateńczycy usiłowali zawrzeć swoje pojęcie doskonałości.

Crosse pozostał wierny oryginałowi w najdrobniejszych detalach. Sam pomagał w budowie, do której użyto tego samego przejrzystego, świetlistego marmuru z odległej o osiemnaście kilometrów od Aten góry Pentelikos. Odtworzył wymyślny fryz Ictinusa i Kallikratesa na fasadzie, pogrubiając kolumny pośrodku, żeby z odległości wydawały się proste, i obniżając stopnie pośrodku, żeby stworzyć złudzenie, że są na tej samej wysokości, co widziane z daleka pod ostrym kątem oba narożniki. Dopilnował, żeby rzeźbiarze odtworzyli metopy ozdabiające wschodni, zachodni, północny i południowy fronton budowli, z których każda przedstawiała walkę chaosu z ładem: mityczne bitwy pomiędzy Grekami i Trojanami. Lapitami i Centaurami, bogami i gigantami, i wreszcie Grekami a Amazonkami. Kierowca wysadził panią Rawlings na początku szerokiej na cztery i pół i długiej na siedem i pół metra szklanej kładki nad sadzawką, prowadzącej do równie szerokiego podejścia ku mahoniowym drzwiom frontowym o skrzydłach ozdobionych wizerunkiem podwójnej helisy. W minutę po tym, jak Heather zadzwoniła do drzwi, otworzył jej sam Crosse.

– Witam. Bardzo się cieszę, że zechciała pani przyjechać.

– To przekracza wszystko, co mogłam sobie wyobrazić – odpowiedziała.

Jej zachwyt wcale Crosse'a nie wzruszył. Stała przed nim kobieta, która nawet nie pomyślała o tym, żeby zostać matką i wykorzystać swoje ciało do wyznaczonego przez Boga celu.

– Dziękuję – odparł. – Chciałbym jak najszybciej pokazać pani to, co zrobiłem do tej pory.

Poszła za nim przez labirynt pomieszczeń – w każdym musiała się zatrzymać i podziwiać – podłogę z drewna kasztanowego intarsjowaną brązowymi wizerunkami naturalnej wielkości dzieci biegnących przez pokój, kominek wyciosany pracowicie z jednego masywnego kamiennego bloku, mahoniową bibliotekę z drzwiami z fasetowego szkła, w które wtopiono tysiące iskrzących się ametystów i grubego na stopę fryzu pod sufitem, w którym wyrzeźbiono setki rozmaitych koron, z których każda różniła się od pozostałych.

– Pan wszystko to stworzył? – zapytała wreszcie.

– Tak.

– Jak długo to trwało?

– Jeżeli uwzględnisz proces powstawania kamieni, to miliony lat.

Roześmiała się.

Odpowiedział skąpym uśmiechem.

– Jeśli pani myśli o ustawieniu ich tak, żeby całość odpowiadała moim gustom, to około siedmiu lat.

Weszła za nim do pomieszczeń wykutych głęboko w skale, a potem podziemnym przejściem do windy. Wystukał serię cyfr na panelu zamka.

– W imię Boga, dokąd my idziemy? – zapytała. „W imię Boga”.

– Do mojej pracowni – odpowiedział Crosse. – Do mojej katedry. Mogła ją pani widzieć z drogi. Na poziomie gruntu nie ma do niej wejścia. To jedyne drzwi, którymi można do niej dotrzeć.

Nie ma wejścia. Ani wyjścia.

Drzwi windy rozsunęły się. Ściany kabiny pokryte boazerią z drewna kasztanowego, sklepienie z witrażowego szkła, podłoga z wapienia.

– Proszę. Pani pierwsza. – Przepuścił ją w drzwiach. Heather wkroczyła do środka kabiny. Drzwi się zamknęły i winda opadła dwa piętra. Po chwili drzwi ponownie się rozsunęły, ukazując wnętrze pracowni Crosse'a.

Z wbudowanych w ściany głośników sączył się Mesjasz, a powietrze przepętniał zapach mirtu.

Crosse odczekał, aż pani Rawlings wejdzie do pomieszczenia, i dopiero wtedy wyszedł z windy.

– Te okna są takie piękne – zachwyciła się. – I ta muzyka...

Mesjasz... jaki piękny krzyż... – Podeszła do dwumetrowego drewnianego krzyża ustawionego na masywnym postumencie z brązu. Na poziomej belce wyryto cytaty Ralpha Waldo Emersona z Yale Book of American Verse. Drugą część cytatu wyrzeźbiono na belce pionowej.

Przekleństwem człowieka jest pragnienie bezpieczeństwa, Kiedy powinien oddać życie za prawdę.

– Sam go zrobiłem – stwierdził Crosse. – Drewno pochodzi z tybetańskiego klasztoru.

– Wspaniały – zachwyciła się Heather. – Chyba nigdy w życiu nie widziałam równie pięknego krzyża.

– Należy do pani. Odwróciła się ku niemu.

– Słucham?

– To mój dar dla pani.

– Nie mogę...

– To symbol naszej wspólnej pracy. Proszę. Zawahała się, a potem skinęła głową.

– Bardzo panu dziękuję. Będzie mi bardzo drogi. – Zauważyła na odległej ścianie rząd oprawionych w srebro fotografii i podeszła, żeby się im przyjrzeć. – Rodzina prezydenta – stwierdziła. – Wziął pan udział w konkursie na projekt aneksu do Białego Domu?

– Wygrałem ten konkurs. – Crosse podszedł do stołu operacyjnego przykrytego białym płótnem.

Odwróciła się ku niemu.

– Nie słyszałam pańskiego nazwiska pośród innych uczestników konkursu.

– Nie mogła pani. Posłałem pracę pod przybranym nazwiskiem.

– Dlaczego pan nalega, żeby zachować pańskie nazwisko w tajemnicy?

– Bo chcę mieć spokój przy pracy. – odpowiedział. – Żebym mógł tworzyć projekty takie, jakie zrobiłem dla was. – Skinieniem dłoni wskazał plany rezydencji Rawlingsów w Montanie rozłożone na białym płótnie. Obok nich stał drewniany model budynku. – Myślę, że natychmiast zrozumie pani moją wizję.

Podeszła do stołu i spojrzała na pierwszą stronę planów zewnętrznej elewacji domu, do którego Ken Rawlings miał wprowadzić swoją nową żonę, Maritzę. Na jej twarzy odbiło się zmieszanie. Spojrzała na Crosse'a, potem ponownie na plan, aż wreszcie przeniosła wzrok na model.

– Czerwony dach...

– Pierwsza reakcja jest najbardziej prawdziwa. Proszę mówić bez ogródek.

– No, nie wiem. To dość nieoczekiwane. Przypomina mi to... mauretańską budowlę. I ten wewnętrzny dziedziniec... mogę zajrzeć do środka?

– Oczywiście – odpowiedział Crosse i odwrócił stronę.

Heather skupiła się przede wszystkim na małżeńskiej sypialni.

Uwielbiam ławeczki w oknach wykuszowych – powiedziała.

– Wewnętrzne kraty na oknach... nie jestem pewna... Ja... Przebiegła wzrokiem całą stronę i zatrzymała się na trzech połączonych wewnętrznie pokojach z napisem „Pokój dziecienny”. Odchyliła się, spojrzała na Crosse'a i uśmiechnęła przekornie. – Pokój dziecienny? To musi być jakaś pomyłka. Chyba, że wie pan coś, o czym ja nie wiem...

– Z pewnością wiem. Wiem, że pani mąż chciałby mieć dzieci. I wiem, że będzie wspaniałym ojcem.

Spojrzała nań z ukosa.

– Przepraszam, pan wybaczy...

– Proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę. Przypuszczam, że chciałby mieć dzieci, i uwzględniłem to w moich planach.

– Może Ken byłby dobrym ojcem, ale to już przeszłość. My... – Potrząsnęła głową. – Mamy to już za sobą.

Crosse spojrział na swoje plany i szkice.

– Pani tak. To też wiem. – Ponownie spojrział na nią. – Ale proszę mi powiedzieć, czy on byłby dobrym ojcem?

– Sądzę, że tak. Ale cóż to za różnica? Z pewnością nie potrzebujemy pokoju dzieciennego. O tym akurat mogę pana zapewnić.

Crosse sięgnął po szklany pojemnik ustawiony obok szkiców. Wewnątrz pływała zanurzona w chloroformie biała chustka. Gospodarz zaczął odkręcać pokrywę pojemnika.

– Proszę się nie martwić – powiedział. – Zawsze usuwam to, co jest zbędne. – Przerwał. – Niech mi pani opowie coś o Maritzie.

Heather Rawlings osłupiała.

– O Maritzie? A niby dlaczego pan o nią pyta?

– Czy byłaby dobrą matką?

– A dlaczego miałabym się zastanawiać, jaką matką byłaby ona lub jakaś inna...

Crosse podniósł rękę.

– Ona lub jakaś inna kobieta mogłaby być matką. Pani nie może. Wiem i to. Sama pani miała kłopoty z własną matką.

– A któż, w imię Boga, panu o tym powiedział? Ken? – Na jej twarzy pojawiła się osobliwa mieszanka irytacji, wstydu i strachu. – Myślę, że to spotkanie...

„W imię Boga”.

– Ma pani rację, do niczego nie prowadzi – przerwał jej Crosse. – Przykro mi. To nie ma znaczenia. To już przeszłość, jak sama pani powiedziała. – Odkręcił pokrywę i wyjął białą chustę.

– No cóż... Powiedziano tu aż za wiele – obruszyła się. – Możemy po prostu...

– Owszem. Możemy zakończyć sprawę. Nie dano już pani więcej czasu. – Przeszedł za nią, jakby kierował się ku windzie.

Zaskoczona zaczęła się odwracać ku niemu, on jednak chwycił ją z tyłu i przyłożył mokrą chustkę do jej ust i nosa. Podobnie jak Chase van Myer, los okazał Heather litość i opierała się bardzo krótko. Dlaczego zresztą kobieta miałaby trzymać się życia, jeśli sama nie mogła znieść myśli o nowym życiu rodzącym się w jej łonie? Dlaczego miałaby każdym włóknem swej istoty opierać się grobowi, kiedy jej matka nie była matką, małżeństwo nie było małżeństwem i kiedy sama była uschniętym konarem, który nie pozwala rozkwitnąć nowej gałęzi na drzewie życia?

Odsłoniwszy stół operacyjny, Crosse położył na nim Heather, wstrzyknął jej sukcylinylocholinę, a potem uklęknął i zaczął się modlić, podczas gdy mięśniami jego ofiary targwały ostatnie chaotyczne drgawki. Potem rozsunął jej nogi i rozłożył ręce, składając hołd Leonardowi da Vinci. Przyniósł do stołu wózek z narzędziami chirurgicznymi. Umiejętności większości chirurgów nie pozwalają im na fachowe rozpreparowanie szyi. Tym razem jednak,

kiedy jego misja zbliżała się ku końcowi, Crosse chciał podjąć najtrudniejsze wyzwanie; zamierzał ujawnić pełnię boskiego geniuszu w dziele stworzenia człowieka. Przeciął skórę i wachlarzowo układający się mięsień szyi który łączy żuchwę z obojczykami, a potem użył rozwieracza, żeby rozsunąć włókna mięśnia.

Głębiej położona warstwa mięśni szyi była architektoniczną doskonałością złożoną z trzech trójkątów ograniczonych przez mięśnie: mostkowo-sutkowy, dwubrzuścowy i łopatkowo-gnykowy. Crosse odnalazł je, podwiązał i umocował srebrnymi ćwiekami, nie uszkadzając przy tym błękitnoczarnej żyły szyjnej zewnętrznej ani krwiście czerwonej tętnicy szyjnej i delikatnego jasnożółtego nerwu dodatkowego, który spływał strumykiem od podstawy mózgu do mięśnia czworobocznego. Tęcza anatomii.

Ale to był dopiero początek. Głębiej leżały pokłady geniuszu, przy którym budowa Partenonu wydawała się dziecięcą zabawą: nerwy, tętnice i żyły splecione razem, a potem rozdzielające się w idealne łuki, odżywiające i przewodzące impulsy do każdego pasma mięśni. Wspaniałe pierścienie włókniste tchawicy, nie tylko dostarczającej powietrze do płuc, ale podtrzymującej tarczycę, która do niej przylegała, i ochraniającej o wiele delikatniejszy, ukryty za nią przełyk. Crosse pracował niezamordowanie. Ślinianki przyuszne, ślinianka podjęzykowa i podszczękowa. Kość gnykowa. Tętnice podobojczykowe. Cud za cudem, a za nimi kolejne cuda.

Odpreparował wszystko aż do kręgów szyjnych. Nie miał pojęcia – i wcale go to nie interesowało – ile minęło czasu. Widział tylko, że przez witrażowe okna nie wpadają już promienie światła; jego zmęczone dłonie przepełniał ból po podróży w poszukiwaniu nieskończonej bożej mądrości – a jego serce przepełniły miłość i zachwyty.

Rozdział 27

Clevenger spotkał się z Davidem Groupmannem w domu Shauny i Jeffreya w Pacific Heights na ulicy Broadway 2910. W nocy miejsce to wywierało jeszcze większe wrażenie; nisko umieszczone zewnętrzne sodowe lampy barwiły szyby ciepłym złotym światłem i zmieniały idealnie utrzymany trawnik w magiczny dywan spływający w kierunku mostu Golden Gate – rzeki światła na tle nocnego nieba. Groupmann i Clevenger usiedli w głównym pokoju. Było to niewielkie, ale wysokie na dwa piętra pomieszczenie, w którym na wysokości mniej więcej trzech metrów wyrastały ze ścian krzyżujące się jodłowe belki, tworzące coś na kształt sieci lub labiryntu. Nad nimi umieszczono podświetloną z dołu bryłę szkła, która była ujęta w kolejne krzyżujące się belki, co stwarzało wrażenie, jakby wzór powtarzał się w nieskończoność.

– Pańska druga wizyta nie może oznaczać dobrych wieści odezwał się Groupmann. Postukiwał lekko palcami po poręczu swego skórzanego klubowego fotela.

– Może dzięki niej nie będę tu musiał przychodzić po raz trzeci – odparł Clevenger.

Usiadł i założył lewą nogę na prawą, dzięki czemu mógłby z łatwością sięgnąć po pistolet ukryty w kaburze nad kostką pod dzinsami. Whitney McCormick wysłała agenta, który przekazał mu broń na stacji Mobil w pobliżu lotniska San Francisco. Groupmann kiwnął głową:

– W czym mógłbym pomóc?

– Proszę mi opowiedzieć o bractwie Czaszki i Kości.

– A czemu to miałyby służyć?

– Wszystkie ofiary w tej sprawie są z nim powiązane. Albo same były jego członkami, albo były bliskimi krewnymi członków. Z tego, co zrozumiałem, ma pan pewne informacje, które mogłyby rzucić światło na sprawę.

– Wiem mniej, niż się pan spodziewa.

– Nie został pan przyjęty – stwierdził Clevenger.

– I z pewnością wie pan, że raczej ciężko to przeżyłem – rzekł David śmiertelnie poważnie.

– Czytałem artykuł w „New Haven Register”. Usiłował się pan włamać do Grobowca na High Street.

– Nie trzeba być sądowym psychiatrą, żeby pojąć, o co w tym wszystkim chodziło.

Clevenger nie odpowiedział.

– Gdy jest się bliźniakiem, czujesz, że wszystko, co spotyka twego brata, niezależnie czy jest dobre czy złe, przydarzyło się lub powinno się przydarzyć i tobie. Kiedy zaproponowali członkostwo Jeffreyowi, a mnie nie, założyłem, że powinien odrzucić ich propozycję.

– On jednak jej nie odrzucił.

– Nie. A ja nie chciałem zostać odtrącony. Nie chciałem, żeby miał przede mną sekrety. Chciałem być jednym z nich.

Dosłownie i w przenośni.

– Kazali panu za to zapłacić.

– Napadli mnie pewnej nocy i nieźle pobili. Miałem połamane żebra, złamaną rękę i wstrząśnienie mózgu. – Groupmann spuścił wzrok. – Odzyskałem zdrowie.

– Ale pańskiego brata tam nie było i nie bronił pana.

Groupmann przez chwilę patrzył w podłogę. Gdy wreszcie podniósł wzrok, na jego twarzy widniał nieco wymuszony uśmiech.

– Nie, nie było go tam i mnie nie bronił. Co w sumie obróciło się na dobre. Zrozumiałem, że mogę polegać wyłącznie na sobie.

Nie mówił jak człowiek, który się pogodził z bolesną nauczka i wyciągnął z niej wnioski. W jego głosie brzmiały gorycz i uraza. Clevenger doznał niejasnego przeczucia, że tamtej nocy przynależność do bractwa stała się przyczyną dramatycznego konfliktu pomiędzy Davidem i Jeffreyem. W końcu, czy członkowie stowarzyszenia nie stawali się sobie bliżsi niż rodzeni bracia i siostry?

– Nie wniósł pan oskarżenia – stwierdził. – Kto pana zaatakował? Rozpoznał pan któregoś z nich?

W świetle lamp ciemne oczy Groupmanna błysnęły czernią obsydianu.

– Naprawdę chce pan zapytać o coś innego.

– Czy pański brat był jednym z nich?

– Owszem – padła beznamiętna odpowiedź.

– Czy on...

– Złamał mi prawą rękę.

Clevenger poczuł, że ciężar tego wyznania zapada mu głęboko w duszę. Musiał odchrząknąć, żeby mówić dalej.

– Przykro mi – powiedział.

– Nie odbiegajmy od tematu – odezwał się Groupmann. – Musi się pan zastanawiać, jak ciężko to zniosłem.

Clevenger nie odpowiedział.

– Zastanawia się pan, czy nie wziąłem sobie tego do serca tak bardzo, że zacząłem zabijać członków bractwa włącznie z moim bratem. Może jestem taki jak oni. Zostanie członkiem bractwa jest dla nich wszystkim.

– A jest pan?

– Nie rozumiał pan. – Groupmann uśmiechnął się lekko.

– To proszę mi wyjaśnić.

– Nie zabija się swojej lepszej połowy.

– Jeffreya.

– Nigdy nie przestałem myśleć o nim, jak o części samego siebie i odwrotnie. Jego praca, żona, dzieci, każde z jego osiągnięć sprawiało, że nie czułem się aż takim nieudacznikiem, szczególnie w czasie, gdy nie mogłem sprzedać ani jednego obrazu, by mieć za co żyć. – Przerwał na chwilę. – Niechże mi pan uwierzy, kilkakrotnie myślałem o tym, żeby się zabić. Ale nigdy nie myślałem o tym, żeby zabić jego. Ani przez chwilę. Nawet wtedy, gdy mi złamał rękę. Gdy on żył, nadawał wartość mojemu życiu – Na dłuższą metę nie jestem pewien, czy dam radę żyć bez niego.

– Dlaczego nie? Ma pan teraz to, co należało do niego.

– Tak i nie – odpowiedział Groupmann.

– Ma pan Shaunę, dzieci i jego dom – stwierdził Clevenger.

– Ona kochała jego, jemu urodziła dzieci i to on zbudował ten dom. Płótno należało do mnie, ale to on wypełnił je malarską treścią. To duża różnica. Jeffrey na zawsze pozostanie moim starszym bratem.

Clevenger spojrział na płataninę belek nad głową, a potem ponownie przeniósł wzrok na Groupmanna.

– Gdzie pan był tej nocy, kiedy zabito Jeffreya?

– W mojej pracowni, na tej samej ulicy.

Nie było to za mocne alibi.

– Czy w ciągu ostatnich kilku lat podróżował pan po kraju? – Owszem. Przecież maluję pejzaże.

Clevenger spojrział na dłoń Groupmanna, na której – jak u prawnika van Myera – lśnił pierścień Yale.

– Proszę mi pozwolić coś wyjaśnić – odezwał się Groupmann, mrugając porozumiewawczo.

– Proszę znaleźć mój wypis z indeksu z czasu, gdy studiowałem medycynę na Yale.

– Medycynę?

– Zacząłem w osiemdziesiątym czwartym. Zrezygnowałem w połowie drugiego semestru.

– Dlaczego?

– Dwa razy zawałem egzamin z anatomii. Byłem beznadziejny. Z tego samego powodu miałem kłopoty z rzeźbą.

Nie mogłem tego opanować. Mam problemy z percepcją głębi, czy jak to tam zwać. W tym też byłem podobny do Jeffreya.

Rozdział 28

15 sierpnia 2005

Clevenger miał właśnie wejść na pokład samolotu do Bostonu, kiedy zadzwoniła do niego Whitney McCormick i poleciła, żeby zrezygnował z lotu.

– Co się stało?

– David Groupmann ma doskonałe alibi – odparła.

– Co? Coś wypłynęło? – dopytywał się, idąc ku bramce.

– Mamy kolejne ciało, w Michigan. Kobieta. Zgodnie z orzeczeniem koronera, została zabita przed kilkoma godzinami.

– Gdzie w Michigan?

– Ciało wypłynęło?

– Czy to byłoby w stylu naszego człowieka? Pływała nieopodal brzegu przybita do drewnianego krzyża i naga.

Miała srebrne gwoździe wbite w dłonie i stopy, wszystko jak trzeba. A on zostawił nam wiadomość.

– Co takiego?

– Na krzyżu wyryto stary cytat z Emersona: „Przekleństwem człowieka jest pragnienie bezpieczeństwa, kiedy powinien oddać życie za prawdę”. Zgadnij, gdzie po raz pierwszy to opublikowano?

– W „National Enquirer”? Byłbym kiepskim zawodnikiem w Milionerach.

– Ale trafiłeś dość blisko. To było w Yale Book of American Verse.

A gdzieżby indziej...

– Kto ją znalazł?

– Młodzi ludzie spacerujący nad jeziorem.

– Oczywiście żadnych dokumentów.

– Mylisz się. On wciąż chce nam ułatwiać tę część roboty. Do krzyża przybito jej prawo jazdy. Heather Rawlings z Miami.

Jej mąż zarządza kopalnią diamentów. Prawdopodobnie nawet nie wiedział, że wyjechała poza granice stanu.

– Kolejna lekcja anatomii?

– Odślonięta szyja, od przodu aż do kręgosłupa. Clevenger zwiesił głowę.

– Jesteś teraz w Michigan? Chcesz, żebym przyjechał?

– Ze wszystkim tutaj już się uporałam. Liczyłam na to, że może zechcesz pojechać do Miami i odwiedzić jej męża.

– Oczywiście.

– To dobrze. Masz szczęście. Za czterdzieści minut startuje spóźniony samolot. Już ci zarezerwowałam miejsce.

– Na wypadek, gdybym zechciał polecieć. Zaśmiała się.

– Jasne.

Ostatecznie Clevenger wsiadł do samolotu o 13.37. Lot był spóźniony o cztery godziny i siedem minut, towarzystwo lotnicze postanowiło więc poprawić humory pasażerom, proponując gratis piwo, wino albo drinki. Clevenger patrzył, jak wózek powoli toczy się wzdłuż przejścia. Zatrzymywał się i ruszał. Mniej więcej przed dwudziestoma czterema godzinami zażył tabletkę, której efekty powinny się utrzymywać przez trzy dni. Nie spodobało mu się to, że się zastanawia, czy w istocie jest to prawda, i usiłuje obliczyć, jakie miałyby szanse na przeżycie porcji ginu z tonikiem. Albo dwóch porcji.

Sięgnął do kieszeni, wyjął kolejną tabletkę Esperalu i połknął.

Rozdział 29

O 20.00 Clevenger siedział przy stole konferencyjnym w bibliotece w domu Kena Rawlingsa w Miami. Oprócz gospodarza byli tam jeszcze jego dwaj prawnicy: Skip Wolfe i James Lowell – obaj mieli po trzydzieści kilka lat. Na zewnątrz zebrali się już dziennikarze.

– Nie mogę tego zrozumieć – mówił Rawlings. – Nie mam pojęcia, dlaczego Heather miała jechać do Michigan. Nie mieliśmy tam bliskich znajomych, nie tak daleko na północy.

I ta jej śmierć... w tak groteskowych okolicznościach.

Niechże mnie pan zrozumie, była miłą kobietą. Nie miała wrogów. „Miła kobieta”. „Nie miała wrogów”. Okrągłe zdania. Nie zdziwiło to Clevengera, bo miał już za sobą spotkania z Shauną Groupmann, Patrice Hadley i Scoutem van Myerem, miał zamiar jednak się przekonać, czy zdoła uzyskać coś więcej.

– Czy zechce pan zidentyfikować ciało? – zapytał.

– Ależ oczywiście.

– Nie każdy potrafi to wytrzymać – stwierdził Clevenger. – Szczególnie przy tych ranach, jakie zadano pańskiej małżonce.

– Nie sadzę, żebyśmy musieli tam jechać – zaczął Lowell głosem spikera radiowego. Wyglądał tak, jakby wyszedł z reklamy polo: faliste, krótko przystryżone, czarne włosy i granatowy garnitur w paski.

Rawlings podniósł dłoń, żeby go uciszyć.

– Byłem na wojnie – zwrócił się do Clevengera. – W piechocie morskiej w Wietnamie. Widziałem rzeczy, których pan nawet nie umiałby sobie wyobrazić.

Ale te rzeczy nie przydarzyły się kobiecie, którą kochałeś, pomyślał Clevenger. Zastanawiał się, czemu Rawlings nie dostrzega różnicy. Wojna oblekła go w taką zbroję psychiczną czy po prostu nie kochał żony?

– Mam nadzieję, że pana nie urażę – odezwał się do gospodarza. – Zadaję to pytanie każdemu współmałżonkowi w wypadku morderstwa. – Przerwał na chwilę. – Czy byliście szczęśliwi?

– Szczęśliwi? – Zapytany wzruszył ramionami. – Czy mogłoby być inaczej? Mieliśmy absolutnie wszystko. To były nasze najlepsze lata.

Clevenger pomyślał, że Rawlingsowi nie zadrzał głos i nie uronił jednej łzy. Jakby przekonywał samego siebie, że był szczęśliwy. Szczęśliwi? Czy mogłoby być inaczej? Wciąż były to pytania, nie odpowiedzi.

Do pokoju weszła Maritza. Miała na sobie białe spodnie, dopasowaną białą marynarkę i

fioletoworóżowy top. Jej zęby były idealnie białe, włosy idealnie proste, paznokcie idealnie wypielęgnowane. W każdym calu wyglądała na elegancką panią domu.

– Moja asystentka – przedstawił ją Rawlings Clevengerowi – Maritza Cabral, doktor Frank Clevenger. Pracuje dla FBI.

– Miło mi panią poznać. – Clevenger wstał i wyciągnął dłoń.

Uścisnęła ją lekko.

– Mnie również. Clevenger usiadł.

– Zostanę jeszcze mniej więcej przez godzinę – Maritza zwróciła się do Rawlingsa. – Jeżeli będę panu potrzebna, może mnie pan łapać na komórce. – Spojrzała uważnie na szefa. – Dobrze się pan czuje?

Rawlings skinął głową.

Clevengerowi wydało się, że w oczach Maritzy zobaczył coś więcej niż zwykle oddanie przełożonemu, nie miał jednak pewności. Może tylko odniósł takie wrażenie, bo była piękna i mówiła tak ciepłym głosem, a może pomyślał tak dlatego, że Rawlings patrzył za nią, gdy opuszczała pokój.

– Czy mogę zapytać, do których szkół pan chodził? – zwrócił się do gospodarza.

– Moje szkoły? – zdziwił się Rawlings, otrząsnąwszy się z zamyślenia. – Phillips Andover, a potem Yale. A dlaczego pan pyta?

Yale. Clevenger się nie zdziwił i nie uznał tego za przypadek.

– Proponowano panu członkostwo w bractwie Czaszki i Kości?

Rawlings zerknął na Lowella.

– Gdyby nawet tak było, nie odpowiedziałbym na to pytanie.

Czy nie tak stanowi statut?

Spojrząwszy na rękę Rawlingsa, Clevenger zobaczył, że gospodarz ma sygnet z godłem Yale.

– Ale do czego pan zmierza? – dociekał Rawlings.

– Każda z ofiar w tej sprawie była członkiem bractwa, małżonkiem albo bliskim krewnym członka. Czy może pan przypomnieć sobie kogoś, kto miałby do pana urazę za to, że należy pan do Czaszki i Kości?

– Pan Rawlings nie powiedział, że należy – wtrącił Wolfe głosem zaskakująco łagodnym jak na kogoś, kto wyglądał na zawodnika futbolu amerykańskiego w wartym trzy tysiące dolarów i uszytym na miarę włoskim garniturze. Patrzył na Clevengera, nie mrugnawszy nawet okiem.

– Mam u siebie w biurze listę Suttona – stwierdził Clevenger.

– Pomyślałem, że mogliby mi panowie oszczędzić konieczności dzwonienia.

– Jeżeli wierzy pan, że lista jest pełna... – odparł Wolfe.

Clevenger pochylił się i spojrzał wprost na Rawlingsa.

– Pańska żona została właśnie zamordowana przez kogoś, kto ma związek z waszym

bractwem. Czemu nie miałyby mi pan pomóc, podając wszelkie możliwe informacje, które pomogłyby mi w znalezieniu jej zabójcy?

Rawlings ponownie zerknął na Lowella i znów wrócił spojrzeniem do Clevengera.

– Pragnienia człowieka nie zawsze muszą kierować jego zachowaniem. To właśnie jest istotą należenia do czegoś, co jest większe od nas. Znam cele i potrzeby większe niż moje własne czy pańskie, i nieważne, co każdy z nas czuje w tej chwili. Ja zawsze to rozumiałem.

– A pańska żona?

– Rozumiała to w tym samym stopniu co ja – odparł Rawlings. – I to jest jeden z powodów, dla których tak bardzo mi jej brakuje.

– Te sekrety kosztowały ją życie. – Clevenger spojrział kolejno w oczy każdemu z siedzących przy stole mężczyznom.

– Jeżeli ktoś poluje na członków bractwa – odparł Rawlings – jestem pewien, że wszyscy będą panu życzyć szczęścia, ale nie kosztem ujawnienia któregokolwiek z braci.

Mniej więcej to samo powiedział David Groupmann. Więzy pomiędzy członkami bractwa były mocniejsze od wszelkich innych – rodzinnych, zobowiązań prawnych czy wierności wobec samego siebie.

Minęło kilka sekund.

– Czy to już wszystko? – zapytał Rawlings, przenosząc wzrok na swoich prawników.

– To zależy od pana doktora... – Lowell zdobył się na sztuczny uśmiech.

Może z powodu obecności dwóch adwokatów, może z powodu bezpośredniego odwołania się do zasad bractwa, a może Rawlings istotnie z jakiegoś powodu czuł się winny, Clevenger jednak miał wrażenie, że przesłuchuje podejrzanego, a nie rozmawia z pogrążonym w żalu członkiem rodziny ofiary.

– Nie mam więcej pytań – zakończył.

Gdy Lowell odprowadzał go do wyjścia, Clevenger spostrzegł leżący na stole tuż przy bibliotecznych drzwiach wykonany ręką Crosse'a szkic stajni w posiadłości Rawlingsów w Montanie. Budowla była znacznie bardziej ludzka i pełna życia niż dom, w którym się znajdował. Powiódł wzrokiem po zaokrąglonych narożnych wspornikach, spadzistym dachu i łukowatych oknach, potem na chwilę zatrzymał spojrzenie na wstawce z fasetowego szkła na osadzonej na środku fasady tuż pod linią dachu. Wykorzystanie szkła w tak nowatorski i twórczy sposób przypomniało mu szklane sklepienie z wtopionymi weń liśćmi w posiadłości van Myerów w Chicago i piętrowy labirynt belek połączonych ze szklanymi panelami w domu Groupmannów w Pacific Heights. Po raz kolejny fakty i domysły zebrane w jego świadomości i podświadomości zaczęły się łączyć jak zapadki w zamku. Po jego plecach przebiegł dreszcz.

– Czy mogę panu jeszcze w czymś pomóc? – zapytał Lowell, odwracając się do niego.

– Budujecie stajnie? – Clevenger nie odrywał wzroku od szkiców.

– Nie rozumiem... – rzucił Rawlings ze swojego miejsca przy stole.

– Stajnie – powtórzył Clevenger.

– Owszem, tak – odparł Rawlings. – Heather i ja planowaliśmy zacząć rozbudowę naszej posiadłości w Montarne.

Stajnie miały być jej częścią.

Clevenger pilnie wpatrywał się w szkic. Nigdzie nie mógł dostrzec nazwiska architekta.

– Kto je projektował? – zapytał w końcu. Zapadła kilkusekundowa cisza.

– Przepraszam? – zapytał Rawlings.

– Te stajnie. Kto jest autorem projektu?

– Myślę, że jakaś firma z Manhattanu – padła odpowiedź. Może Graves i Dickinson. To Heather się tym zajmowała.

Zostawiła mi kopię ich pierwszego projektu.

– Rozumiem – odpowiedział Clevenger.

– Jeździ pan konno? – zapytał siedzący obok Rawlingsa Wolfe.

– Nie, ale jak tylko mam okazję, dosiadam Harleya. To wszystko.

– Konie jedzą mniej – zażartował Rawlings.

Kolejny żart po kolejnym morderstwie. Clevenger kiwnął głową.

– I sprawiają mniej kłopotów na autostradzie.

– Może pan dzwonić o każdej porze. Jeżeli będzie pan miał jakieś pytania, z chęcią spróbuję na nie odpowiedzieć – powiedział Rawlings.

– Nie omieszkam o tym pamiętać – rzekł Clevenger, ruszając ku wyjściu.

Rozdział 30

Kiedy tylko Clevenger opuścił Kena Rawlingsa i jego prawników, wsiadł do samochodu i zadzwonił z komórki do Northa Andersona. Czuł w głębi duszy, że posiadłości rodzinne wszystkich trzech ofiar – Groupmannów, van Myerów i Rawlingsów – zaprojektował jeden architekt. Połączenie wizerunku tych trzech budowli przywołało w jego pamięci widoki innego domu, który odwiedził: Hadleyów na Meadow Lane w Southampton. Przypomniawszy sobie wspaniałą paletę szarości, łupkowego dachu i ołowiowanej miedzi, które zdawały się przekształcać dom w węglowy szkic. Wspomniał również spacer po domu i świetliki na szczycie każdej ze ścian – szeregi okien, które pozwalały słonecznym promieniom wypełniać całą budowlę. Wzajemna zależność szkła i światła, ponadczasowa i wieczna natura każdego elementu projektu były charakterystyczne. Szklane sklepienie, które nie było sklepieniem, szklany panel nad piętrowym labiryntem belek, szklany kalejdoskop zaprojektowany po to, żeby zapraszać promienie słońca i księżyca do majestatycznych stajni i ściany, przez które światło bez końca wpadało do każdego pomieszczenia.

– To mógł być każdy z nich – mruknął Clevenger. – Jeżeli nie architekt lub dekorator, to może budowniczy.

– Na Wschodnim Wybrzeżu nie ma zbyt wielu firm budujących domy na indywidualne zamówienie. Architekt jest bardziej prawdopodobny.

– Rawlings powiedział, że projektanta stajni zaangażowała jego żona. Nie był zorientowany. Przypuszczał, że być może chodzi o firmę Graves i Dickinson z Manhattanu.

– Sprawdzę ich – powiedział Anderson.

– Nie wiem, czy mnie nie nabiera. Nie przyznał się, że należy do bractwa, i wydawało mi się, że nie chce zdradzić, kto wykonał ten szkic.

– To ty jesteś psychiatrą, ale może te dwie sprawy się jakoś wiążą.

– To znaczy?

– Może oba pytania są w istocie jednym. Może architekt jest członkiem bractwa i w taki sposób operuje. Wiesz, jeden brat poleca go drugiemu.

– Niezła myśl. Zadzwonię do Groupmannów i do innych, żeby się dowiedzieć, kto projektował ich domy.

– Za pięć minut będę w biurze. Sprawdzę listę Suttona, żeby zobaczyć, czy figuruje na niej Rawlings. I zbiorę jak najwięcej informacji o tej firmie.

– Doskonale.

– Kiedy wracasz?

- Ląduję około pierwszej trzydzieści.
- Masz jakieś wieści od Billy'ego? – zapytał Anderson.
- Ani słowa. Przypuszczam, że się odtruwa. Wpadnę później do Mass General.
- W porządku. Zobaczymy się w biurze.
- Załatwione.

Gdy się rozłączyli, Clevenger zadzwonił do biura Whitney McCormick. Sekretarka połączyła go z szefową. Powiedział Whitney, czego się dowiedział.

– Sprawdzę, czy któraś z osób z naszego kręgu zainteresowań zamawiała coś u Gravesa i Dickinsona – odparła. – Co jeszcze mogę zrobić?

– Przypuszczam, że mogłabyś poinformować prezydenta o tym, czego się dowiedzieliśmy. Jestem pewien, że ma sposoby zdobycia listy braci Czaszki i Kości.

– Interesująca myśl – stwierdziła. A potem dodała z powagą głosem: – Podkreślam jeszcze raz, że musimy zadbać o to, żeby te wiadomości się nie rozeszły.

– Mówisz o tym, że na celowniku są członkowie bractwa?

– Jeżeli są na celowniku. Nie zapominaj, że sześć osób z takimi pieniędzmi i wpływami może łączyć coś więcej niż przynależność do bractwa. Mogą mieć wspólne interesy – na przykład mogą należeć do zamkniętej grupy inwestorów.

Mogą być udziałowcami prywatnej linii odrzutowców. Mamy przed sobą jeszcze mnóstwo pracy. – Mówiła tak, jakby odpowiadała na pytanie dziennikarzy na konferencji prasowej.

– Jaką rolę w tym wszystkim odgrywa polityka? – zapytał Clevenger. – Czy ujawnienie członkostwa w bractwie Czaszka i Kości jest prezydentowi nie na rękę?

– Nigdy formalnie nie przyznał, że jest jednym z nich – odpowiedziała. – Kiedy go o to zapytano na jakiejś konferencji prasowej, odpowiedział: „Bez komentarzy”. Dokładniej mówiąc, brzmiało to mniej więcej tak: „Jeżeli to ma pozostać tajemnicą, to nie mam chyba niczego do powiedzenia”. Każdy odczytał tę odpowiedź, jak mu się podobało, ale do dzisiejszego dnia nie wiem, czy go przyjęto czy nie.

– I nie masz nikogo, kto by nad tym popracował.

– Nie widzę potrzeby drażenia sprawy. Podsyci to tylko wszelkiego rodzaju teorie spiskowe o tym, że ci ludzie rządzą światem, co jest oczywistą paranoją. Ale nawet bardziej absurdalne rzeczy szkodziły politykom.

Clevenger pomyślał, że też pewnie jest paranoikiem, bo nie był do końca przekonany, że ta teoria spiskowa jest całkowicie pozbawiona słuszności.

– Nie rozmawiam z reporterami – stwierdził i zostawił ten temat.

– A co u Billy'ego? – zapytała Whitney.

Najpierw pytał Anderson, teraz ona. Być może powinien się tym zainteresować.

– Dziś jeszcze z nim nie rozmawiałem – stwierdził. – Ale zaraz się tym zajmę.

– Mam nadzieję, że czuje się dobrze.

– Dzięki.

– Zdzwonimy się jeszcze.

– Na pewno.

Whitney przerwała połączenie.

Clevenger wsunął telefon do kieszeni, ale po chwili namysłu wyjął go ponownie i wybrał numer Andersona.

– Dawno nie rozmawialiśmy – stwierdził Anderson.

– Sprawdź mi jeszcze jedno nazwisko na liście Suttona – poprosił Clevenger.

– Czyje?

– Byłego kongresmana, specjalisty od zbierania funduszy dla republikanów. Denisa McCormicka.

– Ojca Whitney?

– Owszem.

– Studiował w Yale?

– Nigdy jej o to nie pytałem – odpowiedział Clevenger.

– Ona jednak nie chciała rozmawiać z tobą o stowarzyszeniu?

– Nie chciała.

– Nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy musieliśmy sami rozgryzać sprawę – stwierdził Anderson.

– Nie, nie byłby.

– Powiem ci, jak się czegoś dowiem.

Rozdział 31

West Crosse siedział w biurze Pierwszej Damy Elizabeth Buckley we Wschodnim Skrzydle. Przy wejściu dla gości nadano mu status „Sokoła”, jaki przysługuje członkom gabinetu, który pozwalał mu na zjawianie się bez uprzedzenia i bez konieczności poddawania się rewizji osobistej. Niespełna pięćdziesięcioletnia Liz Buckley, wychowanka Princeton, elegancka i pewna siebie, siedziała na małej dwuosobowej kanapce o jasnym obiciu naprzeciwko Crosse'a, który zajął miejsce w narożnym fotelu. Ściany gabinetu zdobiły zdjęcia pary prezydenckiej w towarzystwie czołowych polityków, przywódców religijnych i dzieci z całego świata.

– W pańskim projekcie Muzeum Wolności – odezwała się – najbardziej spodobało mi się to, że odwołuje się on bezpośrednio do ekspresji twórczej i nieograniczonej wyobraźni, jakie cechują ludzi wyzwolonych z kajdan tyranii. – Uśmiechnęła się ciepło, ale jednocześnie z dużą dozą pewności siebie. – Wiem, że zrozumiał pan wszystko, co jest treścią pracy mojego męża.

– Owszem – odpowiedział Crosse.

Spojrzał na swój szkic leżący na stoliku pomiędzy nimi. Przewidywał on ściany ze szkła, odbijające leżące pomiędzy nimi sadzawki. Dzieła sztuki miały wisieć na brązowych płytach lub tkwić osadzone na brązowych półkach wykutych w ścianach. Dach miał być kopułą z kryształu i brązu z wyciętymi w nim konstelacjami. Wchodzący do muzeum gość miał widzieć jedynie sztukę, wiszącą niemal w powietrzu, i nic nie zatrzymywałoby jego wzroku lub myśli, które mogły błędzić aż po bezkresny horyzont. Panele kopuły zbudowano tak, że w nocy miały rozsuwać się na boki, tworząc obserwatorium. Za dotknięciem guzika w samym środku muzeum podnosiłby się potężny teleskop wskazujący w niebo.

– Chcieliście, żeby ludzie mogli wyrażać wszystkie swoje możliwości – powiedział. – Żeby byli w pełni wolni, niezależnie od kosztów.

– A nikt lepiej od tych artystów nie wie, jakie te koszty mogą być. – Pochyliła się lekko, do głębi poruszona wizją. – Co czwarty z nich stracił jakiegoś członka rodziny, gdy wyzwaliśmy ich kraje.

Crosse poczuł, że po grzbiecie przebiega mu dreszcz.

– Mogę mieć jedynie nadzieję, że mój ostateczny projekt sprostą waszej idei.

– Wiem, że sprostą – odpowiedziała. – Bóg tak chce. – Znowu usiadła prosto i powiodła palcami po perłach naszyjnika.

Crosse nagle ujrzał w niej kobietę zmęczoną i doświadczoną przez los, być może dlatego, że znał jej brzemię: upośledzoną umysłowo, siedemnastoletnią, niezamężną córkę brzemienną z upośledzonym umysłowo młodzieńcem – zniewaga dla natury i nieustanne rosnące zagrożenie

pozycji prezydenta w kraju i na świecie.

– Jak się czuje Blaire? – zapytał łagodnym, ale stanowczym głosem uzdrowiacza i szamana.

Pytanie wystarczyło, żeby w duszy prezydenckiej żony wybuchła walka między jej prawdziwymi uczuciami a tym, co próbowała okazać na zewnątrz. Wszystko ujawniło się na jej twarzy – dzielny uśmiech, którego jednak nie zdołała zatrzymać na dłużej, lśnienie łez w oczach, a potem mocne, dobrze wszystkim znane zaciśnięcie szczęk.

– Warren mi powiedział, że bardzo mu pan pomógł, gdy podzielił się z panem brzemieniem, któremu będziemy musieli stawić czoło – powiedziała. – Chciałabym panu za to podziękować.

– Nie ma potrzeby – odparł. Odczekawszy kilka sekund, powtórzył pytanie łagodniejszym głosem. – Jak się czuje Blaire?

– Jest szczęśliwa. – Jej oczy wypełniły się łzami i przełknęła ślinę. – To właśnie jest w tym wszystkim najbardziej smutne.

– Otarła łzę. – Nie rozumie, co to naprawdę oznacza dla niej albo dla ojca dziecka. I z pewnością nie pojmuje, jak to może wpłynąć na wszystko, co Warren osiągnął z takim trudem podczas minionych bez mała czterech lat.

– Nie przewiduje pani współczucia ze strony innych – stwierdził Crosse.

– W tym mieście? Oni go ukrzyżują. – Odetchnawszy głęboko, uspokoiła się nieco. – Niech pan nie zapomina, że mój mąż stanowczo się opowiadał za rozdawaniem bezpłatnych prezerwatyw, przeciwko aborcji i przeciwko niewłaściwej edukacji seksualnej. Nikt zresztą publicznie nie powie, że to zmniejszy jego możliwości czynienia dobra na świecie. Za to prywatnie będą zeń kpili we wszystkich urzędach na Kapitolu pełnych ludzi „służby publicznej”, którzy uważają, że nie ma nic złego w małżeństwie dwóch mężczyzn, ale sądzą, że „religia” to nieprzyzwoite słowo.

– Jak sobie z tym radzą wasi synowie? – zapytał Crosse.

– Żaden z nich jeszcze nie wie. James właśnie podjął pracę w Brown Brothers Harriman, a William został współnikiem kancelarii Simpson Thachera & Bartlett. Nie widzę powodu, żeby ich w to mieszać, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

– A kiedy to się stanie?

– Przypuszczam, że kiedy ciąża stanie się widoczna. – Pokręciła głową. – Tak naprawdę to wszystko jeszcze nie wydaje się prawdziwe. Nie sądzę, żeby Bóg chciał... – Zamknęła oczy. – Nie powinnam była tego mówić. Niezbadane są Jego wyroki...

Z tym Crosse nie mógł się pogodzić. Uważał, że Bóg objawia człowiekowi swoją wolę, ten jednak często jest zbyt przerażony lub zbyt samolubny, żeby postąpić zgodnie z Jego życzeniem. Dobrze to ujął prezydent Kennedy, zanim zmiękł i zaczął wątpić w to, że Ameryka może zmienić oblicze świata: „Świadomi tego, że jedyną nagrodą będzie czyste sumienie i że jedynie historia oceni ostatecznie nasze czyny, poprowadzimy umiłowany kraj, prosząc Boga o pomoc i

błogosławieństwo, wiedząc jednak, że tu na ziemi tylko my możemy spełnić Jego dzieło". Czy Jezus nie miał prawdy Ojca w swoim sercu? Czy Abraham nie był gotów poświęcić swego syna Izaaka, gdy głos Pana polecił mu to zrobić? Czy prezydent Buckley nie spełniał na ziemi dzieła bożego, uwalniając z opresji całe narody? I czy Crosse nie wiedział dokładnie, czego Bóg odeń oczekuje?

– Może słucha uważniej, niż sądzimy. Liz spojrzała na niego.

– Nie modłę się o poronienie – stwierdziła. Ale sposób, w jaki odwróciła głowę i wbiła spojrzenie w podłogę, powiedział mu, że jest inaczej.

– Oczywiście, że nie – odparł.

Odchrząknęła, odetchnęła głęboko i wstała. Crosse też wstał.

– Wiem, że musi pan dokonać dokładnych pomiarów terenu – powiedziała. – Jeżeli będzie pan czegokolwiek potrzebował, proszę się zwrócić do mojego sekretarza Joyce'a.

– Dziękuję. – Crosse wyciągnął rękę. Dogadali się między wierszami i zawarli umowę. Dzisiejszej nocy miała lepiej spać, nie wiedząc dlaczego i nie pragnąc się dowiedzieć. – Może będę musiał tu jeszcze przyjść kilka razy – rzekł żeby się upewnić, że mój projekt będzie zawierał dokładnie to, co zechcę zrobić.

– To nie problem. Ma pan pozwolenie na wszystko. Nikt pana nie będzie zatrzymywał.

– Jeżeli zechcę tu trochę pospacerować, to tylko dlatego, że będę chciał kilka spraw przemyśleć. Proszę powiedzieć swoim ludziom, żeby dali mi trochę luzu. Uczę się dość szybko.

– Uśmiechnął się.

– Będzie pan mógł chodzić, gdzie pan zechce – odparła.

Spojrzał jej w oczy.

– Chciałbym, żeby pani wiedziała, iż zdaję sobie sprawę z tego, co pani i jej mąż poświęciliście dla kraju. Praca dla was to dla mnie prawdziwy zaszczyt. Gdybym miał wykonać ostatni projekt mojego życia, to byłby nim ten właśnie.

Rozdział 32

O 15.55 Clevenger siedział z Northern Andersonem w bostońskim Biurze Medycyny Sądowej w Chelsea. Clevenger dotarł do Scouta van Myera i Patrice Hadley i zapytał ich, kto projektował im domy.

Van Myer nie chciał mu powiedzieć, powołując się na ściśle poufną umowę z architektem, która określała odszkodowanie w wysokości dwudziestu pięciu milionów w wypadku naruszenia któregoś z punktów.

– Gdybym podejrzewał, że jest choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że mówimy o kimś, kto mógłby zabić – stwierdził – to oczywiście byłbym przemyślał naszą umowę.

Ale jestem pewien, że w tym przypadku to niemożliwe.

Umowa pani Hadley zawierała bardzo podobne obwarowania i zastrzeżenie tajności nazwiska.

– Nawet gdybym chciała to panu powiedzieć, nie mogłabym tego zrobić.

– Nie zmienią zdania – powiedział Clevenger Andersonowi. – Napomknąłem, że mogą otrzymać nakaz sądowy i oboje bardzo uprzejmie skierowali mnie do swoich adwokatów.

Wciąż usiłuję dotrzeć do Shauny Groupmann, założę się jednak, że i ona mnie spławi, nawet jeśli wie, kogo jej mąż zatrudnił do zaprojektowania ich posiadłości.

– Z mojej pracy w Nantucket wyniosłem przeświadczenie, że ludzie zwykle zapominają o tego rodzaju umowach, gdy tylko pojawi się jeszcze lepszy interes, nie wspominając o federalnych – stwierdził Anderson. – To mi raczej przypomina zмовę milczenia.

– Czaszka i Kości – powiedział Clevenger.

– Sprawdziłem listę Suttona – rzekł Anderson. – I jest na niej Ken Rawlings. Zadzwoiłem też do tego biura architektonicznego Gravesa i Dickinsona. Nikt od nich nie projektował stajni. Przynajmniej tak mówią. Nie wygląda na to, żeby był z tobą szczery.

– Strzał na bazę. Wygląda na to, że ów architekt może być człowiekiem, którego szukamy.

– Jest coś jeszcze. Denis McCormick też figuruje na liście Suttona.

Clevenger skrzywił się z niechęcią. Wolałby się dowiedzieć, że McCormick nie należy do bractwa. Nie podobała mu się myśl, że nie może ufać Whitney.

– Dobra, chcę, żeby go sprawdzono, nie sądzę jednak, że w charakterze Whitney leży polityczne rozgrywanie śledztwa w sprawie morderstw.

– To prawda – mruknął North. – Federalni nigdy się nie bawią w politykę. Powiedz to Joemu Salvatiemu. FBI wrobiło Joego Salvatiego i przez trzy dziesięciolecia trzymało go w pierdlu, żeby osłonić jednego ze swoich informatorów.

– Znam Whitney – stwierdził Clevenger.

– Nie, ty ją kochasz, a to ogromna różnica. Może to też znaczyć, że jej jeszcze nie znasz. Twoje spojrzenie wciąż jest rozmyte. Żebyś zaczął ją widzieć taką, jaka jest, potrzeba pięciu, może dziesięciu lat. – Anderson umilkł na chwilę, a potem podjął wątek. – Przestań się oszukiwać. Ona jest bardzo dobrym psychiatrą, bardzo dobrym sędzią śledczym i bardzo dobrym politykiem. I pochodzi z bardzo wpływowej amerykańskiej rodziny.

– Powinieneś zacząć przyjmować pacjentów.

– Właśnie zacząłem. Clevenger parsknął śmiechem.

– Pojąłem. – Kiwnął głową i znów się skupił. – Sprawdźmy lepiej listę Suttona, żeby się dowiedzieć, ilu członków Czaszki i Kości zostało architektami. Mam nadzieję, że nie będzie ich zbyt wielu i będziemy mogli się przyjrzeć każdemu z osobna.

– Popracuję nad tym – obiecał Anderson.

– A ja skontaktuję się z rodzinami dwóch ofiar z Connecticut i rodzicami tego dwunastolatka z Montany. Sprawdźmy, czy w ciągu ostatnich kilku lat budowali sobie domy.

– Sprawdzę również departamenty budownictwa w miastach, o których mówiliśmy – powiedział Anderson, – Plany architektoniczne trzeba zatwierdzać i uzyskiwać zezwolenie na budowę.

– Dobry pomysł – mruknął Clevenger.

– Czasami mi się zdarza. – Anderson się uśmiechnął. – Dowiedziałeś się już, co z Billym?

– Jeszcze nie. Ale to zrobię.

– Jak będziesz coś wiedział, zadzwoń do mnie. Łap mnie na komórkę.

– Na pewno zadzwonię.

Anderson wyszedł.

Clevenger podniósł telefon i wybrał numer Mass General. Dodzwonił się do zamkniętego oddziału detoksykacyjnego, ale dyżurna pielęgniarka nie mogła mu powiedzieć niczego o Billym, powołując się na zasady obowiązujące w szpitalu.

– Czy mogę z nim pomówić? – zapytał Clevenger, doskonale wiedząc, jaka będzie typowa odpowiedź.

– Nie wolno mi nawet potwierdzić ani zaprzeczyć, że on tu jest.

– Wygląda na to, że wszyscy oprócz mnie zawarli umowę o zachowaniu dyskrecji – mruknął.

– Zajrzę do was. Może pozwolą mi się z nim zobaczyć.

– Dziękuję za telefon.

– Ja też dziękuję. – Przerwał połączenie.

Podjechał do Mass General i skierował się na oddział detoksykacji. Nacisnął brzęczyk przy drzwiach.

– W czym mogę pomóc? – zapytała jakaś kobieta przez interkom.

– Przyjechałem się zobaczyć z Billym Bishopem. Jestem jego ojcem.

– Ktoś zaraz do pana podejdzie. Clevenger cierpliwie czekał.

Po mniej więcej minucie stalowe drzwi się otworzyły i na zewnątrz wyszła tęga kobieta w średnim wieku o rozjaśnionych włosach. W rękach trzymała notatnik i pęk kluczy.

Zamknawszy drzwi, odwróciła się do gościa.

– Doktor Clevenger?

– Miło mi panią poznać. – Wyciągnął rękę.

– Paula Nealey. Obawiam się, że nie ma pana na liście gości pana Bishopa – powiedziała, witając się z nim. – Nawet, gdyby był u nas na kuracji.

– Gdyby...

– Prawo federalne chroni tożsamość każdego, kto przechodzi kurację odwykową. Jestem pewna, że pan o tym wie.

– Oczywiście. – Wiedział jednak również, że personel oddziału przejawia skłonność do naginania prawa Jeżeli wieści nie były złe. Musiał się szybko dowiedzieć, czy Billy jeszcze tu jest. Sięgnawszy do kieszeni, wyjął banknot dwudziestodolarowy. – Członkowie rodziny mogą jednak zostawiać pewne rzeczy dla pacjentów, nieprawdaż? – zapytał. Była to niewielka szczelina w zasadach poufności. Kobieta spojrzała na pieniądze.

– Drobne na wydatki w szpitalnej kantynie. Proszę mi zaufać, będą mi potrzebne. – Wyciągnął rękę z banknotem w jej stronę.

– Nie wiem...

Spojrzał jej w oczy i zobaczył prawdę. Billy się wypisał.

– Dziękuję – powiedział.

Odwrócił się i ruszył korytarzem ku wyjściu. Przed wejściem do wind zauważył budkę telefoniczną. Chciał się do końca upewnić, czy Billy'ego istotnie tu nie ma. Podszedłszy do aparatu, wziął słuchawkę i wybrał zero. Odpowiedział mu operator szpitalnej centrali.

– Mówi doktor Clevenger. Chciałbym, żeby mnie połączono z doktor Jane Monroe.

– Minutkę. Minęło kilka minut.

– Doktor Monroe, słucham.

– Tu Frank Clevenger. Pani przyjmowała mojego syna, Billy'ego Bishopa, do szpitala i udzieliła mu pierwszej pomocy.

– Owszem, to ja.

– Myślę, że opuścił szpital. Ale muszę to wiedzieć na pewno.

– Zgodnie z prawem federalnym, nie mogę...

– Proszę panią o uprzejmość jak lekarz lekarza. Niechże mi pani pomoże. Mój syn ma kłopoty.

Chwila przerwy.

– Proszę poczekać. – Po piętnastu sekundach odezwała się ponownie. – Nie figuruje w komputerze jako pacjent szpitalny. A gdyby tu był, musieliby go mieć w ewidencji.

Tylko proszę pamiętać, że nic nie...

– Kiedy zapytałem, pani mnie po prostu spławiła.

– Życzę mu szczęścia – powiedziała. – Wyglądał na porządnego chłopaka.

– Powiedzmy, że ma wiele twarzy.

– Jak większość z nas. Proszę mnie powiadomić, jak sobie radzi.

– Powiadomię – obiecał Clevenger. – I dziękuję. Rozłączyli się.

Clevenger poszedł do garażu, wziął swój wóz i ruszył do Chelsea. Po części pragnął, żeby Billy opuszczając szpital, opuścił też na dobre jego życie. Mógłby wrócić do domu, spakować rzeczy Billy'ego, zostawić je na schodach i zająć się swoim życiem. Mógłby założyć prawdziwą rodzinę. Może byłoby to najlepsze, co mógłby zrobić dla Billy'ego. Może istotnie nie potrafił pokochać go tak bardzo, by sprawić, żeby polubił samego siebie. Może na tym świecie istnieli ludzie fatalnie okaleczeni psychicznie, w których upokorzeniami, molestowaniem i biciem stłumiono lub zabito wszelkie skłonności ku dobru i wobec których odwoływanie się do ich ducha było jak czuwanie przy łożu pacjenta pod aparaturą podtrzymującą funkcje życiowe i liczenie na cud. Sęk w tym, że tak się tego nie odczuwało – przynajmniej nie teraz i nie w wypadku Clevengera. I jeśli nawet ta niekończąca się wiara też była narkotykiem, próbą zamaskowania faktu, że wszyscy jesteśmy absolutnie samotni i niektórzy z nas nie mogą zaznać w tym życiu odkupienia, nie był gotów do odstawienia tego narkotyku. Czy modlitwy kiedykolwiek miały gwarancję skuteczności? Wyjął komórkę i wybrał numer Northa Andersona.

– Co tam?

– Billy wypisał się z odwyku. Muszę go znaleźć.

– Sprawdziłeś w domu?

– Właśnie tam jadę.

– Dobra – odparł Anderson. – Wchodzę w to.

– A nie myślisz, że powinniśmy zostawić to tak, jak jest?

– Gadaj zdrów. Dzieciak nie da sobie rady na ulicy.

– Zadzwoń z domu.

– Dobra. Rozłączyli się.

Clevenger podjechał do mieszkania, biegiem pokonał cztery podesty schodów i miał właśnie otworzyć drzwi, kiedy odezwała się jego komórka. Anderson. Odebrał.

– Co jest?

– Znalazłem go, – Szybko.

– Bo on nie siedzi cicho – stwierdził Anderson.

– To znaczy?

– Przyuważyli go chłopcy z wozu patrolowego. Kręci się na schodach przed domem Royalsów na Suffolk Street 22.

– Pod ich domem?

– Zajęli jeden z tamtejszych szeregowych budynków. Jego właścicielem jest Leo Berman.

Berman był bookmacherem, handlarzem narkotyków i alfonsem, który miał delikatesy Me & Me na Broadwayu, rzut kamieniem od ratusza w Chelsea. Do czasu, kiedy miasto zdecyduje się załatwić sprawę gejów, młodocianych przestępców i stosu federalnych i stanowych oskarżeń, połowa miejskich gliniarzy podwajając będzie swoją pensję, patrząc po prostu w inną stronę.

– Royalsi rozprawdzają dla niego dragi? – zapytał Clevenger.

– Dragi, dziewczyny, co tylko zechcesz. Nie zdziwiłbym się, gdyby mi powiedziano, że on ciągnie też zyski z zakładów na te nielegalne walki. Same złe wieści.

Clevenger zaczął schodzić po schodach.

– Zajrzę tam.

– Możemy pojechać razem.

– Dziękuję – odparł Clevenger.

– Dość o tym – stwierdził Anderson. – Zapomniałeś mi oddać mojego glocka.

– Jest w moim wozie. Przywiozę go.

– O to mi chodziło.

Rozdział 33

Clevenger i Anderson zaparkowali na Broadwayu i ruszyli Suffolk Street, mijając budynki licowane brunatnym piaskowcem o półkolistych fasadach czekające na remonty, jak duchy przeszłości Chelsea, miasta dosłownie wskrzeszanego z popiołów nie raz, lecz dwa razy; miasta, które wciąż czekało na swoją chwilę.

Zobaczyli kilkanaście niewyraźnych sylwetek przed odległym o dwa kwartały domem. Chłopcy kopnięciami podawali sobie piłkę ponad ulicą, przepychali się na stopniach przed wejściem i obrzucali kawałkami tynku przejeżdżające mimo pojedyncze samochody.

– To jaki mamy plan? – zapytał Anderson, gdy minęli jeden kwartał.

Trzej czy czterej Royalsi w charakterystycznych myckach, workowatych dzinsach i piłkarskich koszulkach spostrzegłszy gości, ruszyli leniwie w ich stronę.

– Tak naprawdę to jeszcze o tym nie myślałem – stwierdził Clevenger.

– Wspaniale. Ja też.

– Potrzeba mi tylko trochę czasu, żebym zdołał namówić Billy'ego, żeby zabrał stąd swoje dupsko.

Royalsi ustawili się parami w szpaler po dwu, stając pod ścianą i na krawężniku.

– No to jazda – mruknął Anderson i ruszył przodem. – Dobry wieczór panom – powiedział, skinąwszy głową jednemu i drugiemu.

– W co ty, kurwa, grasz, czarnuchu? – zawołał najbardziej rostry z chłopaków, dziesiętnastoletni lub może dwudziestoletni, gdy Clevenger zatrzymał się tuż przed nim. Chłopak miał na szyi gruby srebrny łańcuch z wisiosem w kształcie węża o rubinowych oczach.

Clevenger stanął twarzą do niego, odwracając się jednocześnie plecami do dwu innych wyrostków.

– Szukam Billy tego Bishopa.

Anderson szedł dalej i teraz znalazł się tyłem do Clevengera pomiędzy czterema Royalsami.

– A kim ty, kurwa, jesteś? – zapytał Clevengera dryblas.

– Jego ojcem.

– Jego stary siedzi w pierdlu – odparł dryblas, pochylając się w stronę Franka. – Gwałt i morderstwo. Spadaj stąd.

– Nie ma sprawy – odezwał się Anderson, który idąc dalej, umyślnie szurał podeszwami, dając znać partnerowi, że się nie zatrzymał. – Sami go znajdziemy.

Clevenger odwrócił się, żeby pójść za nim, ale w tej chwili coś uderzyło go w tył głowy. Poczł, że po karku spływa mu ciepła strużka krwi. Utrzymał się jednak na nogach, odwrócił i

rąbnął przedramieniem w szczękę wyrostka trzymającego kawał rury. Chłopak zwałił się na bruk.

– On ma nóż – ostrzegł go Anderson, wskazując innego smarkacza, który rzucił się na Clevengera.

Frank uchylił się, gdy ostrze śmignęło mu tuż przed oczami.

Anderson rąbnął pistoletem w twarz nożownika. Dzieciak – może miał czternaście lat, a może nawet mniej – wypuścił nóż z dłoni i zatoczył się do tyłu, mocno krwawiąc z nosa.

Anderson wyczuł, że ktoś zachodzi go od tyłu, uderzył łokciem i trafił w coś miękkiego. Obejrzawszy się, zobaczył rosnącego Royalsa z medalionem zgiętego w pół. Przystawił mu lufę do głowy.

Z frontowych drzwi domu wysypało się przynajmniej dziesięciu wyrostków.

– Już po was, durne pojeby! – wrzasnął jeden z nich.

– Jest nas więcej i mamy, kurwa, więcej spluw! – pisnął inny głos.

Clevenger wyciągnął swego glocka, chwycił broczącego krwią gówniarza i przystawił mu lufę do skroni. Nie powstrzymało to ich: wybiegli z domu i szli w ich stronę, ale wszyscy przystawali w odległości kilku metrów. Okrążyli Andersona i Clevengera i obsypywali przybyszów przekleństwami – ich głosy były ciche, niskie i złowrogie jak syk grzechotnika.

– No, stary, puść naszego kumpla.

– Chłopie, to jest Suffolk, zły czas i złe miejsce. Nie powinienes tu przychodzić.

– Chłopcy, załatwmy tych dwóch, zanim zrobią coś Gasowi i Steelowi.

– Zabić ich.

Żaden jednak nie zrobił kroku. Nawet członkowie gangu w Chelsea, dla których śmierć była czymś zwyczajnym, cenili sobie życie.

– Gdzie jest Billy Bishop? – zapytał Clevenger, nie zwracając się do nikogo szczególnego.

Anderson chwycił rosnącego gangstera za łańcuch i przytknął mu lufę magnum .44 do szczęki.

– Odpowiedz, kurwa, albo załatwię ciebie i kilku twoich kumpli i będzie to samoobrona.

Dryblas podniósł wzrok na Andersona i splunął. Anderson wetknął mu lufę w usta.

Clevenger spojrzał na partnera i zobaczył, że zaciska szczęki.

– North – powiedział łagodnie. – Nie rób tego. On nie jest tego wart.

Anderson nie odpowiedział; nawet nie mrugnął, a jego palec na spuście ani drgnął.

– Gdzie jest Billy? – zapytał przez zaciśnięte zęby. Wyjął lufę z ust chłopaka.

– Pierdol się.

North podniósł rękę, żeby walnąć go lufą w twarz.

– Tu jestem – odezwał się ktoś stojący za Clevengerem. Ręka Andersona znieruchomiała.

Clevenger odwrócił się i zobaczył, że Billy zdjął kaptur i zsunął chustkę z twarzy.

– Czego chcesz? – zapytał Billy.

– Mój wóz jest na Broadwayu – powiedział Clevenger.

Spojrząwszy na Billy'ego, zauważył, że ten ma wąskie źrenice mimo nikłego oświetlenia. Był naćpany, prawdopodobnie zażył heroinę. – Idź tam. Pojedziemy do domu.

– Ja mieszkam tutaj – stwierdził Billy.

Inni odpowiedzieli pomrukami i kiwnięciami głowy. Kilku z nich wyciągnęło do niego dłonie, a on przybił im piątkę.

– Pieprzysz głupoty – odparł Clevenger.

Anderson nie odejmował lufy od głowy draba, ale bacznie śledził pozostałych, jakby się zastanawiał, jak długo zdołają utrzymać bandę w szachu.

Clevenger kiwnął głową w stronę Broadwayu – Chodźmy – zwrócił się do syna. – Wynośmy się stąd.

– A może to ty byś się stąd wyniósł? – odparł Billy. – To oni są moją rodziną. Ty nic dla mnie nie znaczysz.

Znowu wiwaty i przybijanie piątek.

Clevenger spojrzał na Billy'ego i zobaczył, że ten patrzy na niego inaczej niż kiedykolwiek przedtem – jakby byli sobie absolutnie obcy. Bez gniewu, strachu czy pogardy. Beznamiętne, pozbawione uczuć spojrzenie. To uderzyło Clevengera boleśniej niż kawał rury, który przeciął mu skórę na potylicy. Opuścił broń, mało brakowało, aby rzucił ją na ziemię.

Anderson zobaczył, co się dzieje. Odepchnął od siebie dryblasę, chwycił Clevengera i wyciągnął go z kręgu, i mierząc to w jednego wyrostka, to w innego, przez chwilę trzymał ich w szachu.

– Musimy przeżyć, żeby móc dalej walczyć – szepnął Clevengerowi, ciągnąc go do tyłu.

Frank jak robot ruszył w stronę samochodu.

Royalsi szli za nimi przez jeden kwartał ulic.

– Nasza krew jest bardziej gęsta od twojej, tatuśku! – krzyknął jeden z wyrostków. Jego głos odezwał się echem na pustej ulicy.

Hałaśliwy śmiech i chór drwin:

– Chłopie, masz wielką spluwę, ale za małe jaja!

– Kochamy cię, papo Doc! Clevenger wsunął broń za pasek.

– Co teraz? – zapytał Anderson.

– Nie wiem. Może to koniec. Może będę się musiał jakoś z tym pogodzić.

– No to mogę ci powiedzieć od razu: zadałeś sobie więcej trudu i starałeś się dłużej niż ktokolwiek inny na twoim miejscu.

– I co, dostanę za to medal? Anderson pokręcił głową.

– Rodzina to zupełnie inny rodzaj wojny. Nikt ci nigdy nie podziękuje za służbę.

Słowa te do głębi poruszyły Clevengera. Przypomniały mu, że jego walka o duszę Billy'ego nie polegała na tym, że staczał bitwę, dwie czy trzy. On toczył nieustanną wojnę. Dobrą i

jednocześnie złą stroną takiej sytuacji było to, że nie wolno się było przyznać do ostatecznej klęski. Wojna musiała trwać i trwać... Właśnie to było piękne i jednocześnie przerażające w kapłaństwie, ojcostwie albo walce o pokój. Przegrywa się tylko wtedy, gdy człowiek się poddaje – rezygnuje z woli walki, człowieczeństwa albo z jednego i drugiego.

– Chcę, żebyś poprosił Johna Rosaria o jeszcze jedną przysługę – zwrócił się do Andersona.

– Chcesz, żeby miał oko na Billy'ego?

– Nie, chcę, żeby go zamknął. Zależy mi na heroinie. Dziesięć do jednego, że John przyłapie go na posiadaniu.

Anderson powoli kiwnął głową.

– Jeśli go na tym przyłapia, to będzie leżał. Tym razem nie wypuszczą go za kaucją. Może minąć sześć miesięcy albo i rok, zanim jego sprawa w ogóle trafi na wokandę.

– Ludzie przechodzili przez gorsze rzeczy – stwierdził Clevenger. – Chodzi o to, żeby przeżyć. Nie wiem, czy Billy przeżyje na ulicy. – Przerwał. – I nie wiem, kim się stanie, jeśli przeżyje.

Anderson wyjął komórkę i wybrał numer posterunku policji w Chelsea. Słuchając sygnału, rzekł do partnera:

– Ostatnia szansa. Jesteś pewien, że tego chcesz? W słuchawce zabrzmiał głos operatorki.

– Oczywiście, że nie – odparł Clevenger. – Za kogo mnie uważasz?

Anderson przez kilka długich sekund patrzył przyjacielowi w oczy.

– Słucham? – odezwała się operatorka. Anderson podniósł komórkę do ucha.

– Proszę mnie połączyć z Johnem Rosariem. – Słuchał przez chwilę i dodał: – Owszem, proszę mu powiedzieć, że to pilne.

Rozdział 34

West Crosse spędził trzy godziny na pomiarach Wschodniego Skrzydła, o których wiedział, że nigdy z nich nie skorzysta. O 11.10 ruszył ku leżącym na pierwszym piętrze głównego budynku prywatnym apartamentom prezydenckiej rodziny, korzystając z rzadziej uczęszczanych przejść i korytarzy, które zapamiętał z otrzymanych od prezydenta planów Białego Domu. Po dziesięciu minutach zatrzymał się przed drzwiami sypialni Blaire Buckley i delikatnie zapukał. Żadnej odpowiedzi. Spróbował otworzyć drzwi. Nie były zamknięte. Wszedł do środka i zamknął je za sobą. Choć Blaire miała siedemnaście lat, jej pokój niczym się nie różnił od sypialni siedmioletniej dziewczynki. Na łóżku leżała różowa koronkowa kołdra. O poduszkę oparto pluszowego misia, żyrafę i kilka lalek. Zestaw Barbie Vanity. Dwie skakanki i kolorowa mata do gry w klasy. W rogu kilka gier planszowych. Regał pełen dziecięcych książeczek. Crosse wyjął jedną z nich. Judy Moody przepowiada przyszłość. Inna: Judy Moody – Dobry Humor. Taki Sobie Humor, Zły Humor. I kolejna, tym razem książeczka z obrazkami. Pan lew idzie spać.

Podszedłszy do wysokiej komody z szufladami, zobaczył wstążkę do włosów, pierścionki z górskiego kryształu i plastikowe bransoletki, lśniące spinki do włosów i błyszczki do warg – wszystko równo poukładane w koszyczkach na blacie. Obok nich leżał stos czasopism „Highlights” w edycji dla dzieci szkół podstawowych. Za nimi była fotografia Blaire na huśtawce – tęgiej dziewczyny o tępych spojrzeniu, którą popychał jej ojciec, prezydent Stanów Zjednoczonych. Crosse poczuł ogarniającą go falę niesmaku. Jak mogło dojść do tego, że stworzenie o intelekcie niewiele wyższym od małpiego stało się przyczyną tylu zgrzyzot przywódcy wolnego świata? Dlaczego istocie, której poziom umysłowy nie pozwalał czytać połowy lektur z zakresu szkoły podstawowej, pozwolono na spółzenie dziecka z kochankiem? Ignorowanie faktu, że jej DNA jest poważnie uszkodzony i udawanie, że Blaire jest człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu, było urąganiem wspaniałym ludzkim zdolnościom i możliwościom.

Istnienie Blaire niczym się nie różniło od innych klęsk architektonicznych. Kiepsko zaprojektowane fundamenty mogły się stać przyczyną zawalenia budynku. Źle zaprojektowany budynek szpecił całą okolicę. W tym wypadku potencjalne szkody były jednak znacznie większe. Prezydent mógł zostać zmuszony do rezygnacji ze stanowiska. Mógł na tym ucierpieć prestiż Ameryki. I sprawa wolności mogła zostać odsunięta na dalszy plan.

Historia ma własną strukturę, która jest równie czuła na wady, jak każda inna. Blaire Buckley z jej niszczycielskimi możliwościami nie różniła się niczym od terrorysty. Crosse przypomniał sobie opinię jednego z pierwszych wielkich obywateli Ameryki, z którym się niemal

identyfikował. Kilkakrotnie czytał pisma sędziego Sądu Najwyższego, Olivera Wendella Holmesa Jr. Głęboko pobożnego chrześcijanina i eugenika, który był rzecznikiem sterylizacji upośledzonych kobiet. Podczas słynnej sprawy dotyczącej histerektomii Carrie Buck, upośledzonej umysłowo siedemnastolatki, której matka i dziecko też były upośledzone, Holmes napisał: „Lepiej jest nie czekać, aż upośledzony popełni zbrodnię, za którą trzeba go będzie ukarać śmiercią, albo będzie głodował z powodu swojej ułomności. Społeczeństwo może uniemożliwić osobom głęboko upośledzonym dalsze rozmnażanie i rozpowszechnianie ułomności. Trzy pokolenia imbecyli wystarczą...”

Przy pisaniu decyzji pomagał Holmesowi jego zaufany asystent, Harvey Hollister Bundy, znakomity członek Czaszki i Kości, który pracował również jako asystent sekretarza wojny, Henry'ego Lewisa Stimsona. Stimson też należał do stowarzyszenia i był wykonawcą decyzji o rzuceniu bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki podczas drugiej wojny światowej, co unicestwiło imperium zła mogące zniszczyć wolny świat.

Zawsze tak będzie, że oddani Bogu ludzie czynu będą musieli wprowadzać w życie Jego plany udoskonalenia ludzi i uwolnienia ich, żeby mogli żyć pełnią życia. Ponieważ, jak powiedział Kennedy: „Tu na ziemi tylko my możemy spełnić boże dzieło”.

Na tym świecie członkowie Czaszki i Kości zawsze czynią nieskończenie wiele więcej, niż na nich przypada. Było to w ich genach i duszach, należało to do ich duchowego dziedzictwa Crosse usłyszał kroki – ktoś się zbliżał do drzwi. Gość nie próbował się ukryć. Miał wolną rękę i mógł zaglądać w każdy zakamarek domu. Z tych samych powodów, dla których jego klienci nigdy nie wspominali jego nazwiska indagowani przez policję, przyjmowali ze zrozumieniem jego nawet najbardziej podejrzane zachowania. W końcu wszyscy mieli się stać jego nieświadomymi współnikami. A ten koniec był już bliski. Gałka obróciła się, drzwi stanęły otworem i do pokoju weszła Blair Buckley we własnej osobie. Była wyższa od dziewczynki z fotografii Crossea i porządnie przytyła. Miała na sobie dżinsy i luźny T-shirt z Britney Spears. Koszulka raczej podkreślała, niż ukrywała jej zbyt duże piersi.

Zrobiła trzy kroki, ujrzała Crossea i znieruchomiała jak sarna w świetle samochodowych reflektorów.

– Cześć, Blaire – odezwał się. – Przepraszam, że cię przestraszyłem. Mam na imię West. Jestem przyjacielem twoich rodziców. Pomagam twojej mamie w zaprojektowaniu muzeum.

– Powiedziała ci, że możesz tu przychodzić?

– Jasne. Może zechcesz do niej zadzwonić i sprawdzić?

– Nie, w porządku. Czego chcesz?

Crosse skwitował uśmiechem bezpośredniość dziewczyny, zrodzoną w mniej skomplikowanych i mających mniejszą oporność obwodach nerwowych. Kiedy w jej głowie rodziło się pytanie, to je zadawała. Kiedy była głodna, jadła. Kiedy chciała seksu, robiła to bez

zahamowań.

– Twoi rodzice powiedzieli mi o twoim dziecku – stwierdził. – Dobrze wieści.

Usiłowała powstrzymać uśmiech, ale w końcu uległa i ukazała żółtawe, lekko wykrzywione zęby. A potem położyła dłoń na brzuchu.

– Eden – powiedziała.

– Eden?

– Moje dziecko. Podoba ci się jej imię?

Może gdybyś była normalną matką i miała normalne dziecko, pomyślał Crosse.

– Wiesz, że to będzie dziewczynka? – zapytał. Skinęła głową.

Było zbyt wcześnie, żeby lekarz mógł określić płeć dziecka.

– Kto ma wiedzieć, jeśli nie ty – stwierdził.

– Uhm...

– I chcesz tego dziecka?

– Czy chcę? – zapytała z niedowierzaniem w głosie. – Nie mogę się doczekać. Naprawdę, naprawdę strasznie chcę być mamusią. Chcę tego bardziej niż czego innego.

– Nie martwisz się, że dziecko... Eden... może być... może myśleć wolniej od innych, tak jak ty?

Potrząsnęła głową.

– Wcale nie... jeżeli będzie taka szczęśliwa jak ja.

To, co powiedział, nawet jej za bardzo nie dotknęło. Wydawało się, że ona nie umie odczuwać urazy, strachu i nie umie rozumować. Nie mógł się oprzeć pokusie zgłębienia sprawy.

– Blaire, co sprawia, że jesteś szczęśliwa?

Uśmiechnęła się ponownie i zarumieniła.

– Na przykład Harry.

– On jest ojcem?

– Mmm... Jest moim chłopakiem.

– Ma jakąś pracę? Będzie mógł utrzymać Eden?

– No.

– A co on robi?

– Składa rzeczy dla firmy. Razem.

– W zakładzie pracy chronionej? Pracuje z innymi takimi jak on... i ty?

– Ołówki – powiedziała. – Składa ołówki i łańcuszki do kluczy.

Zadałem pytanie i dostałem odpowiedź, pomyślał Crosse.

– Co jeszcze sprawia, że czujesz się szczęśliwa?

– Britney. – Spojrzała na swoją koszulkę.

Więcej seksu i odrobina muzyki w tle. Bardzo wymyślne.

Roześmiał się głośno.

Blaire też parsknęła śmiechem.

– Czy ona nie jest totalnie czadowa?

Przestał się śmiać, a potem uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Blaire, czy wierzysz w Boga?

– Oczywiście.

– Czy myślisz, że Bóg chciał, żebyś zaszła w ciążę z Harrym?

– Musiał chcieć, skoro zaszłam.

Logika psa, pomyślał Crosse. Jak cię swędzi, to się podrap. Jedz, aż twoja miska będzie pusta. To było najlepsze, co mogła zrobić. Ludzkie istoty z normalnymi mózgami stać na więcej. Mogą odczuwać impulsy – pożądanie, głód, strach – ale potrafią nad nimi zapanować w imię wyższych celów. Postanowił drażnić dalej.

– A nie sądzisz, że to dziecko może utrudnić życie twojemu ojcu?

Ponownie pokręciła głową.

– Będzie dobrym dziadkiem. Na pewno mu się to spodoba.

Crosse uśmiechnął się i pozwolił, żeby kilka następných sekund upłynęło w ciszy.

– Chciałabyś poznać Britney? – zapytał.

– Poznać ją? Jak?

– Projektuję jej nowy dom.

– Znasz Britney Spears? – Podniecona pochyliła się do przodu, jakby jej uczucia natychmiast poruszały mięśniami, bez świadomego procesu myślowego pomiędzy stymulacją i reakcją.

– Owszem. Znam. Za dwa dni odwiedzi mnie w Waszyngtonie. Dlaczego nie miałabyś wpaść do mnie, żeby się z nią zobaczyć?

– Nie wiem, czy moi rodzice... Podniósł palec i potrząsnął głową.

– Musimy zachować to w sekrecie. Nikt nie może wiedzieć, że ona jest w mieście. Musisz znaleźć sposób, żeby do mnie przyjść. O dziewiątej. W hotelu Myflower. Będziemy w apartamencie prezydenckim.

– Jakoś się tam dostanę – powiedziała.

– Ale pamiętaj, żeby przynieść coś, na czym będzie mogła złożyć autograf.

Zachichotała z podniecenia.

– Już przedtem się wymykałam na spotkania z Harrym, kiedy mi tego zabraniano.

– To widać – stwierdził Crosse.

– Wiem, że nie powinnam była tego robić – przyznała. – Wszyscy byli bardzo strapieni i wszyscy mnie szukali. Ale wiesz, warto było. Bo Eden jest kimś niezwykłym. Ona naprawdę będzie kimś. Czuję to.

Rozdział 35

O 1.40 Clevenger dostał telefon od Northa Andersona, że John Rosario aresztował Billy'ego za posiadanie narkotyków. Przez kilka godzin trzymał go na posterunku w Chelsea, a potem Billy został przeniesiony do więzienia Nashua Street w Bostonie, gdzie zatrzymano go bez możliwości wyjścia za kaucją. obrońca z urzędu nie dopuścił do osadzenia Billy'ego w więzieniu Middleton, ponieważ tam właśnie chłopak został pobity. I zastrzegł wyraźnie, że nie wolno mu przyjmować żadnych odwiedzających.

Clevenger znał klawiszów z Nashua Street. Pozwoliliby mu na „pomyłkowe” widzenie z Billym. Prawda jednak była taka, że nie czuł się jeszcze gotowy na ponowne spotkanie – a już na pewno nie w więzieniu. Nie był gotów na odparcie serii żądań, które sprowadziłyby się do tego, żeby znaleźć mu wpływowego adwokata lub przekonać sędziego do przemyślenia sprawy kaucji. A już na pewno nie był gotów na przyjęcie pustego spojrzenia, jakim Billy go obrzucił na ulicy Suffolk.

Zamiast tego o 4.30 poszedł do biura i pograżył się w pracy, jak zwykle, gdy usiłował pochować to, co było w nim martwe, i to, co w nim umierało, gdy zajmował się łowami na mordercę. Przekopywał się przez akta FBI i lokalnej policji dotyczące każdego z zabójstw i czytał wszystko, co mógł znaleźć w sieci na temat Czaszki i Kości. Wielokrotnie też przeglądał listę Suttona.

Nazwiska z listy nie przestawały go zaskakiwać: Henry R. Luce, fundator i założyciel Time-Life; Dean Witter, bankier i inwestor, Russell Davenport, wydawca czasopisma „Fortune”; Harold Stanley, założyciel banku inwestycyjnego Morgan Stanley; sędzia Sądu Najwyższego Potter Stewart; Dino Pionzio, jeden z zastępców szefa CIA; Richard Gow, prezes Zapata Oil; kongresman Jonathan Bingham, senator John Chaffee, kolejni ambasadorowie w Chinach John Lilley i Winston Lord.

Podstawową zasadą stowarzyszenia była lojalność. O oddaniu i poświęceniu jego członków krążyło wiele opowieści. Syn jednego z członków wspominał, że kiedy po raz pierwszy ujrzał swego ojca w kąpielni, zobaczył wytatuowany na jego piersi emblemat Czaszki i Kości.

Kiedy myśli o Billym wzięły górę nad koncentracją, Clevenger stwierdził, że chętnie by się napił, wziął więc kolejną porcję Esperalu. Wiedział, że większość osób leczących się z uzależnienia gardzi tym środkiem i nazywa go kulami, ale Frank, który już tyle razy upadł i tak mocno się potłukł, doszedł do wniosku, że kule są chyba właściwym rozwiązaniem.

O 13.00 siedział w biurze Andersona i usiłował się skupić na tym, co mówił jego partner.

– Zadzwońłem do rodzin dwóch ofiar w Connecticut – powiedział Northowi. – Obie

zbudowały nowe domy, jedna przed dziewięciu laty, druga siedem lat temu. A Hastingsowie z Montany zbudowali sobie letnią rezydencję w Parrot Cay na Turks i Caicos. Nikt z nich jednak nie powiedział, kto był autorem projektu. Wszyscy podpisali umowę o zachowaniu nazwiska architekta w tajemnicy.

– Co ważniejsze, wszyscy należą do Czaszki i Kości – stwierdził Anderson. Przerwał na chwilę. – Sprawdziłem w wydziałach budownictwa Southampton, San Francisco, Chicago i Miami. Każdy projekt był zatwierdzony przez innego architekta. Dwaj mężczyźni, dwie kobiety.

– I... – ponaglił go Clevenger.

– Żadne z nich nie figuruje na liście Amerykańskiego Instytutu Architektów ani gdziekolwiek indziej. Nie ma ich na żadnej liście stowarzyszeń architektów. Nic. Oni nie istnieją.

– Ale czy nie trzeba pokazać jakiegoś dokumentu podczas zatwierdzania projektu?

– Zwykle wszystko załatwiają główni wykonawcy, niekiedy sami właściciele posiadłości; każdy, kto załatwia zezwolenie na budowę. Nigdzie zresztą nie jest powiedziane, że inwestor musi się spotykać z architektem.

– A co z listą Suttona? Patrzyłeś, ilu jest na niej architektów?

– To może być nasza nić. Wynająłem dwóch pomocników. Na razie znaleźli ośmiu architektów. Wytropienie ich zajmie mi drugą połowę dnia.

– Podzielmy się – zaproponował Clevenger.

– Niezła myśl – odparł Anderson. Wyjął z teczki kartkę. – Roger Grains, Manhattan. Johnson Aleksander, Filadelfia.

West Crosse, też z Manhattanu. John Bradford, Londyn.

Farleigh Smith. Ten mieszka tu, w Bostonie. Dennis Jay z Dallas w Teksasie. Paul Midland z Los Angeles. I na koniec, choć nie ostatni, Christopher Heinz z Waszyngtonu.

Weźmiesz pierwszą połowę, a ja drugą?

– Zgoda.

Przedarł kartkę na połowę i podał jedną część Clevengerowi.

– Crosse jest jedynym, którego adresu nie zdołaliśmy ustalić.

Powiedziałem, że jest z Manhattanu, bo przez kilka lat pracował w biurze projektów Jones & Alison Design. Ale żadna z osób, z którymi rozmawiałem, nie umiała powiedzieć, dokąd się udał potem. Nie znalazłem go też w żadnej bazie danych ani w żadnym innym spisie.

– To ciekawe...

– Też tak sobie pomyślałem.

– Zacznę od niego – stwierdził Clevenger. – Jeżeli ci twoi pomocnicy dadzą nam nowe nazwiska, nimi też możemy się podzielić.

– Zadzwońię do Aarona Kaplana i powiem, że przyjmujemy go do zespołu. On niekiedy bywa jak wrzód na dupie, ale jest niezmordowany.

– Z tą kombinacją mam do czynienia codziennie.

– Zaczę od Smitha, bo jest na miejscu – oznajmił Anderson.

– Potem mam zamiar sprawdzić Dennisa Jaya w Teksasie.

– Dlaczego właśnie jego?

– Bo oni tam kochają się w karze śmierci. Wykonali egzekucję na Karli Faye Tucker, kobiecie, która w więzieniu narodziła się na nowo i stała inną osobą. Nawet papież prosił o jej ułaskawienie.

– Nie jestem pewien, czy nadażam za tokiem twoich myśli – stwierdził Frank.

– To proste: gdybym był mordercą, byłbym za zabijaniem odparł Anderson. – Może nie tkwiłoby to we mnie tutaj – wskazał głowę – ale z pewnością tutaj. – I dotknął dłonią piersi.

Rozdział 36

Była 16.00 i Clevenger właśnie miał zamiar wsiąść na pokład US Air Shuttle lecącego na lotnisko do LaGuardia, kiedy zadzwoniła jego komórka. Whitney.

– Hej! – odpowiedział.

– Gdzie jesteś? – zapytała z troską w głosie.

Nagle zdał sobie sprawę z faktu, że stracił do niej zaufanie, gdy dowiedział się, że jej ojciec należy do Czaszki i Kości.

Może i był na poły paranoikiem, który wierzy w szaloną spiskową teorię dziejów, nie mógł się jednak zmusić do tego, żeby powiedzieć jej o rozmowie z Laine'em Jonesem, starszym współnikiem w firmie Jones & Alison Design i że leci do Nowego Jorku.

Jones udzielił mu uprzejmej odpowiedzi na jego prośbę o informacje na temat Westa Crosse'a. Chciał się upewnić, że Clevenger jest tym, za kogo się podaje. Umówili się na drinka w hotelu Pierre na Piątej Alei o 18.30. Na szczęście na myśl o drinku po połknięciu tabletki Esperalu Clevenger natychmiast wyobraził sobie, że pada trupem lub tak rzyga, że wołałby umrzeć. Psychiatrzy mają takie stare powiedzenie: nikt nie przeżył dwóch reakcji antabusowych. Albo zdechniesz, albo się oduczysz pić.

– Frank, czy ty mnie słuchasz? – zapytała McCormick.

– Jestem w Bostonie – odpowiedział i na tym poprzestał.

– Odwiedzasz Billy'ego?

– Nie – stwierdził. – Zdarzyło się wiele rzeczy. On nie jest już na odwykówce.

– Wiem, dlatego dzwonię.

– Wiesz?

– Właściwie to wiem więcej od ciebie.

W jej głosie zadźwięczało zakłopotanie lekarza, który właśnie przynosi pacjentowi złe wiadomości.

– Whitney, co się, u diabła, dzieje?

– Tu w Massachusetts pojawił się cały stos aktów oskarżenia. Dobieramy się do Royalsów, tego gangu, z którym związał się Billy. Jest jeszcze inny gang, Night Game, z Lynn i Somerville. Rozprowadzanie heroiny. Na tej liście jest nazwisko Billy'ego.

– Co takiego? – zapytał.

– Oni wiedzą, że Billy siedzi w Nashua Street, ale teraz oskarży się go też o przestępstwo federalne. – Odetchnęła głęboko. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, że został aresztowany?

– To poszło tak szybko...

– To prawda. Przetarł oczy.

– Nie wiem... Myślę, że chciałem jakoś to oddzielić od tego, co jest między nami.

– Mówię ci, że wszystko w porządku. Zrobiłeś dla niego to, co powinieneś być zrobić. My to zupełnie inna historia.

Ale obie historie się jakoś łączą... Zawsze się łączyły.

– Ile zarzutów obejmuje akt oskarżenia? Zawahała się.

– Po prostu mi powiedz.

– Dziewięć.

– Szlag by trafił. – Clevenger poczuł zawrót głowy. Dziewięć punktów w akcie oskarżenia o rozprowadzanie narkotyków mogło się zamienić w dwadzieścia lat federalnego pierdła.

– Jeżeli pójdzie na współpracę i pomoże zidentyfikować ludzi, którzy stali wyżej w hierarchii gangu, zmieni to przelicznik.

Wiem, że ani dla niego, ani dla ciebie to nie jest najlepszy czas na takie rozważania, ale to by mu pomogło.

Przelicznik. Choć Sąd Najwyższy zmienił wreszcie sadystyczne i sztywne federalne zasady wymierzania wyroków, które rozdzielały dziesięcioletnie wyroki niczym batoniki, wielu z sędziów nadal posługiwało się tym systemem do obliczania wyroków w sprawach o rozprowadzanie narkotyków. Wedle tego systemu oskarżony dostawał pewną liczbę punktów za każde złamanie prawa, sędziowie odejmowali lub dodawali i kilka punktów w zależności od liczby dealerów, potem przesuwali palec o kilka kolumn dalej i odczytywali, ile lat oskarżony ma spędzić w więzieniu – uwzględniając jeszcze takie czynniki, jak niekaralność czy stosowanie przemocy przez delikwenta. Żadnych rozważań godnych Salomona. W tym systemie sprawiedliwość można było wymierzać kalkulatorem.

– Nie wiem, czy Billy zechce pójść na współpracę – odezwał się Clevenger. – Czuję się tak, jakbym w ogóle go nie znał.

– DEA wysłało notatkę prasową do „Globe” i „Heralda” – powiedziała Whitney. – A Billy ma taki publiczny wizerunek... no wiesz, adopcja i tak dalej, cały ten szum prasowy... Wszyscy będą patrzeć wszystkim na ręce.

– Na to się już nic nie poradzi.

– On naprawdę potrzebuje teraz prawnika. I naprawdę potrzebuje ciebie.

– Zobaczmy, czego potrzebuje.

– Chciałabym móc coś zrobić w tej sprawie. Czuję się podle.

Mówiła tak, jakby naprawdę podle się czuła.

– Dobrze, że wiem, co jest grane – odparł. – I dobrze, że to ty mi o tym powiedziałaś.

– Chcesz, żebym dziś wieczorem przyleciała?

– Myślałem, że masz się z kimś zobaczyć.

– Nie powinieneś przechodzić przez to wszystko samotnie.

Nie była to odpowiedź na jego pytanie. I z jakiegoś powodu Clevengerowi nie podobała się myśl, że Whitney proponuje przyjazd w chwili, kiedy wyglądało na to, że Billy zostanie klientem federalnego systemu penitencjarnego.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby sobie to wszystko poukładać w głowie.

– Nie ma sprawy. – Zabrzmiało to nieco sztywno.

– Chodzi o to, że...

– Doskonale rozumiem. Naprawdę. Nie powinnam się wtrącać. Nie jestem matką ani w ogóle...

Zabrakło mu słów.

– Jak pojawi się coś nowego, zadzwoń do mnie, dobrze?

Cokolwiek. W sprawie Billy'ego albo w jakiejś innej.

– Na pewno zadzwonię. – Ponownie uderzyła go myśl, że nie powiedział jej o Crossie, o innych architektach ani o tym, że leci na spotkanie z Laine'em Jonesem.

– Uważaj na siebie – poprosiła.

– Ty też. – Przerwał połączenie.

Rozdział 37

Laine Jones był wysokim, majestatycznie szczupłym mężczyzną około pięćdziesiątki, o kędzierzawych włosach koloru grafitu, orzechowych oczach ze złotymi plamkami i szerokim czole znamionującym inteligencję. Miał zwyczaj przez kilka chwil obserwować rozmówcę po każdej swojej wypowiedzi, jakby chciał uchwycić jego prawdziwą reakcję na swoje słowa. A jednak jego spojrzenie nie zbijało z tropu. Przeciwnie, budziło zaufanie i dawało słuchaczowi poczucie wartości.

Miał na sobie proste spodnie w kolorze khaki, białą koszulę, a na bosych stopach brązowe markowe mokasyny. Nie musiał się już elegancko ubierać, żeby podkreślić, iż osiągnął sukces. Jako wzięty architekt mógł wybierać klientów z listy, która wyglądała jak strona wyrwana z amerykańskiego wydania Who is Who.

– Rad jestem, że okazał się pan człowiekiem, za którego się pan podał – powiedział, obejrzawszy dyplom Clevengera i oznakę śledczego sądowego. Miał łagodny, dobrze ustawiony głos. Skinieniem dłoni wezwał kelnera.

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego tak się pan interesuje Western Crosse'em?

– Jest członkiem Czaszki i Kości – odparł Clevenger. – Podejrzewamy, że morderstwa mają jakiś związek z tym stowarzyszeniem.

– Czy West jest podejrzany? – Jones nie spuszczał z niego wzroku.

– Nie – odpowiedział szybko Frank. – Jest jedną z wielu osób, które sprawdzamy, żeby usunąć je z listy podejrzanych.

– Semantyka – uśmiechnął się Jones. Podeszedł kelner.

– Co dla panów?

– Lampkę merlota, proszę – odezwał się Jones. – Dziewięćdziesiąty siódmy, Three Nuns.

– Dla mnie kawa – zamówił Clevenger. – Dwa tysiące pięć, czarna.

Jones parsknął śmiechem.

– Dziękuję panom – skwitował kelner i odszedł.

– Co może mi pan powiedzieć o Crossie? – Frank przeszedł do rzeczy.

– To geniusz – stwierdził Jones. – Przeszedł do nas wkrótce po ukończeniu studiów architektonicznych i pracował mniej więcej przez pięć lat. Był najlepszym architektem, jakiego kiedykolwiek widziałem albo zobaczę.

– Z wyjątkiem tu obecnego oczywiście.

– Nie. Był lepszy ode mnie.

– Co sprawiało, że był tak dobry? – zapytał Clevenger.

– Wiedział, jak korzystać z przestrzeni, żeby tworzyć życie. To potrafią tylko nieliczni.

– Mógłby mi pan to wytłumaczyć? Jones położył dłonie na stole.

– Co to jest?

– Stół.

– Proszę mówić dalej.

– Drewno – dodał Clevenger. – Prostokąt. Wymiary, mniej więcej sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów, grubość około siedmiu centymetrów.

– Owszem, to drewno. – stwierdził Jones. – I ma te wymiary, o których pan wspomniał. Ale oczywiście to coś znacznie więcej.

– No dobrze, poddaję się – rzekł Clevenger.

– Pomaga nam być ludźmi.

– Ludźmi? Niby jak?

– Zacznijmy od tego, że oddziela nas od siebie. Siedzimy dostatecznie daleko, żeby czuć się wygodnie, ale nie na tyle, żeby odczuwać samotność.

– Myślę, że mógłbym się z tym zgodzić.

– Ale nie stał się taki sam z siebie. Ktoś musiał podjąć decyzję, że będzie właśnie taki. Krótszy nadawałby się na romantyczne spotkanie, ale z pewnością nie do rzeczowych rozmów. Dłuższy i szerszy byłby pomocny, gdybyśmy mieli ze sobą jakieś dokumenty, ale to miejsce nie sprzyja takiej pracy. Tu mają się toczyć rozmowy. – Musnął drewno palcami. – Ciemne zabarwienie sugeruje pewną powagę. Mówi o tym, że jest to przestrzeń przeznaczona do poważnych rozmów, doskonale się wpisująca w charakter hotelu.

– A to ci dopiero stół – mruknął Clevenger. Jones podniósł palec.

– Nie tylko o to chodzi. Proszę zwrócić uwagę na to, jak jest ustawiony w pomieszczeniu. Na tyle daleko, żeby inni ale nie aż tak, żeby nas odizolować od reszty gości. – Skinieniem głowy wskazał główne przejście pomiędzy stolikami restauracji. – Jest tu tyle miejsca, że każdy, kto zechce, może do nas podejść, ale z drugiej strony tyle luzu, że obcy mogą nas mijać, nie czując potrzeby zauważania naszej obecności. Nasi znajomi mogliby nawet udać, że nas nie widzą, i pójść swoją drogą. Ktoś to starannie przemyślał i postanowił, że tak właśnie ma być. – Spojrzał w górę. – Sufit.

Cudownie wysoki, ale jednocześnie bogato zdobiony. Ciągnie wzrok ku górze. Możemy snuć górnolotne rozważania, ale kopuła sklepienia zamyka nas i każe trzymać się ziemi. Czujemy uniesienie, ale jednocześnie spokój. – Przerwał i spojrzał na Clevengera. – Powinien pan zwrócić uwagę na to, że nie czuję potrzeby podnoszenia głosu czy zniżania go do szeptu. Nie obawiam się, że moje słowa do pana nie trafią ani że siła mojego głosu wzbudzi w panu irytację. To sprawa akustyki. Mówię o najbardziej głębokim znaczeniu słów. One działają na pana. Skłaniają raczej do dialogu niż do milczenia. I ktoś...

– ... postanowił, że tak właśnie będzie. Rozumiem. Jones kiwnął głową.

– To dobrze. Rozumie więc pan, co możemy osiągnąć w architekturze i co West Crosse opanował na znacznie większą skalę. On potrafił sprawić, że przestrzeń ożywała i pielęgnowała toczące się w niej życie.

– Musiał być pan ogromnie rozczarowany, gdy opuścił firmę – stwierdził Clevenger.

– Nie – odparł Jones. – Wcale nie byłem rozczarowany.

Zwolniłem go.

– Dlaczego?

Kelner przyniósł wino i kawę. Podziękowali i poczekali, aż odejdzie.

– Nie pije pan? – zapytał Jones.

– Nie dzisiaj.

– Ach. Jest pan „czysty”?

– Od niedawna.

Gratuluje. – Jones spojrział na swoje wino. – Przykro mi, że to zamówiłem.

– Nie, wszystko w porządku. Powiem panu coś o alkoholikach: skupiamy się wyłącznie na sobie. Nigdy nie dbamy o to, co piją inni, myślimy tylko o tym, czego my moglibyśmy się napić. Ja nie mogę, i to wszystko. Koniec, kropka.

Jones upił łyk wina. Oblizawszy wargi, pokręcił głową.

– Niedobre? – zdziwił się Clevenger.

– Fantastyczne. – Skinął na kelnera. – Nie chcę tego pić.

– Powiedziałem panu...

– Nie uwierzyłem ani jednemu słowu z tego steku bzdur.

Jeżeli ten trunek jest dla pana trucizną, nie ma dla niego miejsca na naszym stole. Koniec, kropka.

Podszedł kelner.

– Rozmyśliłem się – stwierdził Jones. – Proszę to zabrać i podać mi kawę. Z mlekiem, jeżeli można.

– Bardzo proszę – odparł kelner i zabrał wino.

Teraz Clevenger obserwował uważnie Jonesa, szukając oznak nieszczerości. Nie znalazł.

– O czym mówiliśmy? – zapytał Jones.

– O Crossie. Zwolnił go pan.

– A tak. Zapytał pan, dlaczego to zrobiłem, więc powiem panu bez ogródek: zwolniłem go, bo był artystą.

– No, teraz to już niczego nie rozumiem – przyznał Clevenger.

Kelner postawił na stole kawę. Jones upił niewielki łyk.

– Pisarz lub poeta mogą być ludźmi nieuznającymi kompromisów. Płótno czy papier są ich

własnością. Architekt jednak zawsze jest współautorem. Trzeba uszanować potrzeby i żądania klienta. Odnosi się to do ich lęków, dziwactw, skąpstwa... wszystko to musi zostać uwzględnione w projekcie.

– Zbyt mocno ich naciskał?

– Wdeptywał ich w ziemię. Zadowalała go jedynie perfekcyjna przestrzeń, która zrewolucjonizowałaby styl ich życia i pracy.

Pewien był, że jego projekty zmienią ich egzystencję, i wierzył, iż wydadzą ostatni grosz na zrealizowanie jego projektu. Wszechświat miał im odpłacić, dając znacznie więcej, niż włożyli w budowę. Niektórych doprowadzał do bankructwa, inni się przez niego rozwodzili. Jeden z naszych ekscentrycznych klientów, który zamierzał zbudować sobie azyl na koniec życia, wpakował mnóstwo grosza w budowę kompletnej kamiennej fortecy łącznie z fosą, którą West zaprojektował w Rye. Skończył w więzieniu. Była para, która oddała swoich synów bliźniaków do adopcji po tym, jak West zaprojektował ich dom tak, żeby znów odnaleźli siebie i swoje dawne uczucia. Był to zaadaptowany na cele mieszkalne skład, w którym była tylko jedna sypialnia. – Jones upił kolejny łyk kawy. – W tym interesie można grać udręczonego artystę, ale tylko do pewnego punktu. Kiedy człowiek zaczyna dręczyć klientów, posuwa się za daleko.

Clevenger przypomniał sobie wspaniałe domy, które odwiedzał z magicznymi, gościnnie otwartymi wejściami, bibliotekami skłaniającymi do refleksji, szklanymi sufitami, które pozwalały myślom wędrować wyżej i wyżej niczym światło. Przypomniał sobie ich mieszkańców, którzy nie okazywali żalu, kiedy ich życie zostało zmienione – zaaranżowane od nowa? – przez morderstwo.

– Ale czy on nie miał jednak racji? – zapytał Jonesa.

– Racji? W czym?

– W swoich planach. Czy nie poznawał klientów tak dobrze, że to, co dla nich projektował, miało moc uwalniania ich od trosk, których istnienia nawet nie podejrzewali?

– Dla niektórych tak. – Jones skinął głową, jakby przytakując swoim myślom. – Mógłbym rzec, że dla wszystkich, gdyby nie jedna sprawa.

– Jaka?

– Oni byli ludźmi. Clevenger uważnie słuchał.

– Człowiek może całkowicie odnowić budynek lub udoskonalić szkic architektoniczny – ciągnął Jones. – No, może się zbliżyć do doskonałości. Ludzi jednak nie da się przeprojektować. Trzeba zrozumieć, skąd pochodzą, trzeba pojąć ich historie i lęki, a nie tylko przewidzieć, dokąd mają pójść.

Niekiedy mogą istotnie tam dotrzeć, ale czasami żądamy od nich zbyt wiele, a bywa, że żądanie przychodzi w niewłaściwym momencie. Jestem pewien, że jako psychiatra doskonale pan to rozumie. Clevenger pomyślał o Billym.

– Rozumiem to jako psychiatra i jako... – omal nie dodał:

„... jako ojciec”, nie był jednak pewien, czy może uchodzić za ojca po tym jednym spojrzeniu, które Billy rzucił mu poprzedniego wieczoru. I nie w sytuacji, kiedy chłopak musi stawić czoło perspektywie spędzenia kilku dziesięcioleci w federalnym więzieniu. – ... jako istota ludzka.

– A West nie mógł tego zaakceptować – stwierdził Jones. – Nawet w swoim domu.

– W domu?

– To nie jest miła opowieść. – Jones urwał na chwilę. – Porzucił swoją żonę, Lauren, gdy zachorowała. To było mniej więcej siedem lat temu.

– Zachorowała?

– Rak piersi.

– Wyszła z tego?

– O tak. Przeszła przez piekło, ale zwyciężyła chorobę. To bardzo dzielna kobieta.

– Więc kiedy ją porzucił?

– To właśnie jest interesujące. Był z nią, gdy przeprowadzono mastektomię i później, podczas chemioterapii i tak dalej. Nie mógł jednak znieść fizycznej niedoskonałości, jaką zostawiła choroba. Mówił o tym ze mną zupełnie otwarcie. Lauren przeszła trzy operacje rekonstrukcji piersi, jednak rezultaty nigdy go nie zadowolily. Był tym jakby opętany.

– Mieli dzieci?

– Nie. Kiedy ją porzucił, była jeszcze młoda, miała dwadzieścia osiem lat. Na domiar wszystkiego była też modelką, choć skończyła filozofię na Yale.

– Czy ona wyszła ponownie za męża? Jones skinął głową.

– Niedługo potem, jak odszedł z firmy.

– A on?

– O ile wiem, to nie. Nie widziałem go ani nie miałem od niego żadnych wieści, ale wątpię, żeby zechciał ponownie podjąć ryzyko.

– Czy tak ciężko przeżył jej ponowne zamążpójście?

– Nie. – Jones uśmiechnął się. – Ale nie to chciałem powiedzieć. Myślę, że nie chciał być ponownie zawiedziony przez naturę, biologię czy cokolwiek innego. Poślubił modelkę z idealnymi piersiami, a potem się okazało, że jedną z nich trzeba jej usunąć i że żaden chirurg na świecie nie odtworzy tego, co stworzył Bóg. A West chciał mieć jeszcze większą kontrolę nad wydarzeniami. Znacznie większą.

– Wie pan, gdzie mógłbym znaleźć Lauren?

– Oczywiście. – I mrugnął wesoło. Clevenger spojrzał nań z pytaniem w oczach.

– Nie rozumiem?

– Proszę wpaść do nas o dwudziestej pierwszej. Park Avenue pięćset sześćdziesiąt dwa.

Powinniśmy już być po kolacji. Dzieci będą spały.

– Przepraszam, ale nadal nie rozumiem?

– Frank, to ja ją poślubiłem. Cztery i pół roku małżeństwa, dwójka dzieci i nigdy tego nie żałowałem. – Jones zwrócił się do Clevengera po imieniu i przez chwilę patrzył mu w oczy. – Pytałeś, czy West znał swoich klientów na tyle dobrze, że jego szkice mogły naprawdę zmienić ich na lepsze, nawet jeżeli oni sami w pierwszej chwili tego nie widzieli?

– Owszem.

– Wiesz, to dziwne, ale wydaje mi się, iż on od początku wiedział, że ja i Lauren się zejdziemy. Zastanawiałem się nieraz, czy nie opowiadał mi o niej, o tym jak dzielnie walczyła z chorobą, o jej inteligencji, by mnie zaintrygować.

Sposób, w jaki mówił o tym, jaką jest wspaniałą kochanką, jakie ma wyczucie, jak bliskie doskonałości jest jej ciało, nawet po tych operacjach chirurgicznych... Zastanawiałem się, czy jego zwolnienie z firmy było w istocie moim pomysłem czy jego, kiedy poczuł, że jest gotów zniknąć i zerwać wszystkie więzy.

– Sądysz, że był aż takim dobrym architektem? – zapytał kpiąco Clevenger.

– On był architektem przez duże A. Gdyby to mu wystarczyło, gdyby nie zechciał zostać Bogiem, mógłby się stać jednym z największych architektów wszystkich czasów.

Rozdział 38

Clevenger, zwykle otoczony brzydotą, odkrył, że z trudem się powstrzymuje od gapienia się na Lauren Jones. Ze swoim giętkim ciałem tancerki, jasnymi prostymi włosami, nieskazitelną cerą, błękitnymi oczami, wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi i pełnymi wargami była wcieleniem piękna. Stała przed nim bosą w dżinsach przetartych na jednym kolanie i w mocno wydekoltowanym czarnym trykocie. Było to jednak tylko pierwsze wrażenie. Rozbrajały gości łagodność w jej spojrzeniu, wdzięczne wygięcie szyi, sposób, w jaki lekko przechylała głowę na bok, gdy słuchała, błysk zainteresowania w oczach, uprzejmość i inteligencja. Nawet jej głos brzmiał wyjątkowo – była w nim pewność siebie, ale i nieco uwodzicielski ton lekkiej skargi, jakby właśnie tu i teraz potrzebowała ramienia, żeby się na nim wypłakać, i jakby brała pod uwagę ewentualność, że będzie to twoje ramię.

Jonsonowie zaprosili Clevengera do gabinetu. Apartament zajmował czterysta sześćdziesiąt metrów kwadratowych. Ściany gabinetu były pomalowane na ciemnoczerwony kolor, a podłogę wyścielał złotoczerwony dywan. Ozdobą pomieszczenia były obrazy Matissea, Picassa, a także młodszych artystów o znanych już dobrze nazwiskach, takich jak Julian Schnabel czy Brian Ferrell. Podłoga z szerokich dębowych desek była obramowana inkrustowanymi gniazdami z brązu.

Lauren opisała właśnie kruczają, jaką podjął jej były mąż West Crosse, żeby odtworzyć jej ciało po mastektomii – zabierał ją w tym celu do najlepszych specjalistów od chirurgii plastycznej na Manhattanie, a potem w Paryżu i Mediolanie.

– Byłam szczęśliwa, że żyję, i wcale mnie nie obchodziło, czy wyglądam dokładnie tak jak przedtem, ale znałam Westa. Nie chciał się pogodzić ze wspomnieniami tego, przez co oboje przeszliśmy, a z pewnością nie mógł zaakceptować tego, że moje ciało przypominało mu moje cierpienie. Chciałam mu pomóc przebrnąć przez to wszystko, tak jak on mi pomagał, gdy byłam chora.

„... przez co oboje przeszliśmy... ” „tak jak on mi pomagał... ” – wciąż była gotowa mu wiele wybaczyć.

– A dlaczego nie mógł się z tym pogodzić? – zapytał Clevenger.

– Myślę, że miał dość brzydoty, gdy dorastał – odpowiedziała Lauren.

– To znaczy?

– Chodzi o jego ojca – odparła.

Ojcowie i synowie. Grzechy jednego pokolenia odciskające się na następnym. Clevenger znał to z własnych doświadczeń, ale teraz przypomniano mu to ponownie. „Na świecie nie ma

pierwotnego zła. Każdy przekazuje po prostu ból, który kiedyś przeżył".

– Co z jego ojcem?

– Kiedy West miał siedem lat, jego ojciec zachorował na polio. I został kaleką do końca życia.

– Do końca życia jeździł na wózku inwalidzkim – dodał Laine Jones. – Wykończyło to rodzinę finansowo. Byli tak biedni, że nie zawsze mieli co włożyć do garnka.

– Nie chodziło jednak tylko o pieniądze – stwierdziła Lauren.

Clevenger słuchał uważnie.

– Jego ojciec się zmienił – ciągnęła. – Czuł swoją bezsilność i usiłował pokazać, że jest mocny jak dawniej. Kontrolował wszystko i wszystkich dookoła. West był tylko dzieckiem.

Dorastał, bojąc się wyłączyć światło lub otworzyć lodówkę bez pozwolenia. Jego ojciec każdego ranka sprawdzał, czy idąc do szkoły, jest właściwie ubrany. I tak to trwało, dopóki West nie skończył szesnastu lat. I pił. A gdy pił, bił matkę Westa.

– A West nie mógł jej obronić – stwierdził Clevenger.

– Ani jej, ani siebie – uściśliła Lauren. – Choroba spadła jak grom z jasnego nieba, okaleczyła jego ojca, zniszczyła mu rodzinę, a on nie mógł nic zrobić. Błagał matkę, żeby porzuciła ojca i odeszła z nim razem. Ona jednak nie chciała tego zrobić, więc wszyscy cierpieli. West zawsze czuł, że mógłby osiągnąć w życiu znacznie więcej, gdyby ona miała dość odwagi, żeby odejść.

– Jak on to ujmował? – zapytał Jones. – Nie mogę sobie tego dokładnie przypomnieć. – Spojrzał na Clevengera. – To było naprawdę przerażające i nienormalne.

Clevenger zastanawiał się do tej pory, dlaczego Jones tak skwapliwie zaprosił go do domu i poznał z żoną. Teraz to zrozumiał. Jonesowi podobała się myśl, że Crosse może być potworem. Chciał, żeby jego żona usłyszała, że były mąż może być podejrzanym w sprawie seryjnych morderstw – prawdopodobnie podejrzewał ją o to, iż jej miłość do Westa Crosse'a nigdy do końca nie wygasła.

Może tak było w istocie. Może plan Crosse'a w stosunku do Laine'a i Lauren Jonesów miał jeden istotny feler: Laine nie był Western.

– Powiedział to tylko raz – stwierdziła Lauren tonem usprawiedliwienia. – Nie jestem pewna, czy zareagowałam właściwie.

– Może mi pani powiedzieć. Słyszałem już wszystko – uspokoił ją Clevenger. Wciąż jeszcze się wahała.

– Powiedz mu – ponaglił ją mąż. – To ważne. Mówimy o siedmiu morderstwach.

– Powiedział... – urwała, wzruszyła ramionami i przechyliła głowę na swój uroczy sposób. – Powiedział, że on i jego matka żyli z trupem tylko dlatego, iż ona nie miała dość ikry, żeby go pogrzebać.

To było interesujące, zwłaszcza w świetle faktu, że morderca nigdy nie chował swoich ofiar.

– I co mu pani powiedziała?

– Powiedziałam mu, że powinien odwiedzić psychiatrę – odparła z nikłym uśmiechem.

– Na mnie chyba już czas – stwierdził Frank. – Jak mógłbym go znaleźć?

– Nie mamy pojęcia – odpowiedziała Lauren. Clevenger nie odrywał od niej wzroku.

– On po prostu zniknął – wtrącił Jones. – Mieliśmy kilku bardzo zdecydowanych klientów, którzy koniecznie chcieli go odszukać. O ile wiem, żadnemu z nich się to nie udało. Clevenger spojrzał na piersi Lauren, zaraz potem jednak ponownie popatrzył jej w oczy.

– Zapytam z ciekawości, czy pani trzeci zabieg chirurgiczny był ostatnim?

– Nie rozumiem...

Zastanawiałem się, czy zdecydowała się pani jeszcze na jakieś operacje po tym, jak nie powiodło się pierwszemu mężowi. Czy nadal była pani po prostu szczęśliwa, że żyje?

– A co to ma wspólnego z... – zaczął Jones.

Tak naprawdę nie chcesz wiedzieć, pomyślał Clevenger, gdy Jones urwał.

W oczach Lauren Jones na krótko pojawił się zimny gniew – nikła wskazówka, że jest ludzką istotą podlegającą uczuciom tak jak wszyscy, a nie nieskazitelną boginią.

– Potem przesłałam jeszcze dwie operacje – odpowiedziała. – Myślę, że otrząsnęłam się z szoku, jaki przeżyłam, gdy uświadomiłam sobie, że jestem śmiertelna. Znalazłam w sobie dość sił, żeby ponownie pomyśleć o swoim ciele.

– Nie ma w tym niczego nienormalnego – stwierdził Laine Jones.

– Oczywiście – przyznał Clevenger. – Znalazła pani odpowiednich chirurgów w Stanach?

– W Argentynie – odparła. – W Buenos Aires.

– Pojechaliście razem? – zapytał Clevenger. – Piękne miasto. Byłem tam dwa razy. Za każdym razem zatrzymałem się w El Porteno. Ten hotel jest jak fabryka.

– Cudowne, nieprawdaż? – zapytała Lauren Jones. – Projektował go Phillippe Starek. Bardzo bym chciała, żeby Laine mógł go zobaczyć. – Spojrzała na męża z miłością w oczach. – Pojechałam sama. Nie była to sprawa, którą chciałoby się załatwiać we dwoje.

Chyba że towarzyszem byłby West Crosse, pomyślał Clevenger. Z tamtym jeździła do chirurgów w Mediolanie i Paryżu.

– Jeszcze tam pojedziemy – obiecał żonie Jones.

– A propos... kto panią operował w Buenos Aires? Mam przyjaciela, który wiele by dał za rekomendację.

Ponownie się zawahała.

– Vega, nieprawdaż? – podsunął Laine.

– Oczywiście – odpowiedziała, kręcąc głową. – Może to ja powinnam skorzystać z usług psychiatry. Moja pamięć nie jest już taka jak kiedyś. Enrique Vega.

– On jest uważany za jednego z najlepszych chirurgów plastycznych na świecie – stwierdził Laine. – Zasięgałem opinii u tutejszych lekarzy. Jeden z nich wyłożył to bardzo obrazowo. Jeśli byłeś u Enrique'a, pozostaje ci już tylko zamówić wizytę u Pana Boga.

– Czy to usprawiedliwiona opinia? – zapytał Frank. – Nie, żebym chciał być wścibski.

Lauren uśmiechnęła się i spojrzała na męża.

– Absolutnie tak – potwierdził. – Ten człowiek jest geniuszem.

– Mrugnął porozumiewawczo. – Na zawsze pozostanę jego dłużnikiem.

Rozdział 39

Clevenger zadzwonił do Andersona o 22.55, gdy tylko opuścił mieszkanie Jonesów.

– Jak ci poszło? – zapytał Anderson.

– Nie mam niczego oprócz domysłów i przeczuć. Ale ten Crosse z pewnością lubił urządzać na nowo życie innych ludzi. Jutro rano zamierzam przejrzeć u Jonesa jego projekty, żeby zobaczyć, czy nie wyglądają podobnie do tych, jakie wykonano dla Group manna i innych.

– Ten facet z Bostonu, Smith, niczego mi nie powiedział.

Udało mi się go dopaść w jego biurze na trzydzieści sekund.

Zaraz potem zadzwonił do mnie jego prawnik i powiedział, że wysłał mi kopie jego dokumentów podróży. Mam je. To rezerwacje na loty, kwity American Express i nawet dwa zaświadczenia pilotów i szefa hotelu w Stambule. Przez większą część minionego roku Smith pracował tam nad projektem, włączając w to długie okresy przed znalezieniem ciała i po.

– Nadal zamierzasz skoczyć do Teksasu? Mówię o Dennisie Jayu?

– Dzwoniłem do jego biura. On też wyjechał. Jest w Londynie. Ci ludzie dużo podróżują. Pojadę do Filadelfii.

– Mógłbyś mi pomóc w jednej sprawie dotyczącej Crossed.

– Strzelaj.

– Poznałem jego byłą żonę, Lauren. Wyszła za mąż za jego poprzedniego partnera, Laine'a Jonesa.

– Wszystko zostaje w rodzinie.

Z jakiegoś powodu Clevenger przypomniał sobie nagle treść posłania, które prezydent otrzymał od mordercy. „Miej wiarę. Jeden kraj bądź jedna rodzina naraz. Nasza praca służy jednemu Bogu”.

– Z pewnością jest to wygodne – powiedział Andersonowi. – Teraz jej nazwisko brzmi Lauren Jones. Powiedziała mi, że była w klinice chirurgii plastycznej w Buenos Aires, którą kieruje Enrique Vega. Podobno wykonał operację rekonstrukcji jej piersi po mastektomii. Chciałbym wiedzieć, czy to prawda.

– Zajmę się tym – obiecał Anderson.

– Może być problem z tajemnicą zawodową.

– Zadzwonię do żony, poproszę, żeby się podała za Lauren Jones i poprosiła o kolejną wizytę. Jeżeli tamci nigdy o niej nie słyszeli, dostaniemy odpowiedź.

– Rób, jak chcesz, byleśmy się dowiedzieli.

– Możemy poprosić FBI o kontakt przez Interpol. Jestem pewien, że tak czy inaczej będą

mogli dotrzeć do jej dokumentacji medycznej.

– Jeżeli Crosse jest tym, którego szukamy, chcę pchnąć sprawę tak daleko, żeby Whitney musiała ją pociągnąć dalej.

W przeciwnym razie obawiam się, że możesz mieć rację: w sprawę wdadzą się politycy.

– Jasne. Tylko ty i ja, brachu...

– Zawsze w końcu na to wychodzi – odparł Clevenger.

Przypomniało mu się coś innego. – Mógłbyś mi przesłać na komórkę kilka zdjęć ze scen zbrodni, szczególnie z przypadku Chase van Myer? – Mogą mi się przydać.

– Chcesz kogoś napełnić bojaźnią bożą?

– Ujmijmy to tak: kiedy jesteś piękny jak Lauren Jones, niełatwo ci sobie wyobrazić, jak paskudne bywa morderstwo.

Zobaczyć, znaczy uwierzyć.

Rozdział 40

17 sierpnia 2005,
godz. 7.05

Clevenger dopił drugą filiżankę kawy i wyjrzał przez okno cukierni. Ze swego miejsca widział drzwi wejściowe do budynku przy Park Avenue 562, w którym znajdowało się mieszkanie Jonesów. Zamówił trzecią kawę. Laine Jones zaproponował, żeby się spotkali o 8.00 w odległych o dwadzieścia kwartałów biurach firmy na Madison Avenue 222. Obiecał, że znajdzie kilka projektów Westa Crosse'a, żeby Clevenger mógł je sobie obejrzyć. Po dziesięciu minutach zobaczył Jonesa, który odjechał, usadowiwszy się na tylnym siedzeniu czarnego sedana. Frank wstał, zapłacił rachunek i przeciąwszy Park Avenue, podszedł do budynku 562.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał odźwierny.

– Chciałbym się zobaczyć z panią Lauren Jones.

– Kogo mam zgłosić?

– Doktor Clevenger.

Portier podniósł słuchawkę wmontowanego w ścianę telefonu i wybrał numer.

– Doktor Clevenger chciałby się z panią zobaczyć, pani Jones – powiedział portier, gdy ktoś się zgłosił. Słuchał przez chwilę, a potem przyłożył telefon do piersi. – Pan Jones właśnie wyszedł. Sądził, że panowie spotkają się u niego w biurze.

– Właśnie się tam udaję – potwierdził Clevenger. – Chciałbym tylko przedtem wpaść i zobaczyć się z panią Jones. To zajmie najwyżej kilka minut, jeśli oczywiście ma chwilę czasu.

Odźwierny przekazał prośbę, wysłuchał odpowiedzi i odwiesił słuchawkę.

– Apartament 17E – poinformował go. – Winda jest wewnątrz.

W tej chwili zadzwoniła komórka Clevengera. Spojrzał na ekran. North Anderson. Podziękował odźwiernemu i idąc ku windzie, odebrał telefon.

– Co nowego?

– Ci Argentyńczycy to bardzo mili ludzie. Moja żona dodzwoniła się osobiście do Enrique'a Vegi. Mówimy o wybitnym lekarzu. Poszukaj tego człowieka w google, a dowiesz się, że jest chirurgiem plastycznym gwiazd. Ale jest naprawdę ludzki. Sto razy przeproszał moją żonę, ale stwierdził, że nie pamięta, by operował jakąś Lauren Jones. Moja żona powiedziała mu, że niekiedy używa panińskiego nazwiska, Lauren Crosse. Ale i to nic mu nie mówiło. Poprosił nawet, żeby chwilę poczekała, i zapytał sekretarkę, czy kiedykolwiek zdarzyło mu się zapamiętać nazwisko pacjenta. Nie było takiego wypadku.

– Mniej więcej tak to sobie wyobrażałem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Obserwujący Clevengera odzwierni zaczynał się już niecierpliwić.

– Poczekaj, oddzwonię później – powiedział Frank Andersonowi.

– Dobra. Rozłączyli się.

Clevenger wjechał windą na siedemnaste piętro i podszedł długim korytarzem do mieszkania 17E. Zapukał. Po kilku chwilach otworzyła Lauren Jones. Miała na sobie biały jedwabny szlafrok, ale wcale nie wyglądała, jakby właśnie wstała. Idealnie ułożone włosy, doskonały dyskretny makijaż, perłowy naszyjnik i diamentowe kolczyki w uszach mówiły coś innego.

– Cóż za niespodzianka – uśmiechnęła się. – Proszę, niechże pan wejdzie. – Ruszyła w stronę kuchni. – Jeśli nie sprawi to panu kłopotu, proszę poczekać na mnie w salonie.

– Ależ skąd. – Clevenger wszedł do salonu, który był bardziej biblioteką niż bawialnią. Na jednej jego ścianie był kominek, pozostałe były pomalowane na pomarańczowożółty kolor na wysoki połysk, ozdobione zwierzęcymi skórami i dużym malowidłem przedstawiającym dwa walczące łosie szczipione rogami. Na ciągnących się wzdłuż ścian regałach stało mnóstwo książek i fotografii w srebrnych ramkach.

– Napije się pan czegoś?! – zawołała Lauren z kuchni.

– Nie, dziękuję. – Spojrzał na fotografie: wspaniałe czarnobiałe zdjęcia Lauren idącej samotnie plażą, bawiącej się z trzyletnią córeczką i czteroletnim synkiem w Central Parku i duży wizerunek całej szczęśliwej rodziny na żaglówce.

Wyglądały na zdjęcia, które kupuje się razem z ramkami – było w nich coś nierealnego, sztucznego.

Lauren zjawiała się z filiżanką herbaty i usiadła na kanapie obitej czerwonym aksamitem z poduchami ozdobionymi rodzinnym herbem.

– Proszę. – Wskazała mu miejsce na drugim końcu.

Clevenger usiadł.

– Chciał się pan ze mną zobaczyć, zanim pan porozmawia z moim mężem. – Jej głos był równie mocny, łagodny i proszący jak poprzedniego wieczoru.

Clevenger dosłownie nie miał ani chwili na pozbieranie myśli. Jej uroda była oszałamiająca.

– To prawda – stwierdził.

– Dlaczego?

Spojrzał na nią i zobaczył, że kołnierz szlafroka rozchylił się lekko, ukazując większą część piersi. Mógł dostrzec idealnie ukształtowany jasnobrązowy sutek. Ta kobieta była ożywionym greckim posągiem.

– Ponieważ uważam, że każda prawda ma swoją cenę – odparł. – Nie widzę powodu, dla którego miałaby pani płacić więcej, niż pani musi. Pani mąż nigdy się nie dowie o tym, o czym

teraz tu mówimy.

– Słucham? – Zmrużyła powieki.

– Wie pani, nie robię nic innego, tylko słucham rozmaitych opowieści. Wsłuchuję się, żeby stwierdzić, czy trzymają się kupy czy nie. A gdy mówiła pani o swoim małżeństwie z Crosseem, nie powiedziała pani, dlaczego z nim zerwała.

Rozumiem, dlaczego on odszedł z firmy i nawet dlaczego znikł wszystkim z pola widzenia. Ale nie mogę pojąć, dlaczego pozwolił pani odejść.

– Powiedziałam panu. Przestałam być doskonała.

– Ale pani się nie poddała, nieprawdaż? Tak jakby pani wciąż chciała go zadowolić. I proszę: wygląda pani jak zjawisko.

– Powinien pan przyrzeć się uważniej. Po urodzeniu dwojga dzieci piękno kobiety to złudzenie.

Fałszywa skromność. Clevenger spuścił wzrok i w duchu kiwnął sobie głową. Nadszedł właściwy czas. Spojrzał jej prosto w oczy.

– Widzi pani, Enrique Vega jest w istocie jednym z najlepszych na świecie chirurgów plastycznych – powiedział. – Ale pani nigdy nie była jego pacjentką, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Myślę, że pani istotnie pojechała do Buenos Aires. I w rzeczy samej zatrzymała się pani w El Porteno. Te rzeczy można by sprawdzić. Mógłby je sprawdzić na przykład pan Laine.

– Wie pan co? Stąpa pan po cienkim lodzie. – Zrobiła gest, jakby chciała wstać. – Chyba powinien pan już wyjść.

– Proszę mi dać trzydzieści sekund.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

Ponowny błysk gniewu w oczach. Przestała być boginią – teraz była kobietą. I to tylko dodało jej uroku.

– Ponieważ jest pani dobrą i mądrą osobą. W głębi serca nie chce pani brać udziału w dramacie, w którym morduje się ludzi. I wie pani, że człowiek, którego pani kocha, przekroczył linię dzielącą geniusza od szaleńca.

Patrzyła w bok, ale nie wstawiała.

– Pojechała pani do Buenos Aires i poddała się operacji. Ale chirurgiem nie był Vega. – Przerwał. – To był Crosse.

– To pan jest szalony – odpowiedziała, zaciągając ciasno poły szlafroka.

– Mógł zostawić partnerów i klientów, którzy nie mogli dotrzymać kroku jego pasji i intelektowi, ale nigdy nie zostawił pani. Chciała pani być znów doskonałością i on też chciał tego dla pani. Bo wtedy mógłby panią ponownie pokochać.

Tylko wtedy. Żaden chirurg nie umiał tego dokonać, więc sam opanował tę sztukę.

Spojrzała na niego, ale się nie odezwała. Wyjął telefon komórkowy.

– Mam tu kilka zdjęć, które chciałbym pani pokazać.

Enrique Vega może być wielki. Ale West Crosse przekroczył granice wielkości. Stał się mistrzem. Niech pani popatrzy. Włączył telefon i wywołał fotografię Chase van Myer z rozpreparowanymi oczodołami. Podsunął ją Lauren. Na twarzy kobiety pojawiło się niedowierzanie, a potem przerażenie i żal. Wciskając klawisz telefonu, wywołał kolejne zdjęcie: naga van Myer przywiązana do krzesła w Pritzker Pavilion Franka Gehry'ego. Lauren zamknęła oczy.

– Jest tego więcej. Znacznie więcej.

Przełknąwszy ślinę, ponownie spojrzała na ekranik.

Clevenger pokazywał kolejne zdjęcia: starannie wypreparowany kręgosłup Jeffreya Groupmanna, serca Rona Hadleya, nerki Gary'ego Hastingsa.

Na twarzy Lauren pojawił się strach.

– Nerka – wyjaśnił Clevenger. – Idealnie wypreparowana. – Przerwał, wcisnął klawisz i wywołał fotografię Gary'ego Hastingsa, w stroju Little League, zrobione na sześć miesięcy przed śmiercią. – To nerka dwunastoletniego chłopca. – Ponownie nacisnął klawisz i pokazał Lauren zdjęcie Heather Rawlings, nagiej i ukrzyżowanej, a potem wywołał fotografię jej starannie wypreparowanej szyi. – Jest lepszy niż jakikolwiek histopatolog czy chirurg, o jakich słyszałem.

W kąci oka Lauren pojawiła się łza, która spłynęła po jej policzku.

Clevenger wrócił do zdjęcia Hastingsa i zostawił je na ekranie, jakby przywołując chłopca na świadka słów, które miały zostać wypowiedziane.

– Lauren, ty wiesz, gdzie on jest. Powiedz mi. Jeżeli tego nie zrobisz, ludzie nadal będą ginąć tak jak ten chłopiec. A jeśli to nie sprawi, że stracisz poczucie swojej doskonałości, wtedy nikt na świecie nie zdoła ci już pomóc. Wtedy zostanie ci już tylko Bóg.

Rozdział 41

Wyszedłszy na ulicę, Clevenger zadzwonił do Andersona.

– Hej, Frank – odezwał się Anderson. Clevenger skinieniem dłoni przywołał taksówkę.

– Gdzie jesteś w tej chwili?

– Na lotnisku Logana. Za dwadzieścia minut mam lot do Filadelfii.

– Zmiana planów. Poczekaj... – Wsiadł do taksówki. – Róg Madison i Trzydziestej ósmej – zwrócił się do kierowcy.

I ponownie do telefonu: – Jedziemy obaj do Waszyngtonu.

– Dlaczego? Co się stało?

– Właśnie rozmawiałem z Lauren Jones. West Crosse jest zameldowany w hotelu Mayflower pod nazwiskiem William Russel.

– William Russel? Czy to nie ten, który na samym początku kierował stowarzyszeniem?

– On je założył. W 1832 roku. Przypomnij sobie. Fortunę zrobił przypuszczalnie na przemyśle opium z Turcji do Chin.

– Ale co Crosse robi w Waszyngtonie pod tym przybranym nazwiskiem?

– Dobre pytanie. Pani Jones miała się tam z nim spotkać dziś wieczorem. Powiedział, że chce się z nią zobaczyć, bo potem już długo nie będą się widywać.

– Pewien mój znajomy psychiatra sądowy powiedziałby: niedobrze...

– Zobaczymy. Na razie jadę do firmy Jonesa, żeby rzucić okiem na projekty Crosse'a. Myślę, że ty mógłbyś polecieć do Waszyngtonu i spróbować go przynajmniej zobaczyć, a jak się da, to pójść jego śladem. Gdyby to się udało, posunęlibyśmy się do przodu.

– My tu sobie gadu-gadu, a ja podchodzę do kasy.

– Gdybyś znalazł gdzieś jakiś komputer, to jego zdjęcie może być w Internecie.

– Moim telefonem mogę się połączyć z Internetem.

– Doskonale.

– Przeczucie ci mówi, że on jest naszym celem? – zapytał Anderson.

– Nie powiedziałem ci najlepszego: Crosse zrekonstruował pierś swojej byłej żony, Lauren Jones, po mastektomii.

– Co zrobił?

– Zrekonstruował ją. Powiedziała mi, że operowali ją dwaj chirurdzy plastyczni, ale żadnemu nie udało się osiągnąć tego co jemu. On ma zbiór książek o anatomii i chirurgii większy niż niejedna uczelnia medyczna.

– Gotów jesteś powiadomić o tym Whitney? Clevenger wiedział, że zebrane przezeń w tej

sprawie fakty miały bardzo duże znaczenie. Dlaczego więc się wahał?

Dlaczego miałby zajmować się tym sam, podczas gdy mógłby skorzystać ze wsparcia FBI? Czy naprawdę wierzył, że związki Whitney z bractwem przeszkodzą jej w zrobieniu tego, co do niej należało?

– Powiadomię ją osobiście – oznajmił. – Zadzwoń do niej przed wyjazdem do Waszyngtonu i zapytam, czy nie mogłaby się tam ze mną zobaczyć.

– To na razie – odpowiedział Anderson.

– Zadzwoń do mnie, kiedy dotrzesz do jego hotelu.

– Zadzwoń. Rozłączyli się.

Po dwu minutach taksówka Franka zatrzymała się przed wejściem do budynku na Madison Square 222. Zapłaciwszy kierowcy, udał się na dwudzieste drugie piętro do siedziby firmy Jones & Alison Design. Recepcjonistka odprowadziła go do sali konferencyjnej, gdzie czekał już na niego Laine Jones.

– Witaj, Frank – powiedział, wyciągając rękę. Clevenger uścisnął mu dłoń.

– Wszystko już dla ciebie przygotowałem – oznajmił Jones.

Skinieniem głowy wskazał stół konferencyjny pokryty sześcioma zestawami planów architektonicznych. – Wybrałem projekty, które Crosse wykonał, kiedy u nas pracował.

Jego styl trochę się zmienił, użycie materiałów i tak dalej, ale myślę, że jego główne zainteresowania i skłonności pozostały te same.

Clevenger powoli podszedł do stołu i zaczął przeglądać szkice. W miarę jak to czynił, rosła jego pewność, że patrzy na prace tego samego człowieka, który zabił Jeffrey'a Groupmanna i Chase van Myer. Całe szkice były pokryte wyraźnymi notatkami dotyczącymi koloru, drewna, kamienia i metalu, które miały być zastosowane, i konkretnymi wskazówkami konstrukcyjnymi. W każdym ze szkiców widać też było magiczne wykorzystanie przestrzeni i światła, które Clevenger widział w Pacific Heights, Southampton i Chicago. Przeszklone sufity, krzyżujące się coraz wyżej belki i nieskończone szeregi przejrzystych tafli. Wszystkie te prace mówiły też o wrażliwości Crosse'a na historię życia jego klientów. Kolekcjoner samochodów miał garaż, w którym wszystkie wozy poustawiane były na rampach wbudowanych w wewnętrzne ściany, co pozwalało zaoszczędzić przestrzeń podłogi. Parze, która pobrała się ponownie i usiłowała zachować niezależność i jednocześnie żyć razem, zaprojektował ogromny dom, będący w istocie trzema domami: pięć pokoiw należało do męża, pięć do żony, a pięć było wspólnych. Dramaturg miał amfiteatr z ruchomym sklepieniem i sceną, nad którą umieszczono odlane z brązu litery składające się na powiedzenie Marka Twaina: „Cała sztuka polega na tym, żeby kłamstwami powiedzieć prawdę”.

Crosse jednak nie tylko używał przestrzeni do uszanowania historii życia swoich klientów. Posunął się znacznie dalej. On osobiście planował te historie. Clevenger spostrzegł, że w prawym

górnym rogu każdej strony jest nakreślony ołówkiem mały krzyż.

– Czy on umieszczał tu te krzyże jako symbol religijny? – zapytał Jonesa. – A może to ma jakieś znaczenie architektoniczne, o którym nie wiem?

– Nie, to nie ma jakiegoś szczególnego znaczenia. Ale West kreślił krzyż na każdej stronie każdego projektu, gdy tu pracował – stwierdził Jones. – Przez długi czas myśleliśmy, że to zwykły znaczek, który zastępuje jego nazwisko czy inicjały. Potem jednak zaczął otwarcie mówić o swoim poświęceniu Bogu. W końcu stało się to prawdziwym problemem.

– W jakim sensie?

– Nie zamierzałem interweniować w jego wiarę, każdy może wierzyć, w co zechce. Ale w jego przypadku nabrało to cech ewangelicznego posłannictwa. Krępowało to ludzi, z którymi przyszło mu pracować.

– Czuli, że chce ich nawrócić albo zbawić?

– Owszem, to też, ale on wciąż mówił o zbawieniu samego siebie. Wszyscy podejrzewali, że Bóg był dla niego jakby narkotykiem, bo nieustannie do Niego wracał. Używał go jak inni narkotyków, jakby szukał w Nim ucieczki.

– Od czego? – zapytał Clevenger.

– Do diabła, przecież to twoja dziedzina. Ja bym powiedział, że od swojej przeszłości. Od kalectwa ojca. Od tego wózka inwalidzkiego. Od gniewu i bezsilności, jakie wtedy czuł.

Większość otaczających go ludzi nie znała historii jego dzieciństwa, myślę jednak, że gdzieś pod gładką powierzchnią wyczuwali chaos. Niepokoiła ich myśl, że cała ta jego religijność nie utrzyma go w ryzach i że Crosse może któregoś dnia uciec się do przemocy.

Clevenger zdał sobie nagle sprawę z faktu, że Jones podsuwa mu wyjaśnienie powodów, dla których Crosse mógł być mordercą, i że jest bardzo zainteresowany tym, żeby mu uwierzono. Nie znaczyło to jednak, że musi to być nieprawda.

– Jak sądzisz, dlaczego tak długo go zatrudniałeś? – zapytał.

– Szczerze. – Na twarzy Jonesa pojawił się przelotny uśmiezek. – Nasza firma dopiero wyrabiała sobie markę. – Skinieniem głowy wskazał leżące na stole szkice. – Potrzebowałem ich. – A potem spojrzał Clevengerowi w oczy.

– I chciałem mieć Lauren.

Rozdział 42

West Crosse wynajął cenną citation X, która dostarczyła go do domu w Thunder Bay. Wylądował o 21.05. Samolot miał poczekać, żeby go zabrać z powrotem o 5.00 następnego dnia. Zamówił też limuzynę, żeby zawiozła go do domu. Chciał spędzić kilka godzin nad szkicami Muzeum Wolności, które planował rano pokazać Elizabeth Buckley. Przed powrotem do Waszyngtonu zamierzał zrobić coś jeszcze. Jego plany w stosunku do Buckleyów wykraczały daleko poza dobudowanie aneksu do Wschodniego Skrzydła. Miał uwolnić pierwszą rodzinę od zagrożenia, jakim było upośledzone dziecko, i tym samym sprawić, że prezydent będzie miał jeszcze więcej siły, by nieść wolność ludziom na całym świecie.

Przez pierwsze pięć lat po odejściu z firmy Jones & Alison Design Crosse ani razu nie brał udziału w głosowaniu. Zostawił za sobą wszystkie beużyteczne kompromisy i połowiczne prawdy i poświęcił się całkowicie i nieodwracalnie wizji Boga. Teraz siedział przy biurku i wypełniał formularz zgłoszenia do wyborów dla stanu Nowy Jork, wpisując weń adres apartamentu, który przed pięcioma tygodniami wynajął w Greenwich Village, i zmieniając partyjne preferencje z republikanów na demokratów. Zamknąwszy kopertę, przykleił znaczek i odłożył ją na bok.

Włączył komputer, wybrał w sieci stronę Bradleya Jaya, gospodarza jednego z najbardziej liberalnych talk-show radiowych, kliknął na opinie i napisał wiadomość:

W jaki sposób Prezydent i Pierwsza Dama mogliby podzielić i zrozumieć cierpienia tych, którzy stracili synów na wojnach, skoro sami nigdy nie przeżyli utraty dziecka? Kiedyś byłem zwolennikiem partii Abrahama Lincolna, człowieka, który na wojnie utracił nie jednego, ale dwóch synów, Teraz już nie jest to moja partia.

West Crosse Wywołał też strony przeciwnika Buckleya podczas ostatniej elekcji, Jacka Forbesa, startującego z ramienia Komitetu Wyborczego Partii Demokratów, a także „New York Timesa” i kilku innych liberalnych organizacji takich jak MoveOn. org, Common Cause czy ACLU. Wysłał tę wiadomość do każdej z nich.

Potem wyjął z szuflady arkusz papieru i ręcznie wykaligrafował tę samą wiadomość. Nakreślił mały krzyżyk w górnym prawym rogu, wsunął do koperty i zaadresował do prezydenta Buckleya w Białym Domu.

Wyłączył komputer, wstał od biurka i krętym kamiennym korytarzem zszedł do piętrowej biblioteki. W szklanej kopule sklepienia tej sali wstawiono witraż przedstawiający wyciągniętą dłoń. Dłoń Boga.

Cała ściana od podłogi do sufitu zastawiona była regałami pełnymi książek dotyczących

anatomii i chirurgii. Wyjął kilka z nich: Atlas anatomii Granta, Podstawy anatomii człowieka Ronana O'Rahilly'ego, Wielki atlas anatomii Bena Pansky'ego, Chirurgię ginekologiczną i położniczą Naomi Nicholi i Podstawy chirurgii naczyniowej Randolpha Maloneya. Położył je na mahoniowym stole, na którym pod emblematem Yale wyryto godło stowarzyszenia Czaszki i Kości i liczbę 322, oznaczającą rok 1832, gdy założono kapitułę w Yale, drugą kapitułę w ich międzynarodowej sieci. Usiadł i zagłębił się w lekturze. Zaczął od Wielkiego atlasu. Otworzył go na rozdziale 3, Krocze i miednica. Poszukał ryciny 3-11. Miednica kobieca, przekrój poprzeczny. W każdym szczególe widać było wielkość boskiego zamysłu – w jajnikach przeznaczonych do zaślubin jaja ze spermą i w macicy, która miała chronić przyszłe życie przed wydaniem go na świat. A perwersja niezamężnej Blaire Buckley, która sama niedoskonała genetycznie zamierzała dać światu nowe życie, budziła w nim odrazę i mdłości. Dzieło, którego zamierzał dokonać przyszłej nocy, może w innych wzbudzić zgrozę i przerażenie. Może im się wydać potwornością. Wiedział o tym i akceptował to. Dla niego jednak było w nim niewypowiedziane piękno. Dokona go w imię Boga, w sprawie wolności, nie szukając osobistej satysfakcji, poświęcając wszystko Jego chwale.

Rozdział 43

Clevenger wylądował na lotnisku Reagan International w Waszyngtonie o 14.30. Opuszczając terminal, sprawdził swoją komórkę i stwierdził, że nie odebrał czterech połączeń: jednego od Andersona i trzech od abonenta, który zablokował swój identyfikator.

Sprawdził pocztę głosową – miał na niej trzy wiadomości. Pierwsza była od Andersona, który informował go, że jest w Waszyngtonie i dotarł do hotelu Mayflower. Znalazł w sieci fotografię Crosse'a, ale w hotelu go nie widział. Drugą wiadomość zostawiła Whitney McCormick. Zaproponowała, żeby się spotkali o 16.00 w 1789, ekskluzywnej restauracji w Georgetown zlokalizowanej w spokojnym budynku na Trzydziestej Szóstej Ulicy.

Trzecia wiadomość sprawiła, że stanął jak wryty pośrodku korytarza. Poczuwszy, że ktoś wpada na niego z tyłu, odwrócił się i wymamrotał przeprosiny. A potem stał po prostu przez kilka sekund i słuchał głosu Billy'ego, nie mogąc się skupić na jego słowach. Po chwili stanął pod ścianą szerokiego korytarza i wcisnął przycisk REPLAY. – Tu Billy – usłyszał głos przybranego syna. – Wyszedłem z kicia. Przysłałeś mi cholernie dobrego prawnika. Te prochy, czy co tam innego jeszcze było – znaleziono w domu i przy kilku ćpunach, ale nie przy mnie. Nie mogą wycofać mojego zawieszenia, chyba że udowodniliby mi w sądzie coś, co się nazywa „czynnym uczestnictwem”. Nie chcę wracać do tamtych ludzi, ale gdzieś mi wzięto moje klucze od mieszkania. Jak jesteś gdzieś niedaleko, to zadzwoń, dobrze? Zgubił klucze. Clevenger pokręcił głową, pragnąc, żeby jego stosunki z Billym układały się jak pomiędzy innymi ojcami i synami, którzy mogliby się pokłócić o zgubione klucze. Jak bardzo by się cieszył, gdyby obaj mogli powrzeszczeć na siebie z tak zwyczajnego powodu. Oni mieli znacznie większe problemy. Tymczasem dla Billy'ego nadal ważne były tylko prawne kruczki i uliczni cwaniacy. Prawnik spodobał mu się tylko dlatego, że wyciągnął go z pierdła. A teraz potrzebował miejsca, w którym mógłby się przycziąć. Kto wie dlaczego? Może chłopcy z DEA oczyścili ulice z Royalsów? A może wszyscy rozbiegli się przerażeni i zapomnieli o dawnej solidarności, dręczeni myślami, że każdy z nich może pęknąć i pójść na ugodę z prokuraturą, obciążając innych?

Zadzwoił do Billy'ego. Odpowiedział po pięciu sygnałach.

– Hej. Odebrałem twoją wiadomość – zaczął Clevenger.

– Jesteś gdzieś niedaleko? Bo wałęsam się bez celu po mieście.

W głosie chłopaka nie było niepokoju ani śladu wyrzutów sumienia. Niczego się nie nauczył.

– Nie, jestem dość daleko.

– Aaa... – odpowiedział Billy. – A czy North wciąż jeszcze ma klucze?

– On też jest poza miastem – uciął Frank. Zamknął oczy i zmusił się do odpowiedzi. –

Zresztą nawet gdybym tam był, nie wpuściłbym cię do środka. – Cisza w słuchawce. – Nie pozwolę ci wrócić do domu, dopóki nie zameldujesz się na odwykowie i nie skończysz programu odtruwającego.

– Nie potrzebuję odwyku. Jestem czysty. Clevenger otworzył oczy.

– Daj, kurwa, spokój! Mam ci uwierzyć na słowo? – Odetchnął głęboko i podjął wątek. – Sprawa jest prosta: wróć do General Mass i ponownie zgłoś się na oddział. Jeżeli ukończysz terapię, możesz wracać do domu.

– A jak nie dam rady, to mnie nie przyjmiesz? – zapytał Billy.

– Już nigdy?

Clevenger poczuł skurcz w krtani.

– Na Suffolk przeciągnąłem strunę, wiem – odezwał się Billy.

– Ale naprawdę wcale tak nie myślę.

Clevenger przywołał w pamięci widok zimnych, obojętnych oczu Billy'ego i jego słowa: „Oni są moją rodziną. Ty nic dla mnie nie znaczysz”.

– Może tak myślisz, może nie – rzekł. – Teraz to nie ma znaczenia. Teraz musisz...

– Dla mnie jest ważne, że uważasz mnie za kłamcę – odpowiedział Billy głosem, w którym zabrzmiała urażona duma.

Nadeszła chwila prawdy.

– Oczywiście, że jesteś kłamcą.

– Nie większym niż każdy inny. Wszyscy kłamią.

„Wszyscy kłamią”. Zabrzmiało to tak, jakby Billy wytykał Clevengerowi, że pokątnie popija, podczas gdy innym wciskał, że jest trzeźwy. A może Billy naprawdę uważał, że świat jest taki właśnie – w końcu był biologicznym synem człowieka uwięzionego za morderstwo i niewiele odeń lepszej matki. Pytania, jakie zadałby teraz psychiatra, wyraźnie odciskały się w umyśle Clevengera: Kim są „wszyscy”? Kto cię okłamywał? Cofnijmy się krok po kroku tak daleko, jak sięgasz pamięcią.

Billy jednak nie był pacjentem Clevengera, a chwila była cholernie nieodpowiednia i niewiele można było na to poradzić.

– Zapomnij o „wszystkich” – powiedział Clevenger. – Martw się o siebie. Masz syna, dla którego nie jesteś ojcem. Jeśli masz jaja, to zrozumiesz, że stoisz przed drugą szansą w twoim życiu. Możesz uciec od odpowiedzialności jak dziesięcioletni smarkacz z ulicznego gangu i napompować się prochami, bo masz zbyt wielkiego pietra, żeby poczuć coś innego. – Mówiąc to, drżał jak w gorączce. – Kocham cię, Billy. Bóg mi świadkiem, że cię kocham. Ale ty stajesz się tchórzem i kłamcą i już za późno na takie gierki. Może w ogóle jest już za późno. Nie wiem. Wiem za to coś innego: matki. Pytania, jakie zadałby teraz psychiatra, wyraźnie odciskały się w umyśle Clevengera: Kim są „wszyscy”? Kto cię okłamywał? Cofnijmy się krok po kroku tak

daleko, jak sięgasz pamięcią.

Billy jednak nie był pacjentem Clevengera, a chwila była cholernie nieodpowiednia i niewiele można było na to poradzić.

– Zapomnij o „wszystkich” – powiedział Clevenger. – Martw się o siebie. Masz syna, dla którego nie jesteś ojcem. Jeśli masz jaja, to zrozumiesz, że stoisz przed drugą szansą w twoim życiu. Możesz uciec od odpowiedzialności jak dziesięcioletni smarkacz z ulicznego gangu i napompować się prochami, bo masz zbyt wielkiego pietra, żeby poczuć coś innego. – Mówiąc to, drżał jak w gorączce. – Kocham cię, Billy. Bóg mi świadkiem, że cię kocham. Ale ty stajesz się tchórzem i kłamcą i już za późno na takie gierki. Może w ogóle jest już za późno. Nie wiem. Wiem za to coś innego: drogę ku innym musisz zacząć od siebie, musisz się zwrócić przeciwko swojemu bólowi, a to oznacza odwyk, leczenie i terapię. Pierwszy krok to wrócić do Mass General. Takie są moje warunki. Możesz je przyjąć lub nie. Odpowiedziała mu martwa cisza.

– Billy? – Cisza. – Jesteś tam? – Nic.

Clevenger wybrał ponownie numer Billy'ego. Żadnej odpowiedzi. Odczekał chwilę.

– Zadzwoń do mnie, a ja powiadomię izbę przyjęć, że się do nich zgłosisz – powiedział. – Nieważne, o której godzinie.

Może być teraz, może być o drugiej w nocy. – Przerwał na chwilę. – Po prostu zadzwoń. – Zakończył połączenie.

Rozdział 44

Oczywiście decyzja nie należy tylko do mnie – oznajmiła Whitney McCormick, siedząc obok Clevengera przy stojącym na uboczu stoliku w 1789. – Osobiście jednak nie sędzę, żebyśmy mieli dość materiału na podjęcie działań. Oczywiście możemy dalej prowadzić śledztwo i przeznaczać na to odpowiednie siły i środki. Ale aresztować Crosse'a? Mowy nie ma.

– Mamy architekta projektującego domy ofiar, który jednocześnie jest chirurgiem amatorem – zachnął się Clevenger. – To nie wystarczy?

McCormick łyknęła nieco kawy.

– Frank, nie wiemy, czy to na pewno on projektował ich domy. Ty uważasz, że to dzieło Westa Crosse'a, ale nie jesteś architektem. Jego była żona i jej mąż mówią, że ma on kolekcję podręczników chirurgicznych i że ją operował, co jest zdumiewające, ale nie wiemy, czy to prawda. Sam powiedziałaś, że Laine Jones wyłaził ze skóry, żeby podsunąć ci myśl, iż Crosse może być podejrzany.

– Crosse zameldował się w Waszyngtonie pod fałszywym nazwiskiem. North to potwierdził. Wpisal się do księgi gości w Mayflower.

– To jest wolny kraj. Nie można wpakować kogoś za kratki tylko dlatego, że woli płacić gotówką i używa fałszywego nazwiska. – Uśmiechnęła się. – Popraw mnie, jeżeli się mylę, ale sam robiłeś to kilka razy w bostońskim hotelu Ritz.

Clevenger cofnął się aż do oparcia krzesła i spojrzał bacznie na rozmówczynię.

– A co powiesz na jego związki z bractwem Czaszka i Kości?

– To znaczy?

– Posłużył się nazwiskiem założyciela tego stowarzyszenia.

– Czy przez chwilę możemy popatrzeć na to jak naukowcy?

– Dobrze.

– Mamy kogoś, kto mógł, ale nie musiał, projektować domy ofiar. Mamy autora, Suttona, który zalicza Crosse'a do członków bractwa, włącznie z członkami rodzin ofiar. Cóż, ta lista może być nieaktualna. Ale nawet jeżeli jest, powiedziałam ci przed chwilą: mówimy o rodzinach, które decydują o losach Ameryki. Razem inwestują w rozmaite przedsięwzięcia, razem kształcą swoje dzieci i kupują położone obok siebie posiadłości, w których będą spędzali wakacje czy resztę życia. Nawet jeżeli Crosse należy do bractwa, nawet jeżeli projektował ich domy, nie mamy niczego, co dałoby nam podstawy do wystawienia nakazu aresztowania.

– Możemy go wezwać na przesłuchanie.

– I tu się pewnie natkniemy na nieprzekraczalny próg.

Oczywiście, mogę spróbować.

– Mogłabyś...

– Zapytam. Ale chciałabym powiedzieć jedno: z pewnością zdobędziemy więcej argumentów, jeżeli zaczniemy go obserwować. Dowiedzmy się, kogo tu odwiedza, kto należy do jego znajomych i dokąd zamierza się udać. Wtedy może będziemy mieli dość materiału, żeby zdobyć nakaz przeszukania jego pokoju hotelowego.

Clevenger skinął głową.

– Dobrze i to. – Spojrzał jej w oczy.

– Nie mówisz tak, jakby cię to ucieszyło.

Nie był pewien, czy ma ochotę powiedzieć jej, o czym myśli.

– No, mów... – ponagliła go. Wzruszył ramionami.

– O co chodzi?

Minęło kilka sekund.

– No, powiedz wreszcie! – Uniosła oczy ku górze.

– Twój ojciec jest członkiem Czaszki i Kości. Jego nazwisko też znalazłem na liście Suttona.

Więc może to ty nie patrzysz na sprawy obiektywnie.

– Żartujesz chyba? Miałabym odpuścić mordercy tylko z powodu plotek, że nazwisko mojego ojca jest na liście jakiegoś uniwersyteckiego bractwa? To absurd!

Kiedy tak to ujęła, w istocie zabrzmiało to jak absurd. Nie odpowiedział.

Pochyliła się w jego stronę.

– Mój ojciec jest absolwentem Yale i byłym kongresmanem, który ofiarowywał spore sumy na fundusze wyborcze kandydatom republikanów, włącznie z prezydentem Buckleyem. Oczywiście, że jest na liście. Mówi się, że był też w Roswell i widział tam zakonserwowanych w formalinie kosmitów. Kto wie, co jest prawdą? Myślę, że istnieje możliwość, iż przez całe życie trzymał to przede mną w sekrecie.

Ale jeżeli należy do bractwa, wołałabym, żeby pociągnął dla mnie za kilka nitek. Byłam na liście w Yale, ale mnie odrzucono. – Zmrużyła oczy. – Może próbowali mnie zmylić i puścić fałszywym tropem?

– Chcesz, żeby na początek Crosse'owi przyczepić ogon i to jest w porządku. Dla mnie to trochę za mało, ale to twoje dochodzenie.

– O co ci chodzi? Z Billym wszystko w porządku?

– To nie ma z nim nic wspólnego – stwierdził Frank. – Dlaczego wyciągasz ten temat?

– Mogę być szczerą?

– Na to właśnie liczę. – Czuł, że napięcie pomiędzy nimi narasta, nawet w chwili, gdy mówił te słowa.

– Uważam, że się wypaliłeś i zaczynasz gonić w piętę.

– Co takiego?

– W tym wyścigu masz upatrzonego konia i wszystko stawiasz na niego. Nie chcesz się rozejrzeć po torze. A co, jeżeli się mylisz? Co, jeżeli to nie Crosse jest naszym człowiekiem? Może zabójcą jest jeden z jego klientów, kreślarz, który kiedyś dla niego pracował, albo jego były pracodawca Laine Jones? W końcu też jest architektem. Może jest na tyle szalony, że bał się, iż Crosse przejmie jego firmę? A co z jego byłą żoną? Jak bardzo jest wściekła, że Crosse oddał ją innemu mężczyźnie?

Clevenger przetarł oczy, spojrział na sufit, a potem znów na swoją rozmówczynię.

– Masz rację. Widzę to wszystko zbyt jednostronnie. Whitney cofnęła się.

– Wypuścili Billy'ego – poinformował ją.

– Co?

– Sędzina nie uwierzyła, że są podstawy do oskarżenia go o aktywne posiadanie prochów. Nie skorzystała z możliwości zamknięcia go do czasu rozprawy. Prokuratura będzie musiała udowodnić prawdziwość oskarżenia.

– Gdzie on teraz jest?

Clevenger wzruszył ramionami.

– Nie wiesz?

– Chciał się dostać do mieszkania. Powiedziałem, że najpierw musi przejść leczenie. Rozłączył się bez słowa. Od tego czasu nie mam od niego żadnych wiadomości.

– A dzwoniłeś do niego? Kiwnął głową.

– Cóż, tak czy inaczej, była już najwyższa pora.

– Pora na co?

– Żebyś stanowczo wyznaczył granicę. Albo się uwolni od tego świństwa, albo nie. Decyzja należy do niego.

– Taaa... – mruknął Clevenger. – I to właśnie mnie martwi.

Rozdział 45

Gdy był w odległości kilku kwartałów od hotelu Mayflower, zadzwonił telefon.

- Co jest? – odezwał się.
- Gdzie jesteś? – zapytał spokojnie North.
- W taksówce, jadę do hotelu. A co z tobą?
- Jestem w holu, cztery metry od Crosse'a.
- Co on robi?
- Siedzi przy barze. Jest sam.
- Będę tam za minutę.
- Dobra nasza.

Clevenger wszedł do hotelu. Anderson siedział w obitym skórą fotelu nieopodal kominka i czytał „USA Today”. Frank podszedł do partnera.

- Wciąż jeszcze tam jest? – zapytał, nie patrząc w stronę baru.
- Czyta gazetę i popija drugą szkocką. Laphroig. Niezły wybór.
- Nie dla mnie – mruknął Clevenger. – Już nie. – Sięgnąwszy do kieszeni, wyjął luźną tabletkę Esperalu. Zabawne, jak jego umysł i choroba konspirowały, aby zmusić go do zapomnienia o celu – aż do tej chwili. Połknął tabletkę, a potem spojrzał na Crosse'a, odzianego w dżinsy, prostą białą koszulę i czarne kowbojskie buty.
- Nic szczególnego, nieprawdaż? Wygląda jak typowy gwiazdor filmowy.
- Co na ten temat powiedziała Whitney? – Uśmiechnął się Anderson.
- Zamierza przyczepić mu ogon i śledzić wszystkie jego ruchy. Zadzwoniłem do niej, gdy tylko rozłączyłem się z tobą, i powiedziałem, że nasz człowiek jest tutaj.
- I co, nie zamierzają go zdjąć? Clevenger potrząsnął głową.
- Dlaczego?
- Ona uważa, że nie mają dostatecznie mocnych dowodów na uzyskanie nakazu aresztowania.
- Czekaj! Powiedz jej, żeby sobie poczytała Patriot Act.
- Bardzo nalegała, żeby poczekać. Anderson skwitował to wzruszeniem ramion.
- No to popilnujmy go sami – zaproponował Clevenger. – Przyjmijmy, że ona w to nie wejdzie.
- Możemy tu posiedzieć do północy. On lubi popijać.
- Byłem z Lauren Jones, kiedy zostawiła mu wiadomość, że nie może się z nim spotkać dziś wieczorem. To go raczej nie uszczęśliwi.

– Myślę, że człowiek, który planuje to co on, za bardzo się tym nie przejmie – mruknął Anderson.

Minęło kilka sekund.

– Zakładam, że FBI trzyma się z daleka – dodał Anderson. – A my?

– Dlaczego pytasz?

– Bo się opieprzamy. – North pokręcił głową. – Chcę powiedzieć, że coś tu jest nie tak. Albo Whitney wmanewrowała cię w prowadzenie sprawy na jej sposób, albo Billy wytrącił cię z równowagi, albo w grę wchodzi coś, o czym nie wiem. Ale beczynne siedzenie nie jest w twoim stylu. To nie jest w naszym stylu.

Clevenger spojrzał na partnera.

– Frank Clevenger, którego znałem, siedziałby przy barze z tym szajbussem i pijąc drinka albo nie pijąc, grzebałby mu w głowie.

– Może masz rację.

– Może? Nie przypominam sobie, żebyśmy w sprawie Autostradowego Zabójcy czy Johna Snowa oddawali kierownicę federalnym. To my im mówiliśmy, co mają robić.

Clevenger wiedział, że North ma rację. Ale tym razem nie był pewien, na czym polega różnica. Czy Whitney naprawdę dyktowała tempo śledztwa? Czy jego problemy z Billym tak się rozrosły, że stracił panowanie nad innymi sprawami? A może tak długo pił – choć kilka dni temu z tym skończył – że stracił zwykłą bystrość sądów?

Ponownie spojrzał na Crosse'a. Może we wszechświecie w istocie istnieje jakaś synchroniczność wydarzeń? Może wejście w sprawę i pierwszy krok ku trzeźwości oznaczał zajęcie teraz miejsca obok Crosse'a i skupienie się wyłącznie na tym, co powinien zrobić?

– Pamiętam obie sprawy równie dobrze jak ty – powiedział Andersonowi.

Podszedł do baru i usiadł w odległości dwu miejsc od Crosse'a. Zerknął na gazetę, którą tamten czytał, i zobaczył, że jest otwarta na stronach poświęconych inwazji na Iran – jedną zajmowała wielka fotografia lamentującego Irańczyka, który trzymał w ramionach martwą córeczkę. Przypomniał sobie notatkę, którą morderca przesłał prezydentowi: „Miej wiarę. Jeden kraj bądź jedna rodzina naraz. Nasza praca służy jednemu Bogu”. Podszedł do niego barman.

– Co podać?

– Woda sodowa z cytryną.

Barman sięgnął po syfon, napełnił szklanekę, wrzucił do niej cytrynę i postawił na serwetce przed Frankiem. Crosse gestem dłoni zamówił trzecią szkocką. Clevenger napił się wody i skinieniem głowy wskazał leżącą przed Crosse'em gazetę.

– Czy sprawy naprawdę stoją aż tak źle? – zapytał. Crosse spojrzał na niego spod oka. Clevenger ponownym skinieniem głowy wskazał gazetę.

– Mówię o wojnie.

Oczy Crosse'a zapłonęły gniewem.

– Nie uważałby pan, że sprawy stoją źle, gdyby żył pan w Iranie rządzonym przez ajatollaha i bandę żądnych krwi samozwańczych mułłów. Chciałby pan, żeby jakiś helikopter wyniósł pana z tych mrocznych wieków.

– Może – uśmiechnął się Clevenger. – Może chciałbym. Ale z pewnością chciałbym wiedzieć, kto i jak zgasi światło. Na wypadek gdyby trzeba je było ponownie włączyć. – Skinieniem głowy wskazał fotografię. – Całe to zabijanie do niczego nie prowadzi.

Pojawił się trzeci drink Crosse'a. Architekt łyknął skwapliwie.

– Uważa pan, że powinniśmy prowadzić negocjacje z tymi ludźmi. Cóż, proszę mi pozwolić wyjaśnić sobie jedną rzecz: nie da się nakłonić ludzi, żeby obalili teokrację opartą na Koranie. Nie mówimy o istotach myślących. Mówimy o robotach, które postępują wedle przykazań, które przed tysiącem lat nakazały im przejąć władzę nad światem.

– Więc nie są ludźmi?

– Jeżeli idzie o cele i zamiary, to nie. – Odetchnął głęboko i zachichotał, wypuszczając powietrze. – Przyjacielu, bardzo szybko przechodzimy do bardzo poważnych tematów. – Wyciągnął dłoń. – Will Russell.

– Frank Newman.

– Czym się zajmujesz, Frank? – Crosse pociągnął długi łyk szkockiej.

– Jestem psychiatrą.

– Psychiatrą. Ach tak... powinieneś był to powiedzieć wcześniej. To wszystko wyjaśnia.

– Co wyjaśnia?

– Wierysz, że ludzi można zmienić i uleczyć, rozmawiając z nimi.

– Myślę, że to zależy od tego, kto z nimi rozmawia i czy potrafi też słuchać.

– Psychoterapia dla terrorystów? To jest twoja recepta?

– Myślę, że dzieci nie wyrastają w chęci zostania zabójcami.

Ani jedno z nich tego nie pragnie – powiedział Clevenger. – Żeby zapragnąć aż takiej władzy, władzy nad życiem i śmiercią, musisz się poczuć absolutnie bezsilny. Coś musi zabić w kimś człowieczeństwo, zanim ten ktoś postanowi zabijać innych. – Pozwolił, by to stwierdzenie zapadło w głąb świadomości rozmówcy. – Musiałbym się dowiedzieć, co to było. W przeciwnym wypadku uznałbym się za zwycięzcę tylko po to, żeby w dwadzieścia czy trzydzieści lat później odkryć rozmiary swojej klęski, bo pozwoliłbym prawdziwej patologii na zarażanie kolejnego pokolenia.

– Zajrzawszy w ich przeszłość, możesz odkryć psychodynamiczną teorię wyjaśniającą, skąd wzięli zwyczaj rozwalania urzędowych budynków i wysadzania się w powietrze w miejscach publicznych, pociągając za sobą dziesiątki innych ofiar. Może nie byli karmieni piersią albo nikt ich nie wysadzał na nocniczek?

Clevenger się uśmiechnął.

– Will, a ty co robisz?

– Lobbuję.

– Na rzecz?

– Wolności. Zostawmy ten temat.

– Jak chcesz. Skąd jesteś?

– Z Manhattanu. A ty?

– Z Bostonu.

– Bostoński psychiatra – powiedział Crosse. – Piękny zawód.

Mój ojciec odwiedzał czasami psychiatrę.

– Pomogło?

– Ani trochę. – Crosse ponownie łyknął whisky.

– Przykro mi to słyszeć.

– Wiesz, co mówi Bhagawatgita, najbardziej święty z hinduskich tekstów?

– Nie jestem pewien...

– Współczucie jest największym ze złudzeń, jakimi się karmimy...

– To znaczy...

– Żal i współczucie paraliżują ludzi – powiedział Crosse. – Osłabiają ich. Uniemożliwiają podjęcie koniecznych działań. I jeszcze jedno zdanie z Gity, jeżeli gotów jesteś je przyjąć i uznać jego prawdziwość: „Nie masz powodu do litości nad żadną istotą. Poznaj swoją powinność i bez wahania zrób to, co należy... ”

Przez moment Clevenger patrzył Crosseowi w oczy. To, co w nich zobaczył, było pokrewne błyskowi we wzroku Billy'ego. Spojrzenie architekta było bardziej zimne i beznamienne, ale podobne – i to nim dosłownie wstrząsnęło. Podniósł szklanekę i zapatrzył się w nią.

– A co z żalem i współczuciem wobec samego siebie? – zapytał. – Uważasz, że te też są bezwartościowe?

– Wobec siebie? Nigdy sobie nie współczułem. – Crosse opróżnił trzecią szklaneczkę, spojrzął w pustkę przed sobą i zacytował kolejny święty tekst: – Błogosławieni wojownicy, którym dano szansę stoczenia takiej bitwy, bo wezwani zostali do czynienia dobra, co otwiera im bramy niebios.

Rozdział 46

18 sierpnia 2005,
godz. 11. 20

Clevenger zameldował się w hotelu Mayflower na tym samym piętrze, na którym miał apartament Crosse. Zakończył właśnie kolejną rundę telefonów do rodzin ofiar, namawiając wszystkich, żeby ujawnili autora projektów ich domów. Nie miał szczęścia. Potem zadzwoniła jego komórka. Był to Anderson.

– Crosse właśnie wszedł do Białego Domu – powiedział North.

– Do Białego Domu... myślałem, że jesteś z nim w katedrze Świętego Jana.

– Spędził w niej około dwóch godzin. Potem pojechał prosto na Pennsylvania Avenue 1600.

Powitali go przy wejściu dla gości z wszelkimi honorami.

– Dzwonię do Whitney, i to już! – Frank rozłączył się i wybrał numer McCormick.

– Frank? – odezwała się. Zaczął z grubej rury.

– Crosse jest teraz w Białym Domu.

– Wiem. Przedtem był w kościele. Obiecałam ci, że będziemy go mieli na oku.

– I co?

– I jak mówiłam, poradzimy sobie. Jest bardzo mało prawdopodobne, żeby to on był mordercą. Nie ma żadnej kryminalnej przeszłości. Należy do dobrych znajomych prezydenta i Pierwszej Damy. Z pewnością nie bywa w ich domu pod fałszywym pretekstem. Planuje rozbudowę Wschodniego Skrzydła.

– Mówisz o tym konkursie dotyczącym Muzeum Wolności czy czego tam jeszcze? Myślałem, że wygrała Ethni... jakaś tam z Filadelfii. W „USA Today” był o niej artykuł na pierwszej stronie. Ona jest czarna.

– Wiesz, że on lubi używać pseudonimów. Mogę się domyślić, że ma też przynajmniej jednego dublera. On unika rozgłosu.

– Morderca pisał do Białego Domu – stwierdził Clevenger. – A teraz Crosse jest w środku.

– Co nie oznacza, że powinnam wpaść w panikę. Po co posyłać wiadomość prezydentowi, skoro możesz uciąć sobie z nim pogawędkę przy kawie? Mówimy o takiej właśnie znajomości. On uzyskał dostęp do gabinetu prezydenta. Jeżeli chcesz wiedzieć, co mnie naprawdę martwi, to ci powiem: myśl, że ktoś inny chce nam udzielić kolejnej lekcji anatomii.

Może na tym byśmy się skupili?

– A dlaczego nie mielibyśmy go przesłuchać? Komu by to zaszkodziło?

– Rzeczywiście, jaka mogłaby wyniknąć szkoda z tego, że zaciągnęlibyśmy jednego z dwóch czy trzech najwybitniejszych architektów kraju, który przypadkiem jest przyjacielem prezydenta, na przesłuchanie w Instytucie Nauk Behawioralnych FBI? Nie wiem. A może ty wiesz?

– Siedziałem naprzeciwko tego faceta. Patrzyłem mu w oczy.

On jest martwy. Ma zabójstwo w duszy.

– Jak wielu ludzi – odparła Whitney. – To nie znaczy, że kiedykolwiek kogoś zabił. – Przerwała na chwilę. – Posłuchaj, powiem wprost: ta sprawa cię przerasta. Przerasta i mnie.

Wiem z całą pewnością, że Secret Service zamierza sprawdzić bardzo dokładnie, czy on stanowi jakieś zagrożenie. Powiedziano mi, że polecenie wyszło od szefa prezydenckiego sztabu.

– Powiedziano ci...

– Tak. Frank, wiem, że uważasz mnie za członka rozległej rządzącej światem sieci spiskowców, ale ja tu tylko pracuję.

Nie rządzę i nie mam władzy. Składam raporty dyrektorowi.

A on nie wprowadza mnie w każdą sprawę. – Odetchnęła szybko. – Musisz znaleźć inny trop. Crosse nie wygląda na człowieka, którego szukamy.

Clevenger usiadł na krawędzi łóżka. Może ona ma rację, pomyślał. Może istotnie stracił ostrość widzenia. Ale w takim razie, czemu wszystko wskazuje na Crosse'a? Czy jego instynkt aż tak bardzo by go zawiódł? Czyżby pomylił tajemnice tajnego stowarzyszenia z tajemnicą, którą w istocie usiłował rozgryźć? Może po prostu wziął ich zasadę milczenia za dowód konspiracji, podczas gdy w istocie należała do tradycji.

– Skoro mówisz, że zajęli się tym ludzie z Secret Service, to ja się wycofam. Nie będę ci mówił, jak masz wykonywać swoją pracę.

– Oczywiście, że będziesz – odpowiedziała. – Taki już jesteś.

– Chyba nie.

– A ja nie proszę, żebyś się wycofał. Przeciwnie. Nie chcę tylko, żebyś dał się ponieść emocjom i zapomniał o innych śladach.

Clevengerowi przyszło nagle na myśl, że może dobrze byłoby ponownie odwiedzić Davida Groupmanna albo Lauren i Laine'a Jonesów. Żadna z tych ścieżek jednak nie wyglądała na taką, która mogłaby go doprowadzić do mordercy. A wiedział, że gdy się podda, gdy przestanie robić to, co uważał za właściwe, przegra sprawę. Postanowił, że zadzwoni do Northa Andersona i zaproponuje, żeby wrócić do biura w Chelsea i użyć tamtejszych powiązań do dokładnego przyjrzenia się projektowi drapacza chmur Jeffreya Groupmanna w San Francisco. Ten budynek łączył jakoś co najmniej dwie z rodzin ofiar mordercy.

– Zjedz ze mną dziś kolację – zaproponowała nagle Whitney cieplejszym tonem. – Wymyślimy razem, co robić dalej.

– Chodzi ci o śledztwo? Zawahała się na chwilę.

– O wszystko. – Kolejna pauza. – Wpadnij do mnie, powiedzmy, o ósmej, dobrze?

Nie wiedział, w jakim kierunku toczy się śledztwo. Nie wiedział, dokąd zmierza Billy. Te sprawy nie utworzyłyby pustki w jego wnętrzu, gdyby strzelił sobie kielicha. Trunek nadawał sens jego życiu, gdy wszystko inne zawodziło.

– Chyba dam się skusić – odpowiedział.

Rozdział 47

16.40

Wróciwszy wreszcie do hotelu, West Crosse zadzwonił do recepcji i zapytał, czy ludzie z Federal Express dostarczyli wreszcie jego podróżny kufer. Nadał go z Thunder Bay tuż przed wylotem do Waszyngtonu. Okazało się, że skrzynia już czeka. Bagażowy dostarczył ją do jego pokoju dosłownie dziesięć minut później.

Crosse przesunął skrzynię do łóżka, otworzył i klęknął przed nią. Starannie ułożył skalpele, zaciski i lśniące srebrzyście ćwieki na przesuwanej nierdzewnej tacy, którą wbudował w wieko. Napełnił strzykawkę sukcylocholimą. Sprawdził, czy fiolka z chloroformem jest na miejscu razem z białą chusteczką, która nasycona specyfiką miała zakryć nos i usta Blaire Buckley.

Wstał i zsunął z łóżka pościel. Rozwinął nową plastikową płachtę i rozłożył ją na materacu. Potem ponownie zasłał łóżko.

Z szuflady kufra wyjął podręcznik chirurgii położniczej i ginekologicznej Nicholi, podszedł do gabinetu i otworzył go na pięknym, stojącym tam mahoniowym biurku o wygiętych rzeźbionych nóżkach.

Miał przed sobą zadanie bardziej ambitne niż wszystkie dotychczasowe. Zamierzał odsłonić wspaniałą architekturę jednego ciała, usuwając wszelkie ślady obecności innego. Zostawi ciało Blaire Buckley, które wzbudzi powszechne współczucie dla jej ojca i jednocześnie usunie wszelkie ślady, które mogłyby podczas sekcji zwłok nasunąć podejrzenie, że dziewczyna była brzemienna, gdy umierała. Trzeba było ściąć pewne warstwy i usunąć niektóre struktury macicy. Nie powinien zostać żaden ślad po fatalnie poczętym dziecku, któremu Blaire ośmieliła się nadać imię Eden. Kiedy skończy swoje dzieło, Blaire będzie w istocie bardziej normalna niż kiedykolwiek przedtem – wolna od nieprawidłowo funkcjonującego mózgu, wolna od moralnej odpowiedzialności za przekazanie swoich niepełnowartościowych genów kolejnym pokoleniom i wolna od mimowolnego obarczania swego wybitnego ojca odpowiedzialnością za siebie i swoje upośledzenie.

Ze wzruszeniem spojrzął na scenę swoich bliskich już poczynań. Hotel Mayflower był wspaniałym architektonicznym dziełem, które w roku 1920 zaprojektowali Warren i Westmore, architekci nowojorscy będący jednocześnie twórcami Grand Central Terminal. Na fryzie w hotelowym holu straż trzymały wspaniałe, złożone, dumne i nieustraszone barany.

Hotel Mayflower, często nazywany drugim z najlepszych stołecznych adresów, był miejscem, w którym wydał swój bal inauguracyjny prezydent Calvin Coolidge; świętowano tu

także powrót Lindbergha z jego tryumfalnego przelotu nad Atlantykiem.

A Coolidge ściśle współpracował z Wielkim Mistrzem Henrym Lewisem Stimsonem, który był ucieleśnieniem zasad bractwa Czaszki i Kości.

Usiadłszy przy biurku, zabrał się do czytania. Mniej niż pięć godzin oddzielało go od momentu prawdy, największego poświęcenia dla wolności, które – miał nadzieję – zostanie na zawsze zapamiętane.

Rozdział 48

Przed wyruszeniem do mieszkania Whitney McCormick w Watergate Clevenger spróbował zadzwonić do Billy'ego. Nie było odpowiedzi. Spróbował ponownie. Postanowił zostawić wiadomość na poczcie głosowej.

– Hej, Billy – powiedział. – Nie mam pojęcia, gdzie teraz jesteś, ale chciałbym, żebyś wiedział, że o tobie myślę. – Przerwał. – Mam tylko nadzieję, że postanowisz wrócić do Mass General. Spróbuj choć na jeden dzień. Przekonaj się, jak to wygląda. Nie jest to oddział zamknięty, możesz wyjść, kiedy zechcesz. I... zadzwoń do mnie, dobrze? W porządku...

Kocham cię. – Wyłączył się i patrzył na telefon. Zdał sobie sprawę z faktu, że mówił wyłącznie do siebie, że usiłował uspokoić swoje sumienie. Billy nie zadzwonił – i może już nigdy nie zadzwoni.

Złapał taksówkę i kazał się zawieźć do Watergate, a potem wszedł do eleganckiego holu.

Strażnik w recepcji zadzwonił do mieszkania McCormick, by zaanonsować jego przybycie, a potem skierował go do wind. Znalazłszy apartament 1812, Frank zapukał do drzwi.

– Minutkę! – zawołała Whitney z głębi mieszkania.

Otworzyła dziesięć sekund później. Była boso i miała na sobie dzinsy i obcisły czarny T-shirt od Juicy Couture z napisem LIBERATOR. Wyglądała równie olśniewająco jak w dniu, w którym się poznali.

– Dzięki za to, że mnie masz – powiedział.

– Naprawdę? – zapytała przekornie. – Już prawie nie pamiętam... Parsknął śmiechem.

– Wejdz że wreszcie. Wszedł i zobaczył zastawiony stół i płonące świece.

– Robi wrażenie – stwierdził. Whitney zniknęła w kuchni.

– Wiesz, że nigdy nie gotuję. Liczę na to, że stół cię rozproszy i zmniejszy twoją czujność.

Stanął przy oknie i popatrzył na majestatycznie płynący Potomac, zawsze ten sam i zawsze zmienny.

– Cieszę się, że mnie zaprosiłaś – powiedział. Odwrócił się i zobaczył, że Whitney uśmiecha się do siebie, mieszając coś w garnku stojącym na kuchennej płycie.

Możliwe, że życie może być tak piękne i proste jak jej uśmiech, pomyślał. Może było, dla niektórych ludzi Odwrócił się i ponownie spojrzał na rzekę.

Rozdział 49

21.00

Pukanie. West Crosse uchylił lekko drzwi do pokoju. Na korytarzu stała rozpromieniona Blaire Buckley. Na głowie miała baseballową czapkę Britney Spears Onyx Hotel Tour i T-shirt. Jej brzuch wydymał się nad ciasnymi džinsami, zasłaniając pas wysadzany kryształami górskimi i spięty metalową klamrą. Na szyi powiesiła sobie trzy długie srebrne łańcuchy, każdy z dużym krzyżem.

– Czy ona tu jest? – zapytała, próbując zajrzeć do pokoju.

– Czy ktoś cię śledził? – zapytał Crosse.

– Nie ma mowy. Wyjechałam wozem dostawców. Zawsze mi pomagali wydostać się na zewnątrz.

– Podrzućli cię aż do hotelu? Przewróciła oczami.

– Zostawili mnie na ulicy. Nie jestem głupia.

– Britney będzie tu za dziesięć minut. – Z uśmiechem otworzył drzwi i usunął się na bok.

Blaire weszła do środka. Zamknął za nią drzwi i przekręcił klucze w obu zamkach. Apartament wyglądał jak dzieło magii. Całą podłogę pokrywały płatki róż i liście mirtu. Płoneły też setki ofiarnych świeczek. Zewsząd dobywały się też ciche tony Mesjasza Haendla.

– Super... – stwierdziła Blaire. – Zrobiłeś to wszystko dla Britney?

– Nie – odpowiedział Crosse, podchodząc do niej i stając za jej plecami. – Dla ciebie.

Rozdział 50

1.35

Clevenger usłyszał dzwonek swojej komórki. Sięgnął ponad ramieniem Whitney, podniósł telefon z nocnego stolika i sprawdził, kto dzwoni. 555-726-2000. Szpital Mass General.

– Dzięki ci, Boże – szepnął. Odebrał telefon. – Billy?

– Doktor Clevenger? – Usłyszał kobiecy głos.

– Tak.

– Jane Monroe z Mass General.

Monroe miała dyżur na izbie przyjęć, gdy Clevenger chciał odwiedzić Billy'ego ostatnim razem. Odchrząknął.

– Wspaniale, że pani dzwoni – powiedział. – Macie tam Billy'ego?

– Tak – odparła.

Poczuł, że ciężar brzemienia, jakie spoczywało na jego barkach, nieco się zmniejsza.

– Miałem nadzieję, że się tam zjawi. Obiecałem mu, że tym razem przyjmą go na otwarty oddział odwykowy.

Chwila ciszy.

– On nie jest tu na odwyku.

Jej głos, uprzejmy i łagodny, ugodził Clevengera jak sztylet.

– Przepraszam... Czy pani chce mi powiedzieć, że...

– On...

Cisza trwała nie dłużej niż dwie sekundy, ale to wystarczyło, żeby oczy Clevengera wypełniły się łzami.

– ... przedawkował – dokończyła.

– O Boże! Nie! – Wstał i zaczął krążyć po pokoju.

Whitney uniosła się na łokciu i zmrużywszy zaspane oczy, spojrzała na Franka.

– Stało się coś złego? – zapytała.

– Jest nieprzytomny, ale jego stan jest stabilny – wyjaśniła Monroe.

– Coś z Billym? – pytała Whitney. – Nic mu nie jest?

– Hera? Koka? Znaczy udar czy... – pytał gorączkowo Frank.

– Oxycodon – odpowiedziała lekarka. – Nie wygląda to na udar. – Pozwoliła, żeby sam sobie dopowiedział resztę. – Ale jest pod respiratorem.

Clevenger poczuł coś twardego pod kolanami i zdał sobie sprawę z tego, że klęczy na

podłódze.

– Czy on umrze?

– Nie wiem.

– Czy on umrze?

– Jest na intensywnej terapii – stwierdziła. – Jego serce jest silne. Krew jest dotleniona. Oni już przedtem miewali takie przypadki. Zbyt wiele razy. Wiedzą dobrze, co robić. Ma najlepszą opiekę szpitalną na świecie.

Pieprzenie w bambus. Sam wielokrotnie używał tych samych słów, pocieszając żony lub mężów. W tej chwili Monroe nie mogła mu powiedzieć niczego innego.

– Jestem poza Bostonem. – To z kolei była jedyna odpowiedź, jaka przyszła mu na myśl. Jego głos się łamał.

Whitney objęła go ramieniem. Oparł się o nią.

– Ile czasu zajmie panu przyjazd?

To pytanie kompletnie go ogłuszyło. Natychmiast zrozumiał, że sprawa rozstrzygnie się w ciągu godziny czy dwóch – w najlepszym przypadku ma pół dnia.

– Pierwszy samolot będzie...

– Załatwię ci helikopter – obiecała Whitney. – Na dachu jest lądowisko. – Wstała i podeszła do telefonu.

– Mogę być za dwie, trzy godziny – powiedział.

– Doskonale. Zaczekam na pana.

– Dziękuję. I proszę zadzwonić, jeżeli...

– Jeżeli on się obudzi i zechce z panem porozmawiać, na pewno zadzwonię – odparła.

Nie to miał na myśli i był pewien, że ona o tym doskonale wie.

– Dziękuję – powiedział i przerwał połączenie.

Rozdział 51

3.10

West Crosse podjechał swoim range roverem na podjazd dla gości Białego Domu. Zatrzymując się przed drzwiami, wiedział, że do tego czasu tablica rejestracyjna jego wozu została już sprawdzona i porównana z bazą danych komputera ochrony. Kilkanaście kamer przystosowanych do obserwacji nocnej zarejestrowało jego wizerunek i przekazało go na stanowisko szefa zmiany ochroniarzy. W każdej chwili strzelcy wyborowi mogli przestrzelić opony jego wozu lub wsadzić mu kulę w łeb. Do okienka podszedł strażnik uzbrojony w uzi. Crosse opuścił szybę.

– Czy mogę w czymś pomóc, panie Crosse?

– Owszem, mam kufer pełen próbek granitu i drewna do budowy muzeum. Muszę go zanieść do biura Pierwszej Damy, tak blisko miejsca budowy, jak tylko się da. Jest bardzo ciężki.

– Strasznie wcześnie zaczął pan dziś pracę – zauważył strażnik.

– Dla mnie nie jest za wcześnie. O tej porze przychodzą mi do głowy najlepsze pomysły. Nikt mi też nie przeszkadza.

Strażnik uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Ja mam tak samo.

Crosse zaparkował i wysiadł z wozu, gdy ochroniarz przesunął czujnik chemikaliów nad kufrem od Louisa Vuittona, sprawdzając, czy nie ma w nim materiałów wybuchowych.

– Tego wymagają przepisy – wyjaśnił. – Zechce pan wybaczyć.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Crosse. Strażnik skończył oględziny wozu.

– W porządku. – Pomógł architektowi wyciągnąć kufer z samochodu.

– Teraz już sobie poradzę – stwierdził Crosse.

– Doskonale.

Crosse przeciągnął skrzynię na kółkach do biur Pierwszej Damy, korytarzami, które samym wyglądem sugerowały każdemu, kto się w nich znalazł, że trafił do siedziby władzy. Podciągnął ją do półkolistej ściany z oknami wychodzącymi na miejsce przyszłego Muzeum Wolności i ustawił dokładnie tam, gdzie stał za pierwszym razem, zastanawiając się nad projektem.

Spodziewał się, że muzeum powstanie zgodnie z jego planami. To, co zrobił, nie było w końcu zamachem na wolność, ale aktem najwyższego poświęcenia, dokonany w jej obronie.

Nie miał przy sobie żadnej broni. Stopień dostępu, jaki mu przyznano, był prawdopodobnie tak wysoki, że mógłby wnieść pistolet do Białego Domu, ale ten wcale nie był mu potrzebny do

złożenia ofiary na ołtarzu swojej sprawy. Nie mógłby wejść do Białego Domu, zrobić tego, co zamierzał, i wyjść. Zdażył doskonale poznać swojego klienta.

Zdjął płaszcz i buty, pozostając boso. Miał na sobie nową, czystą, białą tunikę. Uklęknął obok kufra, otworzył zatrzaski i podniósł wieko.

Uśmiechnął się.

Wewnątrz, owinięta w płótno, leżała Blaire Buckley.

Wspaniałe narządy, które mogły stać się przyczyną klęski jej ojca, były wypreparowane, każdy ślad Eden zniknął, jakby ta nigdy nie zaistniała.

Wyjął ciało z kufra i ułożył na wieku. Potem uklęknął ponownie i pomodlił się do Boga, który nadał jego życiu i śmierci tak wielkie znaczenie:

Ojcze nasz, któryś jest w niebie, Świeć się imię Twoje. Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja Jako w niebie, tak i na ziemi.

Wstał i wyrzwał przez okno.

Wiedział, że nie będzie musiał długo czekać. W ciągu najbliższych dziesięciu minut kamery systemu zabezpieczenia odnajdą jego i Blaire i zaraz potem agenci Secret Service rzucają się biegiem do tego pokoju. Pojawili się już po czterech minutach.

Usłyszawszy kroki, odwrócił się i zobaczył, jak przez dwoje drzwi wpadają dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach z gotowymi do strzału pistoletami. Za nimi biegli trzej inni zbrojni w uzi. Obserwował nie bez satysfakcji, jak wyszkolonymi spojrzeniami ogarniają całość sceny – beznamiętnie, nawet w takiej chwili – i patrzą na obnażoną i perfekcyjnie rozpreparowaną córkę prezydenta.

Przez chwilę wydało mu się nawet, że z daleka patrzy nań sam prezydent. Ale być może tylko się łudził, bo bardzo tego pragnął.

Rozstawił nieco stopy i uniósł puste dłonie na boki, odtwarzając idealnie boski szkic ludzkich kształtów, jaki nakreślił da Vinci. Złoty Podział. A gdy pierwsza kula ugodziła go w pierś, jego serce wezbrało dumą, że swoje ostatnie chwile na ziemi zaplanował tak bezbłędnie i nieskazitelnie, że architektura jego istnienia zgodna była do końca z wolą Wszechmocnego i że jego udziałem stanie się życie wieczne.

Rozdział 52

10.20

Nasze wielkie romanse, tryumfy i podboje w ostatecznym rozrachunku nie mają ze sobą nic wspólnego i nie wiążą jednych z drugimi. Nasze dusze ujawniają się w upadkach i tragediach i wtedy dajemy się poznać. Ktoś może opowiedzieć wam o swoim wspaniałym osiągnięciu w dziedzinie biznesu, o tym, że dostał awans lub wspaniałą pracę, ale w tym wszystkim nie ujawni niczego ze swojej głęboko ukrytej osobowości. Skłon jednak tego kogoś, by opowiedział ci o tym, jak mu zamarło serce, gdy zawiódł go ktoś bliski, o niepokoju, jaki go dręczył, gdy zebrał o pieniądze na chesne, bo nie miał go z czego zapłacić, o przerażeniu, jakie towarzyszyło klęsce jego firmy lub utracie domu, a znajdziesz drogę do nawiązania prawdziwej przyjaźni i głębokich więzów.

Kobieta może, promieniając radością, opowiadać o ukończeniu maratonu, zbudowaniu wymarzonego domu lub radości płynącej z faktu, że jej dziecko zostało przyjęte do college'u – a jednak nie powie ci o sobie niczego. Skłon ją jednak do opowiedzenia ci o przygnębieniu, z jakim powitała świadomość, że się starzeje, że jej ciało brzydnie, o tkwiącym w niej głęboko żalu, że nie wyszła za mąż za człowieka, którego kochała, lub o tym, że nie pragnie już mężczyzny, którego nadal kocha, i może zdasz sobie sprawę z tego, że w istocie bardziej jesteśmy do siebie podobni niż różni w naszych troskach i potrzebach – i bardziej samotni, niż powinniśmy.

Być może też nigdzie indziej nie widzimy siebie lepiej niż na oddziałach intensywnej terapii, w zimnym świetle neonówek, wyczerpanych czuwaniem, otoczonych rurkami, które wchodzą i wychodzą z naszego ciała i kochających bliskich, nasłuchujących nieustannego popiskiwanego urzędów nadzorujących pracę serca. Na oddziale intensywnej terapii nie ma znaczenia, kim jesteś i czym się zajmujesz, nie liczy się twoja satysfakcja z nowego domu, nieważne są twoja religia czy zapatrywania polityczne, a nawet orientacja seksualna. Dla ciebie i osób, które kochasz, istotne jest tylko, czy przeżyjesz czy nie i czy cierpisz.

Na oddziale intensywnej terapii nie ma obcych ani wrogów.

Clevenger wszedł do boksu 8D i usiadł obok łóżka Billy'ego.

Był tu już od ponad sześciu godzin: wchodził, wychodził, wstawał i siadał... czekał i patrzył.

Trzy razy przychodził i wychodził North Anderson. Miał tu jeszcze wrócić.

Na oddziale intensywnej terapii przekonujesz się, kto jest twoim prawdziwym przyjacielem – wystarczy tylko posłuchać, co i jak mówi.

Billy wciąż był nieprzytomny, rurka wetknięta głęboko w gardło dostarczała mu tlen. W każdym ramieniu chłopca tkwiła igła kroplówki. Na piersi miał nowy tatuaż w kształcie korony.

Ale nawet w takim stanie Billy miał coś do powiedzenia i Clevenger to usłyszał. Po twarzy Franka spłynęła łza. Ujął dłoń Billy'ego i pochylił się nad nim.

– Nie martw się, chłopie – szepnął mu do ucha. – Nie opuszczę cię. Nigdy już cię nie zostawię samemu sobie. Razem przez to przejdziemy, razem stąd wyjdziemy i pójdziemy razem wszędzie, gdzie będziesz musiał pójść. W porządku?

Razem na pewno coś wymyślimy.

Odchylił się w krzesło i spojrzał na syna. Po raz kolejny poczuł nieodpartą siłę, z jaką najlepsza część osobowości Billy'ego musiała zwalczać te wczesne, gorzkie rozdziały jego życia w strachu i osamotnieniu. Ojciec niestroniący od używania przemocy. Brak prawdziwej matki. Dziewiętnastoletni Billy Bishop mógł trafić na oddział intensywnej terapii, ale to dziewięcioletni, rozdarty wewnątrz Billy wziął zbyt wielką dawkę prochów, co sprawiło, że się tutaj znalazł. Clevenger przypomniał sobie swój ulubiony fragment wiersza, którego autorem był Robert Pirsig: Me wiem, jaka przyszłość rodzi się ze wspomnień przeszłości, Przeszłość jednak, którą wciąż mamy przed oczami, przytłacza wszystko, co widzimy.

– Doktorze Clevenger? – odezwała się stojąca za nim Jane Monroe.

Odwrócił się.

– Mów mi Frank.

– Frank... – Uśmiechnęła się. – Ktoś chce się z tobą zobaczyć.

Jest w poczekalni dla członków rodziny.

Przy drzwiach poczekalni stała Whitney McCormick, blada i bardzo wyczerpana. Podeszedł do niej.

– Nie musiałaś...

– Miałaś rację. Miałaś całkowitą rację w sprawie Crosse'a.

– Co się stało? Dlaczego mi to mówisz?

– Przed ponad sześcioma godzinami przywiózł do Białego Domu ciało Blaire, upośledzonej córki prezydenta. Jej brzuch... – Przerwała.

– Ich córka... – Zrozumiał więcej, niż powiedziała. – Mój Boże!

Zatrzymano go? Powiedz mi, że nie uciekł!

Spojrzała na niego i nic nie powiedziała.

To, co usłyszał w tym milczeniu, sprawiło, że cofnął się o krok. Spojrzał w oczy Whitney, zajrzał jej w duszę przez maleńkie okienka i zobaczył... pustkę. Taką samą, jaką widział w oczach Billy'ego na Suffolk Street i w oczach Westa Crosse'a w barze hotelu Mayflower.

– Chyba czegoś nie rozumiem... – powiedział.

– Nie możesz zabić córki prezydenta i zostać aresztowany – powiedziała pospiesznie. – Nie

tego prezydenta. – Wzruszyła ramionami. – Oficjalne raporty stwierdzają, że miał broń i pierwszy otworzył ogień. – Popatrzyła na niego, jakby był ze szkła. – To tylko między nami, kropka. Tym razem zachowaj to w tajemnicy nawet przed Northern Andersonem.

– Mówisz mi, że oni go zastrzelili? – Clevenger zmrużył oczy.

– Dowody winy były bezsporne – odpowiedziała. – W hotelu miał cały zestaw narzędzi chirurgicznych. Ostatnia rzecz, jaka jest nam potrzebna, to długi, żmudny proces, w którym Mark Geragos i Barry Check będą wpierali wszystkim chwilową niepoczytalność podsądnego lub dyskutowali o rozmiarach chirurgicznych rękawiczek ze specjalistami. – Przerwała. – Powinnam była cię posłuchać. Podalesz nam rozwiązanie na talerzu.

– Oni go nie aresztowali, ponieważ... łatwiej go było zastrzelić? Czy nie to właśnie on robił swoim ofiarom?

– Może jest w tym jakaś poetycka sprawiedliwość? – Mrugnęła znacząco. – Sprawa została zamknięta.

Clevenger poczuł zimny strumyczek potu spływający mu po karku.

Whitney zerknęła ponad jego ramieniem w kierunku otwartych drzwi oddziału intensywnej terapii.

– Co z Billym? – zapytała.

Odwrócił się bez słowa i wszedł na oddział.

Rozdział 53

23 sierpnia 2005

Trzy dni później zadzwonił do Clevengera Gary Field, szef prezydenckiego sztabu, i zaprosił go do Białego Domu.

Powiedział, że prezydent i Pierwsza Dama chcieliby podziękować mu za jego usługi i poprosić o pomoc.

Teraz siedział w Owalnym Gabinetecie naprzeciwko Warrena i Elizabeth Buckleyów.

– Głęboko państwu współczuję z powodu tej tragedii – powiedział.

– Dziękuję – odparł prezydent. – Wiem, z jaką zaciekłością i konsekwencją tropił pan mordercę. I wiem, że gdyby pana posłuchano, dopadlibyśmy drania, zanim on dopadł Blaire.

Pierwsza Dama uśmiechnęła się i skinęła głową. Prezydent mówił jak dzieciak bawiący się w Indian i kowbojów. Dopadłeś mojego człowieka, ale inny mój człowiek dopadłby ciebie, gdyby nie... – Jego żona siedziała jak nadmuchiwana lala. Nie okazywała żadnego żalu.

– Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego on zrobił to, co zrobił – stwierdził Clevenger.

– Nienawidził mnie i nienawidził naszej partii – odparł prezydent. – Prawdopodobnie czytał pan te bzdury, które rozesłał do gazet, zanim zabił naszą córkę.

Te bzdury w połączeniu z tragiczną śmiercią córki podbiły społeczne poparcie Buckleya do siedemdziesięciu jeden procent – co było najlepszym wynikiem w historii jego prezydentury. Wszystko to stało się dzień przed pogrzebem Blaire, który transmitowano na cały kraj.

– Owszem, czytałem – odpowiedział Clevenger. – Ale nie jestem pewien, czy to cokolwiek wyjaśnia. Jakkolwiek by było, normalni ludzie nie zabijają, żeby cokolwiek udowodnić.

Na twarzy prezydenta pojawił się wymuszony uśmiech.

– I za to powinniśmy dziękować Bogu – stwierdziła Pierwsza Dama.

– To naprawdę nieistotne, co on sobie myślał, kiedy patroszył ludzi – stwierdził Buckley. – Ważne jest, że już nigdy tego nie zrobi.

Pierwsza Dama kiwnęła głową i znów się uśmiechnęła.

– Tak też można na to popatrzeć – przyznał Clevenger.

– Oczywiście najlepszym wyjściem dla mnie, dla Elizabeth i moich synów byłby proces sądowy.

– Nie sądzę, żeby pan zechciał się dowiedzieć o nim czegoś więcej.

– Nie – odpowiedział prezydent. – Ale nie było mnie tam, gdy wyciągnął pistolet i zmusił chłopców z Secret Service do odwołania jego upoważnień. Chciałbym być przy jego egzekucji i

osobiście powiedzieć mu: „Żegnaj, draniu”.

– A ja stałabym wtedy obok męża – stwierdziła Pierwsza Dama.

– Rozumiem.

Prezydent uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo, ale natychmiast wziął się w garść i ponownie oblekł twarz w powagę i smutek.

– Chciałbym, żeby pan pomyślał o przyłączeniu się do naszego zespołu – powiedział.

– Przyłączeniu się? W jakim sensie?

– Coś się wymyśli, w tym albo w przyszłym tygodniu. Może jakieś wysokie stanowisko w FBI? Może w CIA? Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebują psychiatrów. Wydobywanie prawdy z ludzi. Może pan oddać krajowi wielkie usługi.

– Nie sądzę, żeby to był odpowiedni czas – stwierdził Clevenger.

– Dlaczego? – zapytał prezydent.

– Nie chodzi mi o czas historyczny – odrzekł Frank. – Mówię o sprawach osobistych. Mój syn właśnie opuścił oddział intensywnej terapii w Mass General. Przedawkował Oxycodon. I ma problemy z prawem. Oskarżają go o posiadanie narkotyków. Jestem mu potrzebny.

– Cóż, może skorzystam z prawa łaski – powiedział prezydent. – Niczego nie przyrzekam, ale postaram się przyjrzeć tej sprawie.

– Dziękuję.

– Będziemy się za was modlić – obiecała Pierwsza Dama, spojrzawszy na męża.

– Niech pan nie zapomina, że sprawa wolności potrzebuje teraz znacznie większego niż kiedykolwiek przedtem poparcia ludzi dobrej woli – dodał prezydent.